

Javier Cercas

Prędkość
światła



Głęboko poruszająca powieść. O wojnie, przyjaźni, sukcesie i porażce...

„Scotland on Sunday”

Javier Cercas

PRĘDKOŚĆ ŚWIATŁA

Tłumaczenie Ewa Zaleska



Tytuł oryginału: *La velocidad de la luz*

Copyright © Javier Cercas, 2005 First published in Spanish language by Tusquets Editores, Barcelona, 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I

Warszawa 2010

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Motto](#)
- [Wszystkie drogi](#)
- [Gwiazdzisty sztandar](#)
- [Kamienna brama](#)
- [Algebra umarłych](#)
- [Kolofon](#)

Dla Raiila Cercasa i Mercè Mas

Nie błędy trwają, ale zło,
rzecz wybaczną dawno wybaczone, rany od noża
też się zagoiły, tylko ta jedna, którą zło zadaje,
ta się nie goi, lecz pęka nocą, co noc.

Ingeborg Bachmann, *Gloriastrasse*,
przeł. Andrzej Kopacki

- Ale, jeśli nas zasypią?
- Nie zasypią nas.
- A jeśli się udusimy?
- Nie udusimy się.

Jules Verne, *Podróż do wnętrza Ziemi*

Wszystkie drogi

Teraz prowadzę życie fałszywe, życie apokryficzne, podziemne i niewidoczne, chociaż prawdziwsze od prawdziwego, ale wtedy, kiedy poznałem Rodneya Falka, byłem ciągle sobą. To było dawno temu i to było w Urbanie, mieście na amerykańskim Środkowym Zachodzie, gdzie spędziłem dwa lata pod koniec lat osiemdziesiątych. Prawdę rzekłszy, ilekroć zastanawiam się, dlaczego trafiłem właśnie tam, mówię sobie, że trafiłem właśnie tam, choć równie dobrze mogłem trafić w jakiegokolwiek inne miejsce. Opowiem, dlaczego zamiast trafić w jakiegokolwiek inne miejsce, trafiłem właśnie tam.

Zadecydował o tym przypadek. Wówczas – minęło od tego czasu szesnaście lat – byłem młody, świeżo po studiach, i mieszkałem razem z kumplem w ciemnym i cuchnącym mieszkaniu przy ulicy Pujol w Barcelonie, niedaleko placu Bonanova. Kumpel nazywał się Marcos Luna, pochodził z Gerony, tak jak ja, i w gruncie rzeczy był kimś więcej i zarazem kimś mniej niż kumplem: razem dorastaliśmy, razem się bawiliśmy, razem chodziliśmy do szkoły, mieliśmy tych samych kolegów. Marcos zawsze chciał być malarzem, a ja nie: ja chciałem być pisarzem. Każdy z nas skończył nieprzydatny do niczego kierunek studiów, żaden z nas nie miał pracy i obaj byliśmy biedni jak myszy kościelne, tak więc ani Marcos nie malował, ani ja

nie pisałem, czy też robiliśmy to tylko w nielicznych wolnych chwilach, kiedy nie byliśmy pochłonięci zajmującą nas niemal całkowicie walką o przetrwanie. Udawało nam się to z wielkim trudem. On uczył w szkole, tak samo śmierdzącej jak nasze mieszkanie, a ja pracowałem na akord dla pewnego nastawionego na szybki zysk wydawnictwa (adiustacja tekstów, redakcja tłumaczeń, korekta), nasze zarobki były jednak tak mizerne, że nie starczały nawet na opłacenie wynajmu i utrzymanie, braliśmy więc wszelkie dodatkowe fuchy, jakie się trafiały, nawet te najdziwniejsze, poczynając od wymyślania dla agencji reklamowej nazw nowych linii lotniczych, po porządkowanie archiwów szpitala de la Vall d'Hebron, a także darmowe pisanie tekstów dla piosenek, zaprzyjaźnionego muzyka, który też walczył o przeżycie. Kiedy nie pracowaliśmy, nie pisaliśmy albo nie malowaliśmy, włóczyliśmy się po mieście, paliliśmy trawkę, piliśmy piwo i rozmawialiśmy o przyszłych arcydziełach, dzięki którym weźmiemy kiedyś odwet na lekceważącym nas w sposób oczywisty świecie – tak uważaliśmy, chociaż Marcos nie pokazał jeszcze na wystawie żadnego obrazu, a ja nie opublikowałem choćby jednego opowiadania. Nie znaliśmy innych malarzy ani pisarzy, nie bywaliśmy na wernisażach ani na promocjach książek, ale pewnie lubiliśmy sobie wyobrazać, że jesteśmy dwoma artystycznymi cyganami w czasach, w których nie ma już artystycznej cyganerii, albo dwoma budzącymi postrach kamikadze, gotowymi roztrzaskać się radośnie w zderzeniu z rzeczywistością; naprawdę byliśmy tylko dwoma aroganckimi prowincjuszami zagubionymi w wielkim mieście, samotnymi i wściekłymi, i gotowymi na największe poświęcenie byle nie wracać do Gerony, bo to oznaczało rezygnację z marzeń o sukcesie,

jakie zawsze w sobie pielęgnowaliśmy. Byliśmy piekielnie ambitni. Chcieliśmy ponieść klęskę. Ale nie byle jaką klęskę, w byle jaki sposób: zamierzaliśmy ponieść klęskę totalną, radykalną i absolutną. To był nasz sposób dążenia do sukcesu.

Pewnego wieczoru 1987 roku wydarzyło się coś, co wkrótce miało wszystko zmienić. Właśnie wyszliśmy z Marcosem z domu, byliśmy na skrzyżowaniu Muntaner i Arimon, kiedy wpadliśmy na Marcela Cuartero. Cuartero był profesorem literatury na barcelońskim Uniwersytecie Autonomicznym i kiedyś chodziłem z zapałem na jego fascynujące wykłady, choć nie zaliczałem się do pilnych studentów. Był grubym pięćdziesięciolatkiem, niskim, rudym i niedbale ubranym, miał dużą twarz smutnego żółwia, w której zwracały uwagę krzaczaste, gęste brwi i sarkastyczne, trochę niepokojące spojrzenie; uchodził za jednego z najlepszych znawców powieści dziewiętnastowiecznej w Europie, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był przywódcą studenckich protestów przeciw generałowi Franco i, jak mówiono (choć trudno to było wywnioskować z jego wykładów i z lektury jego książek, starannie pozbawionych politycznej treści), pozostawał nadal szczerym, nieugiętym i pogodzonym z losem komunistą. W moich studenckich czasach zamienił ze mną ledwie kilka zdawkowych słów na korytarzu, tego jednak wieczoru zatrzymał się, żeby z nami porozmawiać, powiedział, że wraca właśnie z wieczoru literackiego, jaki odbywa się co piątek w Oxfordzie, czyli pobliskim barze, i jakby nie dość mu było konwersacji podczas owego wieczoru, zapytał mnie, co czytam, więc wdaliśmy się w rozmowę o literaturze; potem zaprosił nas na piwo do El Yate, knajpy z wielkimi oknami i wypolerowanymi drewnianymi blatami, gdzie nigdy nie

zachodziliśmy, bo wydawała nam się zbyt droga jak na nasze skromne możliwości finansowe. Oparci łokciami o blat baru rozmawialiśmy chwilę o książkach, a potem Cuartero nieoczekiwanie zapytał mnie, czym się zajmuję; nie odważyłem się kłamać, bo przecież obok mnie stał Marcos, zrobiłem jednak wszystko, by ubarwić nieco prawdę. Cuartero musiał się jednak tej prawdy domyślić, bo wtedy właśnie zaczął mi mówić o Urbanie. Powiedział, że tam, na Uniwersytecie Illinois, ma dobrego znajomego i ten znajomy dał mu znać, że w następnym roku akademickim wydział języka hiszpańskiego oferuje kilka stypendiów asystenckich dla hiszpańskich magistrów.

– Nie mam pojęcia, co to za miasto – przyznał Marcelo. – Moja jedyna o nim wiedza pochodzi z *Pół żartem, pół serio*.

– *Pół żartem, pół serio*? – spytaliśmy Marcos i ja równocześnie.

– Tak, z tego filmu – wyjaśnił Marcelo. – Na początku Jack Lemmon i Tony Curtis mają zagrać koncert w mroźnym mieście Środkowego Zachodu, niedaleko Chicago, ale z powodu perypetii z gangsterami uciekają na Florydę przebrani za dziewczyny i świetnie się tam bawią. No więc Urbana to jest to mroźne miasto, do którego nigdy nie docierają, a z tego wynika, że Urbana nie może być niczym nadzwyczajnym, a co najmniej, że jest przeciwieństwem Florydy, zakładając, że Floryda jest czymś nadzwyczajnym. Tak czy inaczej, nie wiem nic ponadto. Ale uniwersytet jest dobry i sądzę, że praca też. Płacą przyzwoicie za uczenie języka, a ponadto trzeba zapisać się na studia doktoranckie. To nie są wielkie wymagania. Zresztą, chcesz przecież być pisarzem, prawda?

Czułem, że policzki zaczynają mi płonąć. Zabełkotałem coś, unikając wzroku Marcosa, ale Cuartero mi przerwał.

– Pisarz powinien podróżować. Zobaczysz coś innego, poznasz innych ludzi, poczytasz inne książki. To ci dobrze zrobi. Tak czy owak – zakończył – jeżeli jesteś zainteresowany, zadzwoń do mnie.

Chwilę później Cuartero poszedł sobie, ale Marcos i ja zostaliśmy w El Yate, zamówiliśmy następne piwa i jakiś czas piliśmy je i paliliśmy papierosy w milczeniu; każdy z nas wiedział, o czym myśli ten drugi, i obaj wiedzieliśmy, że ten drugi to wie. Myśleliśmy, że Cuartero powiedział pokrótce właśnie to, co sami od dawna myśleliśmy bez mówienia tego na głos: myśleliśmy, że pisarz, poza czytaniem absolutnie wszystkiego, powinien podróżować i poznawać świat, i żyć intensywnie, i gromadzić doświadczenia, i że Stany Zjednoczone – jakiegokolwiek miejsce w Stanach Zjednoczonych – to idealne miejsce, żeby to wszystko robić i żeby stać się pisarzem; myśleliśmy, że stała i płatna praca, gwarantująca wolny czas na pisanie, stwarza dużo większe możliwości niż to, o czym moglibyśmy teraz marzyć w Barcelonie; myśleliśmy, że nasze życie w Barcelonie jest gówniane i bez sensu, chociaż byliśmy zbyt młodzi i zanadto jeszcze bujaliśmy w obłokach, żeby wiedzieć, co to znaczy, gdy życie jest gówniane i bez sensu.

– Dobra – powiedział w końcu Marcos i wiedząc, że decyzja została już podjęta, opróżnił jednym haustem całą szklanę. – Jeszcze jedno piwo?

Tym właśnie sposobem w sześć miesięcy po przypadkowym spotkaniu z Marcelem Cuartero i po niekończącej się podróży samolotem, z przesiadkami w Londynie i Nowym Jorku, znalazłem się w Urbanie, tak jak mogłem się znaleźć w jakimkolwiek innym miejscu. Pamiętam, kiedy tam dojeżdżałem, kiedy autobus linii Greyhound z Chicago zaczął zagłębiać się w opustoszałe ulice, a po

obu stronach ciągnęły się domki z werandami, budynki z czerwonej cegły oraz pedantycznie zadbane kwietne klombiki, lśniące kolorami pod rozpalonym do białości sierpniowym niebem, pomyślałem sobie od razu, jaki niewiarygodny fart mieli w *Pół żartem, pół serio* Tony Curtis i Jack Lemmon oraz że muszę napisać Marcosowi, że przejechałem dziesięć tysięcy kilometrów na nic, ponieważ Urbana – wysepka licząca sobie sto pięćdziesiąt tysięcy dusz pośrodku morza zagonów kukurydzy ciągnących się aż do przedmieść Chicago – ani nie była dużo większa, ani nie wydawała się mniej prowincjonalna niż Gerona. Naturalnie, nic takiego nie napisałem: nie chcąc rozczarować go własnym rozczarowaniem, albo żeby troszeczkę ubarwić prawdę, napisałem, że Marcelo Cuartero mylił się i że Urbana przypomina Florydę albo raczej jest miniaturowym połączeniem Florydy i Nowego Jorku, miastem kipiącym energią, słonecznym i pełnym ludzi różnych ras i kultur, miejscem, w którym powieści będą mi się pisać same. Ale choćbyśmy bardzo się starali, kłamstwa nie zmieniają rzeczywistości, wkrótce więc przekonałem się, że pierwsze przygnębiające wrażenie z miasta było właściwe, i w pierwszych dniach pobytu w Urbanie pogrążyłem się w smutku, jak zwykle niezdolny do uwolnienia się od tęsknoty za tym, co było przedtem, oraz pewny, że ten rozpalony piec, bo bardziej to był piec niż miasto, w jakiejś amerykańskiej zapadłej dziurze, jest cmentarzem, na którym sam niebawem skończę, zmieniając się w upiora albo w zombi.

Pokonać tę depresję pomógł mi znajomy Marcela Cuartero. Nazywał się John Borgheson i był zamerykanizowanym Anglikiem albo Amerykaninem, który nie potrafił nie być Anglikiem (albo całkiem na odwrót); chcę przez to powiedzieć, że chociaż wiedzę

i wykształcenie zdobył w Ameryce, spędził tam większość życia i tam od początku przebiegała jego kariera zawodowa, to zachował nienaganny brytyjski akcent z Birmingham i nie przejął bezpośredniego stylu bycia od Amerykanów, tak więc pozostawał na swój sposób Brytyjczykiem starej daty (albo lubił sobie wyobrażać, że tak właśnie jest): nieśmiałym, uprzejmym i powściągliwym człowiekiem, który na próżno starał się ukryć swoją naturę przed różnymi urodzonymi dowcipnisiemi. Wyglądał na czterdzieści lat, mówił przestarzałą i twardą hiszpańszczyzną, jak często bywa w wypadku ludzi, którzy wiele w obcym języku czytają, ale rzadko w nim mówią, był jedyną znaną mi osobą w mieście i w swej niezwyklej uprzejmości zaproponował, żebym bezpośrednio po przyjeździe zamieszkał u niego w domu; potem pomógł mi wynająć mieszkanie w pobliżu kampusu, pokazał mi uniwersytet i był moim przewodnikiem w labiryncie uniwersyteckiej biurokracji. W tych pierwszych dniach nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nadzwyczajna uprzejmość Borghesona brała się z jakiegoś nieporozumienia, może uważał, że jestem ulubionym studentem Marcela Cuartero, co byłoby ironią losu, głównie dlatego, że wtedy już świtało mi w głowie uzasadnione podejrzenie, że Cuartero nie wysłał mnie w żadne bardziej odległe i niegościnne miejsce tylko z tego powodu, że takowego nie znał. Borgheson pospieszył też, żeby przedstawić mnie kilku przyszłym kolegom – swoim uczniom i asystentom, pracującym, podobnie jak ja, na wydziale języka hiszpańskiego – w sobotni wieczór, kilka dni po moim przyjeździe, zorganizował kolację z trojgiem z nich w Courier Café, małej restauracyjce w Race, bardzo blisko Lincoln Square.

Dobrze pamiętam tamtą kolację, między innymi dlatego, że – jak się obawiam – pewne rzeczy, które się w jej trakcie wydarzyły, dobrze oddają charakter pierwszych tygodni mojego pobytu w Urbanie. Zaproszeni koledzy: dwóch mężczyzn i kobieta, byli mniej więcej moimi równolatkami. Mężczyźni prowadzili półrocznik zatytułowany „Linia Mnoga”. Pierwszy z nich, Felipe Vieri, był Wenezuelczykiem, bardzo odczytanym, ironicznym i nieco wyniosłym, ubierał się z niepozabawioną sztucznością starannością; drugi nazywał się Frank Solaún i był Amerykaninem kubańskiego pochodzenia, krzepkim i pełnym entuzjazmu, z promiennym uśmiechem na twarzy i włosami przylizanymi brylantyną. Co do kobiety, to nazywała się Laura Burns i jak później dowiedziałem się od Borghesona, wywodziła się z zamożnej i arystokratycznej rodziny z San Juan de Puerto Rico (najważniejsza gazeta w kraju należała do jej ojca), ale tym, co tamtej nocy najbardziej zwróciło w niej moją uwagę, pomijając wyraźnie jankeski wygląd – wysoka, dobrze zbudowana blondynka o bardzo jasnej karnacji – była przerażająca skłonność do sarkazmu, z trudem trzymana na wodzy przez wzgląd na Borghesona. Poza tym Borgheson przez całą kolację wykorzystywał delikatnie swą pozycję szefa, nakierowując rozmowę ku tematom, które mogły być dla mnie interesujące lub z których omawiania – jak sądził lub jak sobie życzył – nie czułbym się wykluczony. Rozmawialiśmy zatem o mojej podróży do Urbany, o uniwersytecie, o wydziale; rozmawialiśmy również o hiszpańskich pisarzach i filmowcach i szybko zdałem sobie sprawę, że Borgheson i jego uczniowie są lepiej ode mnie zorientowani w tym, co się dzieje w Hiszpanii, ponieważ ja nie czytałem książek wielu pisarzy ani nie widziałem filmów wielu reżyserów, których wymieniali.

Wątpię, bym czuł się tym upokorzony, bo w owym czasie moje rozżalenie z powodu bycia pisarzem niewydawanym, nieważnym i nic praktycznie niepiszącym pozwalało mi pogardliwie traktować wszystko, co powstawało w Hiszpanii, a wszystko, co powstawało gdzie indziej, uważać za najprawdziwszą sztukę, nie wykluczam jednak, że fakt ten nie do końca tłumaczy to, co wydarzyło się przy kawie. Od dłuższej chwili Vieri i Solaún rozprawiali z ogromnym nabożeństwem o kinie Pedra Almodóvara. Borgheson, troskliwy jak zawsze, wykorzystał przerwę w tym entuzjastycznym duecie, by zapytać, co ja sądzę o filmach reżysera z La Manczy. Myślę, że podobały mi się wówczas filmy Almodóvara, podobnie jak wszystkim, coś mnie jednak podkusiło, żeby wypowiedzieć się niebanalnie albo zabrzmieć światowo, odciąć się wyraźnie od tych wszystkich historii o zakonnicach ćpunkach, hiszpańskich do szpiku kości transwestytach oraz zabójczyńiach torreadorów, odpowiedziałem więc:

– Naprawdę, wydaje mi się, że to pedalskie brednie.

Laura Burns przyjęła tę opinię dzikim wybuchem śmiechu, a ja w swoim zadowoleniu z powodu wypowiedzenia obrazoburczych sądów nie zauważyłem lodowatej ciszy, z jaką zareagowali dwaj mężczyźni i którą Borgheson pospiesznie przerwał jakimś naprędce wymyślonym komentarzem. Kolacja dobiegła końca bez dodatkowych incydentów, a gdy wychodziliśmy z Courier Café, Vieri i Solaún zaproponowali, żeby pójść jeszcze gdzieś się napić. Borgheson i Laura Burns nie skorzystali z propozycji; ja propozycję przyjąłem.

Nowi znajomi zabrali mnie do dyskoteki o nazwie Chester Street, znajdującej się, jak sama nazwa wskazuje, przy Chester Street, obok

stacji kolejowej. Okazało się, że to ogromny, kiszkowaty lokal z gołymi ścianami. Po prawej stronie od wejścia był bar, a na przeciwnym końcu zatłoczony o tej porze parkiet do tańca, oświetlony stroboskopowym światłem. Solaún od razu zanurzył się w drgający konwulsyjnie tłum na parkiecie, my natomiast, czyli Vieri i ja, przedarliśmy się do baru, żeby zamówić sobie dwa dziny z colą, i kiedy czekaliśmy na nie przy kontuarze, odezwałem się trochę żartobliwie, a trochę ze zdziwieniem, dzieląc się z Vierim obserwacją, że w tej dyskotecie widać tylko mężczyzn. Nie zdążyłem skończyć, gdy zaczepił mnie jakiś chłopak i powiedział coś, czego nie rozumiałem albo nie rozumiałem do końca. Nachyliłem się w jego stronę i poprosiłem, żeby powtórzył; powtórzył: pytał, czy mam ochotę z nim zatańczyć. Mało brakowało a kazałbym powtórzyć raz jeszcze, ale zamiast tego tylko mu się przyjrzałem: był młodziutkim blondynkiem, sprawiał wrażenie bardzo rozbawionego, uśmiechał się; podziękowałem i powiedziałem, że nie chce mi się tańczyć. Chłopak wzruszył ramionami i poszedł sobie bez słowa. Już miałem opowiedzieć Vieriemu, co mi się właśnie przytrafiło, gdy podszedł do mnie wysoki, potężny osobnik z wąsami i w kowbojskich butach i zadał mi to samo albo bardzo podobne pytanie; nie dowierzając własnym uszom, udzieliłem mu takiej samej albo podobnej odpowiedzi, a on nawet na mnie nie spojrzał, zaśmiał się bezgłośnie i poszedł sobie. W tej właśnie chwili Vieri podał mi mój dzin z colą, ale nic mu nie powiedziałem, wystarczyło, że ujrzałem przemądrzałą i odrobinę mściwą kpinę w jego oczach, żeby poczuć się jak Jack Lemmon i Tony Curtis, gdy przyjechali na Florydę przebrani za dziewczyny, i żeby zrozumieć osłupiałe milczenie po moim komentarzu na temat filmów Almodóvara. Dużo,

dużo później Vieri opowiedział mi, że nazajutrz po tamtej triumfalnej nocy Frank Solaún wspomniał Laurze Burns, że zabrali mnie na gejowską zabawę w Chester Street, a ona, wrzeszcząc na cały wydziałowy korytarz, skomentowała to zdaniem niczym klątwa: „Przecież on jest taki hiszpański, że zamiast mózgu ma pewnie gliniany dzbanek z dziobkiem!”

Chciałbym wierzyć, że w pierwszych dniach pobytu w Urbanie podobne gafy nie zdarzały mi się tak często, jak się obawiam, ale nie mam takiej pewności; na pewno jednak przyzwyczaiałem się do nowego życia szybciej, niż wszyscy się tego spodziewali. Istotnie, było to wygodne życie. Mieszkałem w apartamencie składającym się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki, o pięć minut drogi spacerem od Foreign Languages Building, budynku, w którym mieści się wydział języka hiszpańskiego przy ulicy 703 West Oregon, między Busey i Coler, w zacisznej okolicy małych, wąskich i pełnych zieleni uliczek. Tak jak obiecywał Marcelo Cuartero, moje stypendium pozwalało mi prowadzić życie bez specjalnych wyrzeczeń, a po wypełnieniu wszystkich obowiązków wykładowcy hiszpańskiego i doktoranta miałem wolne prawie wszystkie popołudnia i wieczory, nie wspominając o długich, bo obejmujących też piątki, weekendach. Tak więc starczało mi czasu na lektury i na pisanie, miałem też do swojej dyspozycji ogromną bibliotekę uniwersytecką, w której mogłem zaopatrywać się w kolejne książki. Zainteresowanie nowym życiem zastąpiło wkrótce tęsknotę za tym, co zostawiłem za sobą. Gorliwie pisywałem nadal do rodziny i przyjaciół – przede wszystkim do Marcosa – ale już nie czułem się samotny; szybko się przekonałem, że jeżeli tylko się postaram, to bez trudu znajdę sobie przyjaciół. Urbana, jak wszystkie

uniwersyteckie miasta, była sterylnym i nieprawdziwym miejscem, enklawą pozbawioną biedaków i starców, gdzie co roku przyjeżdżał jeden kontyngent bawiących tu chwilę młodych ludzi z całej planety, a drugi, taki sam, ruszał w prawdziwy świat; należy do tego dodać przygnębiającą okoliczność, że zarówno w samym mieście, jak i w promieniu kilkuset kilometrów praca była jedyną dostępną rozrywką. Okoliczność ta niezwykle sprzyjała życiu towarzyskiemu i trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do uczonego marazmu roboczych dni tygodnia, od piątkowego popołudnia do niedzielnego wieczoru Urbana kipiała od żywiołowych, organizowanych w prywatnych domach imprez; wydawało się, że nikt żadnej nie opuszcza i każdy jest wszędzie zaproszony.

Ale Rodneya Falka nie poznałem na żadnej z takich prywatnych i tłumnie uczęszczanych imprez, lecz w pokoju dla asystentów, który dzieliliśmy przez semestr na czwartym piętrze Foreign Languages Building. Nigdy się nie dowiem, czy przydzielono mnie do tego pokoju przypadkiem, czy dlatego, że nie było chętnych na wspólny pokój na wydziale z Rodneyem (skłaniam się raczej ku temu drugiemu), nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby mnie tam nie przydzielono, to najprawdopodobniej nie zaprzyjaźnilibyśmy się i wszystko potoczyłoby się inaczej, moje życie nie byłoby takie samo i wspomnienie Rodneya zatarłoby się w mojej pamięci, podobnie jak zatarło się po latach wspomnienie niemal wszystkich innych osób poznanych w Urbanie. A może nie, może przesadzam. Tak czy inaczej, choć było to najdalsze od jego intencji, Rodney wyróżnił się na wydziale, gdzie wszyscy wydawali się jednakowi i starali się być tacy bez szemrania, jakby chodziło o jakąś niepisaną, ale wyraźną zasadę, mającą, paradoksalnie, pobudzać do rywalizacji

członków tej społeczności szczył się drobiazgowym przestrzeganiem hierarchii rang i zasług. Rodney naruszał zasadę, bo był wyraźnie starszy od pozostałych asystentów, z których żaden nie przekroczył jeszcze trzydziestki, nie brał też nigdy udziału w imprezach, koktajlach ani w spotkaniach organizowanych przez wydział, co jak szybko się zorientowałem, wszyscy składali na karb jego pełnego rezerwy i ekscentrycznego, by nie powiedzieć opryskliwego usposobienia i co spowodowało, że krążyły na jego temat oszczerze legendy, do których przyczynił się też fakt, że jako weteran wojny w Wietnamie został zatrudniony na uniwersytecie na specjalnych warunkach. Pamiętam, jak na wydziałowym przyjęciu na cześć nowo przybyłych asystentów, w przeddzień rozpoczęcia zajęć, ktoś skomentował jego zwyczajową nieobecność i wśród otaczających mnie kolegów wywołało to natychmiast lawinę najdziwniejszych domysłów na temat tego, czego właściwie Rodney uczy swoich studentów, skoro nikt nigdy nie słyszał go mówiącego po hiszpańsku.

– Pieprzyć to! – ucięła gadanie Laura Burns, która dopiero przed chwilą dołączyła do rozważań. – Co mnie obchodzi, że Rodney nie ma bladego pojęcia o hiszpańskim? Boję się raczej, że któregoś dnia pojawi się tu z kałasznikowem i powystrzela nas wszystkich jak kaczki!

Brzmiały mi jeszcze w uszach tamte słowa, skwitowane ogólnym wybuchem śmiechu, kiedy nazajutrz poznałem wreszcie Rodneya. Tamtego ranka, pierwszego dnia zajęć, przyszedłem na wydział bardzo wcześnie i otworzywszy drzwi pokoju asystenckiego, zobaczyłem najpierw Rodneya, który siedział przy biurku i czytał; potem zobaczyłem, jak podnosi wzrok znad książki, spogląda na

mnie i bez słowa wstaje z krzesła. Poczułem przyływ irracjonalnej paniki na wspomnienie zgryźliwej uwagi Laury Burns (nagle nie wydała mi się zgryźliwa, przestała mnie też śmieszyć) i wobec wzrostu tego niezrównoważonego ponoć olbrzyma, który do mnie podchodził; nie uciekłem jednak: lękliwie uściśnąłem wyciągniętą do mnie dłoń, postarałem się uśmiechnąć.

– Jestem Rodney Falk – powiedział, spoglądając mi w oczy z jakimś niepokojącym skupieniem i robiąc hałas przypominający wojskowe strzelenie obcasami. – A ty?

Przedstawiłem się. Rodney zapytał, czy jestem Hiszpanem. Odpowiedziałem, że tak.

– Nigdy nie byłem w Hiszpanii – oświadczył. – Ale kiedyś chciałem ją poznać. Czytałeś Hemingwaya?

Prawie nie czytałem Hemingwaya albo czytałem go byle jak i moja o nim wiedza sprowadzała się do żalostnego wyobrażenia butnego starucha, alkoholika, przyjaźniącego się z tancerzami flamenco i torreadorami, który w swoich niemodnych utworach propagował obraz Hiszpanii jak na widokówce dla turystów, zlepiony z zatęchłych i nieznośnych stereotypów.

– Tak – odpowiedziałem, czując ulgę z powodu tego nawiązania do literatury, i pewnie dostrzegłem kolejną fantastyczną okazję, by przekonać kolegów z wydziału o swoich światowych poglądach dobrze już, jak sądziłem, zademonstrowanych homofobicznym komentarzem na temat filmów Almodóvara, bo dodałem: – Prawdę mówiąc, uważam, że to gówniany pisarz.

Nowo poznany kolega z pokoju zareagował szybciej, niż zrobili to tamtego wieczoru Vieri i Solaún: bez jednego gestu dezaprobaty lub akceptacji, jakbym nagle zniknął z jego pola widzenia, Rodney

odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie w pół słowa; usiadł znowu przy biurku, znowu wziął książkę i zagłębił się w lekturze.

Nic więcej nie zaszło tamtego ranka i wyjąwszy początkowe zaskoczenie czy też panikę oraz Ernesta Hemingwaya, kolejne dni przebiegały mniej więcej tak samo. Mimo że przychodziłem na wydział, gdy tylko otwierano Foreign Languages Building, zawsze zastawałem Rodneya siedzącego już w pokoju, witaliśmy się zdawkowo, co w wydaniu mojego kolegi było raczej burknięciem, ranek mijał nam na wychodzeniu na zajęcia i wracaniu do pokoju i na czytaniu, każdy przy swoim biurku, albo przygotowywaniu się do zajęć (Rodney głównie czytał, ja głównie przygotowywałem się do zajęć), zawsze jednak szczerze odgradzaliśmy się od siebie milczeniem, które kilka razy usiłowałem nieśmiało przerywać, dopóki nie zrozumiałem, że Rodney nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany rozmową ze mną. Szpiegując go ukradkiem zza biurka albo na wydziałowym korytarzu, powoli zacząłem oswajać się z jego obecnością. Na pierwszy rzut oka Rodney wyglądał prostodusznie, luzacko i anachronicznie, przypominał hippisów z lat sześćdziesiątych, którzy nie chcieli albo nie potrafili przystosować się do radosnego cynizmu lat osiemdziesiątych, jakby dobrowolnie lub przymusowo dali się zepchnąć na boczny tor, żeby nie utrudniać triumfalnego marszu historii. Jego strój nie odbiegał jednak od panującego na uniwersytecie stylu swobodnego egalitaryzmu: zawsze chodził w adidasach, wytartych dżinsach i obszernych kraciastych koszulach, chociaż zimą – zimy były arktyczne w Urbanie – zmieniał adidas na wojskowe buty z wysokimi cholewami i nosił grube wełniane swetry, skórzaną kurtkę i futrzaną czapkę. Był wysoki, postawny, trochę niezgrabny; chodził ze

wzrokiem wbitym w ziemię i jakby odrobinę utykając, pochylony w prawą stronę, z jednym ramieniem wyżej niż drugie, co sprawiało, że jego chód był chwiejny jak chód słonia na chwilę przed upadkiem. Miał rudawe, długie i gęste włosy, mocną i szeroką twarz o lekko zaczerwienionej skórze i ostrych rysach, jakby wyrzeźbionych w czaszce: twardo zarysowaną brodę, wydatne kości policzkowe, garbaty nos i drwiące albo pogardliwie wykrzywione usta, które skrywały dwa rzędy nierównych, dosyć zniszczonych zębów, niemal w kolorze ochry. Cierpiał na światłowstręt w jednym oku, chronił je więc przed słońcem kawałkiem czarnego materiału przyszytym do opaski noszonej na głowie, i to, w połączeniu z chwiejnym krokiem i wadą postawy, nadawało mu wygląd kombatanta. Zapewne z powodu tego schorzenia wzroku w pierwszej chwili wydawało się, że ma oczy w dwóch różnych kolorach, chociaż po uważniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec, że jedno było jasnobrązowe, prawie w kolorze miodu, a drugie ciemnobrązowe, niemal czarne. Zauważyłem ponadto od razu, że Rodney nie przyjaźnił się z nikim na wydziale i że – z wyjątkiem Dana Gleylocka, starego wykładowcy literatury niemieckiej, u którego widywałem go czasem w gabinecie, gdy rozmawiał, popijając kawę z kubka – z nikim nie utrzymywał stosunków, nawet o charakterze powierzchownej, dyktowanej dobrym wychowaniem serdeczności.

Nie było powodu przeczuwać, że w moim wypadku będzie inaczej. Istotnie, moja relacja z Rodneyem niemal na pewno nie wyszłaby nigdy poza stadium autyzmu, jakim się od siebie odgradziliśmy w ciągu dwóch pierwszych dni roku akademickiego, gdyby nie bezwiedna pomoc Johna Borghesona. Pierwszego piątku

po rozpoczęciu zajęć Borgheson zaprosił mnie na obiad z Giuseppe Rotą, młodym włoskim wykładowcą ze zblazowaną miną dandysa, który w tym semestrze uczył gościnnie na uniwersytecie. Obiad składał się z dwóch części. W pierwszej Rota bezustannie mówił, gdy tymczasem Borgheson siedział pogrążony w pełnym zadumy lub zakłopotania milczeniu; w drugiej części było na odwrót – Borgheson mówił, a Rota siedział w milczeniu, jakby roztrząsane tu sprawy zupełnie go nie dotyczyły, i dopiero wówczas zrozumiałem, dlaczego zostałem zaproszony. Borgheson wyjaśnił, że uniwersytet podpisał z Rotą umowę na poprowadzenie zajęć zatytułowanych: wstęp do literatury katalońskiej; jednak na kurs zapisały się jak dotąd tylko trzy osoby, a przepisy uniwersyteckie nakazują wydziałowi likwidację zajęć, jeżeli nie zapisze się na nie co najmniej czterech studentów. Doszedłszy do tego punktu, Borgheson zmienił ton swojej przemowy z informacyjnego na żarliwy, jakby chodziło o to, by emfazą przykryć zażenowanie prośbą, z jaką się zwracał. Otóż, za milczącym przyzwoleniem Roty, poprosił mnie – najpierw dmuchając na zimne schlebiającym mi argumentem, że wobec mojej znajomości tematu i podstawowego z konieczności poziomu samego kursu, tenże nie wyda mi się z pewnością szczególnie pożyteczny – żebym zapisał się do Włocha na zajęcia; równocześnie dał mi do zrozumienia, że potraktowałby to małe poświęcenie z mojej strony jak osobistą przysługę i że zapisanie się nie skutkowałoby dla mnie niczym poza koniecznością obecności na zajęciach. Naturalnie, zgodziłem się od razu, zadowolony, że mogę częściowo zrewanżować się za przysługi Borghesona dla mnie, nie mogłem jednak przewidzieć – a i Borgheson nie mógł mnie o tym uprzedzić – jakie będą konsekwencje owej banalnej decyzji.

Zacząłem się domyślać we wtorek następnego tygodnia, kiedy wieczorem, pod koniec dnia, wszedłem do sali, w której miały się odbyć zajęcia z literatury katalońskiej, i ujrzałem siedzących wokół stołu moich trzech przyszłych kolegów studentów. Jeden, ponurak cały ubrany na czarno, miał włosy ufarbowane na czerwono i fryzurę w stylu punka; drugi był niskim, chuderlawym i ruchliwym Chińczykiem; trzecim był Rodney. Wszyscy trzej spojrzeli na mnie uśmiechnięci i bez słowa, a ja, upewniwszy się najpierw, że nie pomyliłem sali, przywitałem się i usiadłem; chwilę później pojawił się Rota i rozpoczęły się zajęcia. To, że się zaczęły, to tylko taka formułka. W rzeczywistości te zajęcia nigdy się właściwie nie rozpoczęły, bo nie można ich było przeprowadzić. Powód był prosty i ze zdumieniem zdaliśmy sobie z niego szybko sprawę: uczestnicy zajęć nie znali wspólnego języka, w którym mogliby się ze sobą porozumiewać: Rota, dobrze mówiący po hiszpańsku i katalońsku, nie znał ani słowa po angielsku, natomiast ponury Amerykanin, który od razu na wstępie poinformował, że chce nauczyć się katalońskiego, bo studiuje filologię romańską, dukał tylko co nieco łamaną francuszczyzną, podobnie jak Rodney, który dodatkowo znał hiszpański; co się tyczy Chińczyka – nazywał się Wong i studiował reżyserię w szkole teatralnej – to oprócz chińskiego znał tylko angielski (dużo później dowiedziałem się, że pragnął nauczyć się katalońskiego, bo miał katalońskiego narzeczonego). Nie trzeba było dużo czasu, by sobie uświadomić, że w zaistniałych okolicznościach byłem jedynym możliwym instrumentem komunikacji między członkami tego spontanicznego zgromadzenia ekumenicznego, tak więc, widząc, jak zmieszany i spocony Rota stara się na próżno wyłożyć, o co mu chodzi, używając w tym celu wszelkich

dostępnych metod, pokazując nawet coś na migi, zaproponowałem, że będę tłumaczył jego słowa z katalońskiego na angielski, czyli jedyny język zrozumiały dla wszystkich zainteresowanych, z wyjątkiem samego Roty. Cała ta procedura była po pierwsze śmieszna, po drugie beznadziejnie powolna, ale pozwoliła nam przetrwać, choć kiepsko, tamtą wstępną lekcję i o dziwo, cały semestr, co prawda, dzięki dużej dawce hipokryzji i ciągłym uśmiechom. Jednakże pierwszego dnia wyszliśmy przygnębieni i zdezorientowani, nic zatem dziwnego, że uznałem za sarkastyczny komentarz Rodneya, kiedy po opuszczeniu sali i przejściu w milczeniu przez cały hol Foreign Languages Building zegnaliśmy się przy drzwiach budynku.

– Nigdy nie nauczyłem się tak wiele podczas zajęć – powiedział Rodney. I tak jak mówię: początkowo pomyślałem, że sobie żartuje; potem pomyślałem, że nie odnosi się do tego, do czego myślałem, że się odnosi, spojrzałem mu w oczy i pomyślałem, że jednak nie żartuje; potem znowu pomyślałem, że żartuje, a potem nie wiedziałem już, co myśleć. – Nie wiedziałem, że mówisz po katalońsku – dodał Rodney.

– Mieszkam w Katalonii.

– Wszyscy mieszkańcy Katalonii mówią po katalońsku?

– Nie wszyscy.

Rodney przystanął, spojrzał na mnie z mieszaniną zainteresowania i obawy i spytał:

– Czytałeś Mercè Rodoredę?

Powiedziałem, że tak.

– Podoba ci się?

Zdażyłem już pójść po rozum do głowy i chciałem mieć dobre stosunki z kolegą z pokoju, powiedziałem więc, że tak. Rodney wykonał jakiś dziwny gest, nie wiedziałem, co mógł oznaczać, i przez chwilę pomyślałem o Almodóvarze i o Hemingwayu, i pomyślałem, że znowu się pomyliłem, że całkiem możliwe, że wielbiciel Hemingwaya nie cierpią Rodoredy, podobnie jak wielbiciel Rodoredy mogą tylko nie cierpieć Hemingwaya. Nim zdołałem złagodzić nieco moją wypowiedź albo wycofać się z zaserwowanego właśnie Rodneyowi kłamstwa, on mnie uspokoił.

– Ja ją uwielbiam – powiedział. – Czytałem ją w tłumaczeniu na hiszpański, ale chcę się nauczyć katalońskiego, żeby przeczytać ją w oryginale.

– To trafiłeś pod właściwy adres – wyrwało mi się.

– Co mówisz?

– Nic takiego.

Miałem już odejść, gdy Rodney zagadnął nieoczekiwanie:

– Masz ochotę na coca-colę?

Poszliśmy do Treno's, tawerny na rogu Goodwin i West Oregon, w połowie drogi między moim domem i wydziałem. Był to lokal uczęszczany przez studentów, z drewnianymi stołami i drewnianą boazerią na ścianach, wielkim, wygaszonym kominkiem i ogromnym oknem wychodzącym na Goodwin. Usiedliśmy przy kominku i zamówiliśmy coca-colę dla Rodneya, piwo dla mnie i miskę prażonej kukurydzy dla obu. Rozmawialiśmy. Rodney opowiedział mi, że mieszka w Rantoul, małym miasteczku niedaleko Urbany, i że pracuje już na uniwersytecie trzeci rok jako nauczyciel hiszpańskiego.

– Lubię to – dodał.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział. – Lubię uczyć, lubię kolegów z wydziału, lubię uniwersytet. – Musiał dostrzec coś dziwnego w mojej minie, bo zagadnął: – To cię dziwi?

– Nie – skłamałem.

Rodney podał mi ogień zapalniczką zippo, której przyjrzałem się, zapalając papierosa: była stara i kiedyś musiała być posrebrzana, teraz jednak miała odcień zardzewiałej żółci; u góry widać było napisane dużymi literami słowo *Wietnam*, a na dole jakieś liczby (68–69) i dwa słowa: *Chu Lai*; w dolnej części był wygrawerowany siedzący uśmiechnięty pies, a pod spodem napis: *Fuck it. I Got my orders*. Rodney zauważył, że przyglądam się zapalniczce, bo chowając ją, powiedział:

– Tyle dobrego przywiozłem z tej gównianej wojny.

Chciałem poprosić, żeby opowiedział mi o Wietnamie, kiedy zażądał gwałtownie, żebym opowiedział mu coś o sobie. Zrobiłem to. Opowiedziałem mu, jak sądzę, o Geronie, o Barcelonie, o moich pierwszych wrażeniach z Urbany, a on mi przerwał, żeby zapytać, jak to się stało, że trafiłem właśnie tu. Tym razem nie skłamałem, choć nie powiedziałem też prawdy, przynajmniej całej prawdy.

– Urbana to dobre miejsce do życia – oznajmił Rodney, kiedy skończyłem mówić; potem dodał tajemniczo: – Nie ma podobnego.

Spytałem go, co to znaczy.

– Znaczy, że to dobre miejsce do pracy – powiedział, i to była cała jego odpowiedź.

Kiedy rozmyślałem o argumentach Marcela Cuartero na rzecz wyjazdu do Urbany, Rodney zaczął mówić o Mercè Rodoredzie. Czytał dwie jej powieści (*La plaça del Diamant* i *Mirall trencat*); ja

czytałem tylko tę drugą, ale z pewnością siebie niezmordowanego czytelnika zapewniłem, że te, które przeczytał, są najlepsze w twórczości Rodoredy. Wtedy Rodney złożył mi propozycję: powiedział, że we wtorki i czwartki po zajęciach Roty (albo po zajęciach Roty tłumaczonych przeze mnie) moglibyśmy chodzić do Treno's i ja dawałbym mu lekcje katalońskiego; był gotów płacić mi za lekcję ustaloną wspólnie stawkę. zaproponował to bardzo poważnie, ale – o dziwo – ja odebrałem tę ofertę jak trochę makabryczny i niezrozumiały dowcip albo (co jeszcze bardziej dziwne) jak wyzwanie na pojedynek. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że taki był normalny sposób mówienia Rodneya, tak więc, choć wcale nie byłem pewien, czy potrafię uczyć katalońskiego, nie tyle z poczucia pychy, co przez ciekawość odpowiedziałem:

– Wystarczy, jak będziesz płacił za moje piwa.

Tym sposobem Rodney i ja zostaliśmy przyjaciółmi. W najbliższy czwartek wróciliśmy do Treno's, a od następnego tygodnia, zgodnie z umową, spotykaliśmy się tam w każdy wtorek i czwartek po zakończeniu oficjalnych zajęć z katalońskiego. Przychodziliśmy chwilę po szóstej, siadaliśmy przy stoliku obok kominka, zamawialiśmy coca-colę (dla niego), piwo (dla mnie) i prażoną kukurydzę (dla nas obu) i rozmawialiśmy mniej więcej do dziewiątej, kiedy to zamykano lokal. Szczególnie w pierwszych dniach skupiliśmy się na tym, żeby Rodney przyswoił sobie podstawy katalońskiego, potem jednak górę zaczęły brać powoli lenistwo albo znudzenie i obowiązek nauki ustąpił miejsca przyjemności rozmowy. Nie to, żebyśmy wcale nie rozmawiali w wolnych chwilach we wspólnym pokoju na wydziale, ale tamte rozmowy były urywane albo zdawkowe, w trakcie codziennej

krzątani, tak jakby wydział nie był odpowiednim miejscem na kontynuację rozmów z Treno's; w każdym razie tak mógł do tego podchodzić Rodney; a może z jakiegoś powodu nie chciał, żeby na wydziale wiedzano o naszej przyjaźni. Rzecz w tym, że odkąd zaczęliśmy utrzymywać kontakty poza pokojem na wydziale, instynktownie wyczułem, że między Rodneyem, którego ja znałem, i tym znanym przez resztę wydziału – choć obaj wyglądali na zmaltretowanych i mieli ten sam wyraz zagubienia w twarzy, jakby dopiero co się zbudzili i oczy przesłaniała im jeszcze pajęczyna snu – istniała jakaś zasadnicza, aczkolwiek dla mnie trudna do zdefiniowania rozbieżność, ale nie mogłem wtedy przeczuć, że ta rozbieżność była związana z samą istotą osobowości Rodneya, ukrytym, newralgicznym sednem, do którego nikt – w pewnym sensie nawet on sam – nie miał wtedy dostępu.

Nie pamiętam dokładnie tamtych wieczorów w Treno's, zachowałem jednak żywe wspomnienie kilku szczegółów. Pamiętam na przykład, że atmosfera gęstniała, w miarę jak robiło się coraz później i lokal zapełniał się studentami, którzy czytali, pisali coś albo rozmawiali. Pamiętam młodą, okrągłą i uśmiechniętą twarz obsługującej nas zazwyczaj kelnerki i marną reprodukcję obrazu Modiglianiego na ścianie, po prawej stronie baru. Pamiętam, jak Rodney gładził od czasu do czasu potargane włosy i jak starał się usadowić wygodnie na krześle, i wyciągał nogi w stronę kominka, bo z trudem mieściły się pod stołem. Pamiętam sączącą się z głośników muzykę, bardzo cichutką, jakby była zniekształconym echem innej muzyki, i pamiętam, że czułem się przy niej tak, jakbym siedział pod koniec lat sześćdziesiątych w barze w Geronie, a nie w jakimś mieście Środkowego Zachodu USA pod koniec lat

osiemdziesiątych, bo to była muzyka z barów mojej młodości (kawałki Led Zeppelin, ZZ Top czy Franka Zappy). Pamiętam doskonale dziwny szczegół: ostatnią piosenką puszczaną co wieczór jako dyskretny sygnał dla stałych bywalców, że bar zaraz się zamyka, był stary kawałek Boba Dylana *It's alright, ma (I'm only bleeding)*, który Rodney bardzo lubił, bo tak jak mnie ZZ Top kojarzył się z bezbrzeżnym smutkiem moich młodzieńczych lat, jemu tamten kawałek przywracał hippisowską radość lat młodzieńczych, przywracał – choć to bardzo smutna piosenka, opowiada o słowach odartych ze złudzeń, które jazgoczą niczym wystrzeliwane kule, i o cmentarzach pełnych fałszywych bogów, i o samotnych ludziach, którzy płaczą, czują strach i są sami, wiedząc, że wszystko jest kłamstwem i że zbyt wcześnie zrozumieli, że nie warto starać się rozumieć – przywracał mu tamtą radość może z powodu jednego zdania, którego ja też nie zapomniałem: „Kto nie jest zajęty życiem, ten jest zajęty umieraniem”. Pamiętam też inne rzeczy. Pamiętam, że Rodney mówił z jakąś dziwną zimną pasją, paląc bez przerwy i żywo gestykułując, pobudzony rodzajem nieustannej euforii, i choć nigdy (lub prawie nigdy) się nie śmiał, to nigdy też nie sprawiał wrażenia, że mówi całkiem serio. Pamiętam, że nigdy (lub prawie nigdy) nie mówiliśmy o uniwersytecie i że Rodney nigdy (lub prawie nigdy) nie mówił o sprawach osobistych, a przecież nigdy (lub prawie nigdy) nie miałem wrażenia, że mówi o czymś innym niż on sam, i jestem pewien, że ani razu nie użył słowa „Wietnam”. Nieraz natomiast rozmawialiśmy o polityce; a dokładniej rzecz ujmując, to Rodney mówił o polityce, ale dopiero późną jesienią zrozumiałem, iż nie rozmawialiśmy o polityce częściej nie dlatego bynajmniej, że Rodney się nią nie interesował,

lecz dlatego, że ja kompletnie nie znałem się na polityce (a tym bardziej na polityce amerykańskiej, która z punktu widzenia Rodneya była jedyną rzeczywistą polityką, a przynajmniej jedyną istotną), co – trzeba przyznać, gwoli prawdy – nie wydawało się specjalnie martwić mojego przyjaciela, bo ilekroć poruszał jakiś temat, miałem wrażenie, że mówi bardziej do samego siebie albo do jakiegoś abstrakcyjnego rozmówcy niż do mnie, powiedziałbym, że naglony jakąś wściekłą potrzebą ulżenia sobie, jakąś beznadziejną i pełną urazy zaciekłą niechęcią do polityków swego kraju – wszystkich bez wyjątku uważał za kłamców i pasożytów – do wielkich korporacji, które sprawowały rzeczywistą władzę polityczną, i do mediów, które jego zdaniem bezkarnie rozpowszechniały kłamstwa polityków i korporacji.

Ale z owych wieczorów w Treno's zapamiętałem przede wszystkim to, że rozmawialiśmy niemal wyłącznie o książkach. Naturalnie mogę przesadzać, mogę się mylić, może przyszłość wypacza przeszłość i późniejsze zdarzenia zniekształcają moją pamięć, a myz Rodneyem wcale nie rozmawialiśmy w Treno's niemal wyłącznie o książkach, ja jednak pamiętam, że niemal wyłącznie rozmawialiśmy o książkach; w każdym razie z pewnością szybko spostrzegłem, że Rodney jest najbardziej wykształconym ze wszystkich moich przyjaciół. Chociaż nie od razu przyznałem mu się, że sam chcę być pisarzem i że zacząłem w Urbanie pisać powieść, to jednak od samego początku rozmawiałem z nim o amerykańskich pisarzach, których wtedy czytałem, takich jak: Saul Bellow, Philip Roth, Bernard Malamud, John Updike, Flannery O'Connor. Ku memu zaskoczeniu (i radości) Rodney czytał wcześniej ich wszystkich; wyjaśniam, że zorientowałem się, że ich

czytał, nie dlatego, że mi to powiedział, lecz z powodu jego komentarzy, które umiejętnie hamowały lub podsycaly mój entuzjazm literackiego kamikadze (częściej hamowały, niż podsycaly). Bez wątpienia to właśnie Rodney podczas tamtych rozmów w Treno's po raz pierwszy wspomniął mi o niektórych pisarzach, których potem zawsze już kojarzyłem z Urbaną: o Stanleyu Elkinie, o Donaldzie Barthelme, o Robercie Cooverze, o Johnie Hawkesie, o Williamie Gaddisie, o Richardzie Brautiganie, o Harrym Mathewsie. Bywało, że mówiliśmy też o Rodoredzie, jedynej pisarce katalońskiej znanej memu przyjacielowi, zanim jeszcze rozpoczęły się nieznośne zajęcia Roty, i o różnych pisarzach latynoamerykańskich, których cenik; i myślę, że Rodney nieraz okazywał lub udawał zainteresowanie literaturą hiszpańską, jakkolwiek, w odróżnieniu od uczniów Borghesona, mało ją znał i zanadto w niej nie gustował. Prawdziwą pasją Rodneya była stara literatura amerykańska. Ja wykazywałem w tym względzie całkowitą ignorancję, minęło zatem trochę czasu, nim zrozumiałem, że upodobania i sądy Rodneya, jak każdego dobrego czytelnika, były pełne uprzedzeń; równocześnie były jednak klarowne: bardzo lubił Thoreau, Emersona, Hawthorne'a i Twaina, uważał, że Trollope to hucpa, Poego miał za jednego z pomniejszych pisarzy, o Melville'u sądził, że to nieznośnie nadęty moralista, a o Jamesie, że to spryciarz, snob i pisarz przeceniany; szanował Faulknera i Thomasa Wolfe'a i uważał, że w całym stuleciu nie było pisarza bardziej utalentowanego niż Scott Fitzgerald, ale to Hemingway, właśnie Hemingway, był przedmiotem jego bezwarunkowego uwielbienia. Bezwarunkowego, lecz nie bezkrytycznego: wiele razy słyzałem, jak kpił sobie z błędów, banalności, pretensjonalności i niedostatków

jego powieści, ale zawsze, dzięki nieoczekiwanej wolcie rozumowania, te słabości, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniały się w oczach Rodneya w nieodzowne atrybuty wielkości pisarza. „Wielu ludzi napisało lepsze niż Hemingway powieści – powiedział przy pierwszej rozmowie na ten temat, jakby zapomniał o mojej dyletanckiej opinii wygłoszonej w dniu, kiedyśmy się poznali – ale nikt nie napisał lepszych opowiadań niż Hemingway i nikt nie potrafi prześcignąć jego stylu. Poza tym – dodał na koniec bez uśmiechu, nim zdążyłem się zaczerwienić – zwróć uwagę, że pomaga wytropić idiotów: idiotom nigdy nie podoba się Hemingway”. Nie wziąłem do siebie tego ostatniego zdania, choć mogło być przytykiem, nie zezłościłem się, choć mogłem to zrobić. Niezależnie od tego, czy miał w tej sprawie rację, czy też nie, to wraz z upływem czasu doszedłem do przekonania, że Rodney nie tyle uwielbiał Hemingwaya, co uważał go za ponury albo promienny symbol czegoś, czego znaczenia sam nawet nie potrafił sprecyzować.

Powiedziałem wcześniej, że dopiero późną jesienią zrozumiałem, że zainteresowanie Rodneya polityką nie było powierzchowne, lecz bardzo poważne, aczkolwiek odrobinę dziwaczne albo co najmniej – by ująć to w konwencjonalnej formie – mało konwencjonalne. Nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do pewnej niedzieli na początku października, kiedy kolega z wydziału, Rodrigo Ginés, zaprosił mnie oraz innych kolegów do siebie na kolację, żeby porozmawiać o najbliższym numerze „Linii Mnogiej”, który powinien wyjść w następnym semestrze. Ginés, który przyjechał do Urbany w tym samym czasie co ja i miał się stać jednym z moich najlepszych tam przyjaciół, był Chilijczykiem, był pisarzem, był wiolonczelistą; był

też asystentem na wydziale języka hiszpańskiego. Wiele lat wcześniej wykładał na Uniwersytecie Południowym w Chile, ale po upadku Salvadora Allende, w czasach dyktatury, został wyrzucony z uczelni i musiał imać się różnych zajęć, żeby zarobić na życie, między innymi grał na wiolonczeli w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej. Był mniej więcej równolatkiem Rodneya, zostawił w Santiago żonę i dwóch synów i miał melancholijny wygląd samotnego Indianina, wąsy i spiczastą bródkę, i trudno się było domyślić, że jest człowiekiem o finezyjnym poczuciu humoru, żywiołowo towarzyskim, rozmiłowanym w czerwonym winie i dobrym jedzeniu. Owej niedzieli oprócz Felipe Vieriego i Franka Solaúna, szefów pisma i zagorzałych wielbicieli Almodóvara, przyszli do niego różni asystenci z wydziału, a wśród nich Laura Burns i Austriaczka o imieniu Gudrun, w owym czasie dziewczyna naszego gospodarza. Zjedliśmy kurczaka w czekoladowym sosie *mole*, przygotowanego przez Ginésa, a po jedzeniu długo rozprawialiśmy o tym, co powinno wejść do numeru. Mówiliśmy o wierszach, opowiadaniach, recenzjach, o konieczności pozyskania nowych współpracowników i ja wspomniałem w tym momencie Rodneya, sugerując, żebyśmy zamówili jakiś tekst u niego; już zamierzałem wygłosić *pean* na temat wybitnego intelektu mego przyjaciela, gdy zauważyłem, że reszta siedzących przy stole gości patrzy na mnie tak, jakbym zapowiedział rychłe lądowanie w mieście statku kosmicznego kierowanego przez zielone ludziki z antenkami. Zamilkłem; zapadła niezręczna cisza. Wtedy Ginés, jakby nieoczekiwanie znalazł klucz do udanego wieczoru, zaczął opowiadać pewną historyjkę. Nie mam pewności, czy była prawdziwa w każdym szczególe; poprzestanę na przytoczeniu jej

tutaj tak, jak on ją opowiedział. Otóż w poprzedni wtorek mój chilijski przyjaciel zmierzał wcześniej niż zazwyczaj na swoje pierwsze tego dnia zajęcia, gdy zobaczył, jak zakurzony buick zatrzymuje się raptownie na środku Lincoln Avenue, obok latarni, na samym skrzyżowaniu z Green Street. Ginés pomyślał, że samochód pewnie się zepsuł, i dalej szedł w kierunku skrzyżowania, ale podchodząc bliżej, zrozumiał, że nie miał racji, bo z samochodu wysiadł kierowca i zamiast zajrzeć pod maskę albo sprawdzić stan opon, otworzył tylne drzwi, wyjął ze środka wiadro z pędzlem i plakat, a potem przykleił ten plakat na słupie latarni. Kierowca miał czarną przepaskę na jednym oku i Ginés od razu rozpoznał Rodneya. Wedle tego, co opowiadał, wcześniej nigdy nie zamienili ani słowa i pewnie dlatego Chilijczyk zatrzymał się zaintrygowany i zdziwiony kilka metrów od samochodu, przyglądając się, jak tamten przykleja plakat; nie wiedział, czy do niego podejść, czy raczej ruszyć dalej Green Street, udając, że niczego nie zauważył; stał tak, zastanawiając się, jak postąpić, gdy Rodney skończył przyklejać plakat do słupa, odwrócił się i spostrzegł go. Ginésowi nie pozostało nic innego, jak podejść. Podeszedł zatem i choć dobrze wiedział, że samochód się nie zepsuł, zapytał Rodneya, czy ma jakiś problem z wozem. Rodney spojrzął na niego niezastłoniętym okiem, roześmiał się chrapliwie i zapewnił, że nie ma; potem wskazał na właśnie przyklejony do słupa plakat. Ginés prawie nie znał angielskiego, więc nie rozumiał, co tam było napisane, ale Rodney wyjaśnił mu, że to wezwanie do strajku generalnego przeciwko General Electric, wystosowane przez partię trockistowską albo jakąś frakcję partii trockistowskiej, Ginés dobrze nie pamiętał.

– Przeciwno General Electric – powtórzył, przerywając swoją opowieść. – Macie pojęcie?! Nie wiedziałem, że w tym kraju jest jeszcze jakaś partia trockistowska!

Potem dodał, że patrzył na Rodneya i nie wiedział, co powiedzieć, i że Rodney patrzył na niego i też nie wiedział, co powiedzieć. Minęło kilka długich jak cała wieczność sekund, stał zupełnie zdezorientowany, a potem, w narastającej ciszy i czekając ciągle, żeby Rodney coś powiedział albo żeby jemu wreszcie przyszło coś do głowy, przypomniał sobie, ku własnemu zdumieniu, generała Pinocheta, jak siedział w łoży Teatru Akademii Wojskowej w Santiago z nieruchomą twarzą, z oczyma ukrytymi za ciemnymi okularami słonecznymi, których nigdy nie zdejmował, a on i jego koledzy z orkiestry symfonicznej grali *Adagio i allegro* Saint Saënsa albo *Rondo capriccioso* Dwořaka, ale na pewno jeden z tych dwóch utworów, żaden inny, i niemal machinalnie zaczął wyobrażać sobie, co w podobnej sytuacji pomyślałby albo powiedziałałby Rodneyowi generał Pinochet, pomyślał o budżecie rządzonego przez Pinocheta państwa i pomyślał też z nie do końca zrozumiałą jeszcze satysfakcją, że w porównaniu z prezesem General Electric, Pinochet był jak majster w fabryce kamionek, który ma pod sobą grupę robotników nie liczniejszą niż wszyscy znajdujący się na całym obszarze Unii członkowie partii trockistowskiej (albo frakcji partii trockistowskiej), którą wspierał albo do której należał Rodney. W końcu Rodney zakończył całą tę sytuację. „No, dobra – powiedział. – Już skończyłem. Podrzucić cię na wydział?”

– I to wszystko – zakończył Ginés swoim śpiewnym chilijskim akcentem, wychylił kieliszek wina, otworzył szeroko oczy i rozłożył ręce na znak bezradności. – Podrzucił mnie na wydział i tam się

rozstaliśmy. Cały dzień nie mogłem uwolnić się od dziwnego wrażenia, że rano wkręciłem się przez pomyłkę w jakiś surrealistyczny spektakl, w którym całkiem niechcący zagrałem rolę.

Z biegiem czasu dobrze poznałem Ginésa i wiem, że nie opowiedział tamtej anegdoty z zamiarem zdyskredytowania Rodneya jako potencjalnego współpracownika pisma, faktem jest jednak, że nigdy więcej, ani na tym, ani na żadnym następnym spotkaniu redakcyjnym „Linii Mnogiej”, nie padło ponownie nazwisko mego przyjaciela. Poza tym, chcę dodać, że w towarzystwie Rodneya sam niejednokrotnie nie mogłem uwolnić się od podejrzeń, że oto gram przez pomyłkę w jakimś spektaklu albo jestem przedmiotem czyjegoś żartu (czasami żartu niepokojącego lub nawet złowrogiego), który nie daje się sklasyfikować i nic nie znaczy, a mimo to dotyczy mnie tak bardzo, jakby ktoś aranżował wszystko specjalnie z myślą o mnie. Innym znów razem wrażenie było wręcz przeciwne: że to nie ja, lecz Rodney gra w jakiejś sztuce, której prawdziwe znaczenie – obietnica ujawnienia cech osobowości mego przyjaciela wymykających się mimowolnej analizie, jakiej poddawałem go podczas naszych rozmów w Treno's – kołatało mi w głowie, niemal je chwytalem, lecz w ostatniej chwili rozwiewało się niczym mgła, jakby prostolinijna powierzchowność Rodneya nie skrywała nic poza równie prostolinijnym wnętrzem. Nie mogę tu nie wspomnieć pewnego zdarzenia, które miało miejsce niedługo po tym, jak zaczęliśmy się przyjaźnić, ponieważ w świetle określonych faktów, poznanych przeze mnie dużo później, nabiera dwuznacznego, lecz wymownego sensu.

W piątkowe popołudnia chodziłem czasami popływać na kryty basen uniwersytecki, znajdujący się jakieś dwadzieścia minut piechotą od domu. Pływałem godzinę albo półtorej, czasem nawet dwie, wchodziłem na chwilę do sauny, brałem prysznic i wracałem do domu wyczerpany, ale szczęśliwy i z poczuciem, że zrzuciłem nadmiar wagi zgromadzony w ciągu tygodnia. Jednego z takich piątków zaraz po wyjściu z basenu natknąłem się na Rodneya. Siedział na kamiennej ławce, po przeciwnej stronie ulicy, na wprost rozległego trawnika bez drzew, od którego oddzielało go tylko ogrodzenie z siatki, miał ręce splecione na piersi, opaskę na oku i wyciągnięte przed siebie skrzyżowane nogi, jakby wystawiał się leniwie na ostatnie promienie zachodzącego słońca. Zdziwiłem się i ucieszyłem na jego widok: zdziwiłem się, bo wiedziałem, że w piątkowe popołudnia Rodney nie prowadzi zajęć, a z drugiej strony wydawało mi się, że mój przyjaciel zazwyczaj nie zostaje w Urbanie ani chwili dłużej niż to konieczne i z wyjątkiem dwóch dni, kiedy spotykamy się w Treno's, skończywszy pracę na uniwersytecie, od razu wraca do Rantoul; ucieszyłem się, bo po wysiłku fizycznym człowiek ma straszną ochotę na piwo, papierosa i chwilę rozmowy. Jednakże w miarę zbliżania się do Rodneya, gdy minąłem już kraniec płotu zasłaniającego widok trawnika, zdałem sobie sprawę, że mój przyjaciel wcale się nie opala, lecz przygląda się grupie chłopców bawiących się na trawniku. Było ich czterech: ośmio-, dziewięcio-, a może dziesięciolatków, w dżinsach, koszulkach z krótkimi rękawkami i czapkach, rzucali do siebie plastikowy talerz frisbee, który fruwał między nimi, szybując albo kręcąc się wokół własnej osi jak latający talerz; pomyślałem sobie, że rodzice dzieci muszą być gdzieś w pobliżu, ale nie mogłem ich

dostrzec z miejsca, w którym się znajdowałem, na chodniku po przeciwnej stronie ulicy. Miałem już przejść przez ulicę i przywitać się z Rodneyem, ale się zatrzymałem. Nie jestem pewien, z jakiego powodu to zrobiłem, sądzę jednak, że zauważyłem coś dziwnego w moim przyjacielu, coś, co wydało mi się zniechęcające lub wręcz groźne, sztywność jakby zamrożonego na kość ciała, bolesne, prawie nieznośne napięcie w sposobie siedzenia i patrzenia na bawiące się dzieci. Znajdowałem się w odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu metrów od Rodneya, więc nie widziałem wyraźnie jego twarzy, czy też raczej widziałem ją tylko z profilu. Pamiętam, że stojąc bez ruchu, pomyślałem: tak bardzo chce mu się śmiać, że nie może się roześmiać. Potem pomyślałem: nie, on płacze i będzie płakać, dopóki dzieci sobie nie pójdą, nie wiadomo, czy kiedykolwiek się uspokoi. Potem pomyślałem: nie, to wariat, kompletny świr, nabierać nas, udając kogoś przy zdrowych zmysłach. Ciągle się jeszcze zastanawiałem, gdy jeden z chłopców rzucił talerz zbyt silnie i ten, przeleciawszy nad ogrodzeniem, lekko opadł na ziemię kilka metrów od Rodneya. Mój przyjaciel nie poruszył się, jakby nie zauważył krążka (co było oczywiście niemożliwe), chłopiec podszedł do siatki, wskazał na talerz i powiedział coś do Rodneya, a wtedy on wstał wreszcie z ławki, podniósł krążek i zamiast odrzucić go dzieciom, podszedł do ogrodzenia, ukucnął, żeby być na wysokości chłopca, który zbliżył się do niego po chwili wahania. Teraz znajdowali się twarzą w twarz, patrząc na siebie przez druciane romby siatki; albo raczej to Rodney patrzył na dziecko, a dziecko patrzyło na zmianę to na Rodneya, to na ziemię. Przez dwie albo trzy minuty – inni chłopcy stali w oddaleniu, czekając na kolegę, ale nie podchodzili – Rodney

i dziecko rozmawiali; albo raczej mówił tylko Rodney. Chłopczyk robił co innego: przytakiwał, uśmiechał się, zaprzeczał ruchem głowy, znowu przytakiwał, w pewnej chwili spojrzał Rodneyowi w oczy i jego zachowanie się zmieniło. Zrobił się nieufny albo przestraszony albo nawet (przez krótką chwilę) ogarnięty paniką, zdawało się, że chce odejść od ogrodzenia, ale Rodney zatrzymał go, chwytając za przegub ręki i mówiąc coś, co na pewno miało małego uspokoić; chłopczyk jednak zaczął się szarpać i odniosłem wrażenie, że zaraz zacznie krzyczeć albo się rozpłacze, Rodney nie puścił go, nadal coś do niego mówił po cichu, w sposób niemal przynaglający, gwałtowny, i przez sekundę ja też się przestraszyłem, pomyślałem, że coś się wydarzy, nie wiedziałem, co dokładnie, zastanawiałem się, czy powinienem interweniować, krzyknąć i kazać Rodneyowi puścić dziecko, pozwolić mu odejść. Po sekundzie ochłonąłem: wydawało się, że chłopczyk nagle się uspokoił i znowu zaczął przytakiwać, znowu się uśmiechnął, najpierw nieśmiało, a potem wyraźnie, i wtedy Rodney go puścił, a mały powiedział do niego kilka słów, których nie zrozumiałem, choć starałem się czytać z ruchu warg. Następnie Rodney wyprostował się bez pośpiechu i przerzucił przez ogrodzenie talerz, który poszybował w powietrzu i spadł daleko od miejsca, gdzie czekali koledzy chłopca, ten zaś, ku memu zdumieniu, wcale nie wrócił do nich od razu, lecz tkwił jeszcze przez chwilę przy siatce, niezdecydowany, rozmawiając spokojnie z Rodneyem, i odszedł dopiero wtedy, gdy koledzy krzyknęli kilka razy w jego stronę, że muszą już wracać. Rodney patrzył, jak wszyscy oddalają się biegiem po trawniku, i zamiast odwrócić się i również odejść, usiadł ponownie na ławce, znowu skrzyżował przed sobą nogi, znowu zaplótł na piersi ręce i zamarł

w bezruchu na wprost zachodzącego słońca, a ja nie śmiałem do niego podejść i udając, że nic nie widziałem, zaproponować, żebyśmy napili się piwa i trochę pogadali. Nie rozumiałem tej sceny i czułem się niezręcznie, może byłem też wzburzony, nabrałem też nagle pewności, że mój przyjaciel pragnie teraz przede wszystkim być sam, że długo jeszcze nie wstanie z ławki, poczeka, aż dzień zgaśnie i zapadnie noc, potem nadejdzie brzask, a on ciągle będzie płakał, a może śmiał się bezgłośnie, ciągle będzie patrzył na porośniętą trawą przestrzeń jak wielki pusty hangar, powoli zagarniany przez ciemność, w którym on pewnie widział jakieś tańczące, nieodgadnione cienie (ale tego się dowiedziałem albo wyobraziłem to sobie dużo później), mające sens tylko dla niego, nawet jeśli był to sens przerażający.

Taki był Rodney. A przynajmniej taki był Rodney w Urbanie przed siedemnastu laty, w czasie, kiedy się z nim przyjaźniłem. Taki, czasami bardziej irytujący, a także bardziej zdumiewający. A przynajmniej dużo bardziej zdumiewający i irytujący dla mnie. Pamiętam na przykład dzień, kiedy powiedziałem mu, że chcę być pisarzem. Nie przyznałem mu się wcześniej z tchórzostwa lub ze wstydu (albo z obu tych powodów razem), podobnie zresztą jak kolegom z „Linii Mnogiej”, gdzie pisywałem tylko recenzje i artykuły, ale wówczas, pod koniec listopada, już od ponad półtora miesiąca każdą wolną chwilę po zajęciach poświęcałem na pisanie powieści, której zresztą nigdy nie skończyłem. Tego wieczoru musiałem czuć się pewniej, bo powiedziałem Rodneyowi, że piszę. Byłem przejęty tym wyznaniem, jakbym wyjawiał wielki sekret, lecz wbrew memu oczekiwaniu, Rodney ani się nie ucieszył, ani nie zainteresował tą wiadomością; wprost przeciwnie; spochmurniał na

chwilę i z wyrazem znudzenia albo rozczarowania na twarzy odwrócił wzrok w stronę wielkiego okna w Treno's, upstrzonego o tej porze nocnymi światłami ulicy; po paru sekundach odzyskał swój normalny, wesoły i senny wyraz twarzy i zerknął na mnie z zaciekawieniem, ale nic nie powiedział. Zawstydziło mnie to milczenie, poczułem się jak głupek; wstyd szybko zmienił się w urazę. Żeby wybrnąć jakoś z tej sytuacji, pewnie zapytałem, czy nie dziwi go to, co usłyszał, bo Rodney odpowiedział:

– Nie. Dlaczego miałoby mnie dziwić?

– Bo nie wszyscy piszą powieści – wypaliłem.

Teraz Rodney uśmiechnął się.

– To prawda – przytaknął. – Ty też nie.

– Co masz na myśli?

– Ty nie piszesz powieści, ty starasz się je pisać, a to duża różnica. Lepiej, żebyś miał jasność w tym względzie. Poza tym – dodał, nie usiłując nawet złagodzić szorstkości poprzedniej wypowiedzi – nikt normalny nie czyta tylu książek, co ty, jeżeli sam nie zamierza pisać.

– Ty żadnej nie napisałeś – zauważyłem.

– Ja nie jestem normalny – odpowiedział.

Chciałem zapytać go, dlaczego nie jest normalny, ale nie zdążyłem, ponieważ Rodney szybko zmienił temat.

Po tej przerwanej rozmowie pozostał mi tak wielki niesmak, że zawiesiłem nasze spotkania w Treno's pod pretekstem nawału pracy, ale już tydzień później powróciliśmy do rozmowy o powieści i pogodziliśmy się, czy też raczej najpierw się pogodziliśmy, a potem wróciliśmy do rozmowy o powieści. Nie doszło do tego w Treno's ani we wspólnym pokoju na wydziale, lecz u Chińczyka Wonga po przyjęciu. Było tak. Pewnego dnia, zaraz po zajęciach

z katalońskiego, Wong dość uroczyście poprosił o głos i oznajmił, że jako pracę semestralną w szkole dramatycznej przygotował jakąś jednoaktówkę i dodał z wystudiowaną uniżonością, że byłby zaszczycony, gdybyśmy przyszli na próbę generalną przedstawienia, która odbędzie się jeszcze tego samego wieczoru, w piątek, u niego w domu, i powiedzieli, czy nam się podoba. Nie miałem, oczywiście, najmniejszego zamiaru skorzystać z tego zaproszenia, kiedy jednak wróciłem wieczorem z basenu, mając w perspektywie strasznie długi weekend, bez żadnych zaplanowanych wyjść, pomyślałem pewnie, że każdy pretekst jest dobry, żeby nie pracować, i poszedłem do Wonga. Przywitał mnie zaskoczony, z wylewną wdzięcznością i usłużnie zaprowadził na poddasze, na którego przeciwległym krańcu, ujrzałem przestrzeń, gdzie znajdował się jedynie stół i dwa fotele, oraz usadowionych już widzów, a wśród nich znajomego ponuraka, czyli mojego Amerykanina z zajęć o literaturze katalońskiej. Odrobinę zawstydzony, jakby mnie na czymś przyłapano, przywitałem się z nim, usiadłem obok i rozmawialiśmy, dopóki Wong nie uznał, że nikt więcej już nie przyjdzie i zarządził rozpoczęcie przedstawienia. Była to sztuka Harolda Pintera pod tytułem *Zdrajca*; nie pamiętam treści sztuki, pamiętam jednak, że występowały w niej cztery postaci, zdarzenia nie następowały po sobie chronologicznie (zaczynało się to od końca, a kończyło początkiem) i że wszystko działo się w ciągu wielu lat, w różnych miejscach, włącznie z pokojem hotelowym w Wenecji. Przedstawienie toczyło się już od dobrej chwili, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Nie przerwano występu. Wong podniósł się dyskretnie, poszedł otworzyć i chwilę później wrócił w towarzystwie

Rodneya, który, mocno schylony, żeby nie uderzyć głową w niski tutaj akurat sufit, skierował się w moją stronę i usiadł obok mnie.

– Co ty tu robisz? – szepnąłem do niego.

– A ty? – odpowiedział, puszczając do mnie oko.

Nagrodziliśmy aktorów gromkimi brawami, a Wong wyszedł na scenę, by wygłosić kilka słów podziękowania przygotowanych specjalnie na tę okazję, po czym zaprosił wszystkich piętro niżej na drobną przekąskę. Razem z Rodneyem zeszliśmy schodami z poddasza w towarzystwie ponurego Amerykanina, który chwalił przedstawienie wyreżyserowane przez Wonga i porównywał je z innym, widzianym lata wcześniej w Chicago. W salonie stał stół przykryty papierowym obrusem, zastawiony kanapkami, kanapeczkami i dużymi butelkami, wokół stołu niecierpliwie tłoczyli się zaproszeni goście, którzy zaczęli już pić i jeść, nie czekając na gospodarza i aktorów. Idąc za ich przykładem, wziąłem sobie szklankę piwa; idąc za moim przykładem, Rodney wziął sobie szklankę coca-coli i zaczął jeść kanapkę. Ponury Amerykanin rozmawiał, powściągliwie lub niechętnie – trzymając w ręce zapalonego papierosa – z bardzo szczupłą i bardzo wysoką dziewczyną, której niedbały wygląd doskonale pasował do punkowego stylu mojego kolegi. Rodney wykorzystał nieobecność Amerykanina, żeby zacząć rozmowę.

– Jak ci się podobało? – zagadnął.

– Sztuka?

Przytaknął ruchem głowy, przeżuwając kanapkę. Wzruszyłem ramionami.

– W porządku – powiedziałem. – Może być.

Rodney spojrzeniem domagał się jakiegoś rozwinięcia.

– No cóż – poddałem się. – Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy wszystko zrozumiałem.

– Ja natomiast jestem pewien, że nic nie zrozumiałem – powiedział Rodney, odchrząknawszy i przepłukawszy usta łykiem coca-coli. – Obawiam się jednak, że winny jest Pinter, nie Wong. Nie pamiętam już, gdzie czytałem, jak Pinter wymyślił swoją metodę pisania. Powiedział kiedyś do żony: „Kochanie, mam tu napisanych kilka niezłych scen, ale brak między nimi związku. Co mam zrobić?” A ona na to: „Nic się nie martw. Złóż je do kupy, a już krytycy się postarają, żeby obwieścić, co to znaczy”. Zadziałało, dowodem jest fakt, że nie ma takiego zdania Pintera, którego krytycy nie rozumieliby doskonale.

Roześmiałem się, ale nie skomentowałem słów Rodneya, bo w tej właśnie chwili do salonu wszedł Wong i jego aktorzy. Ktoś zaczął klaskać, ale bez większego odzewu, ja zaś podszedłem do Wonga, żeby mu pogratulować. Staliśmy przez chwilę, wymieniając uwagi na temat sztuki; potem przedstawił mi po kolei wszystkich aktorów, a na koniec swojego katalońskiego narzeczonego, jasnowłosego studenta informatyki, naburmuszonego i puciołowatego młodzieńca, który mimo wyraźnych oznak uczucia ze strony Wonga sprawiał takie wrażenie, jakby za wszelką cenę chciał ukryć przede mną to, co ich łączyło. Rodney nie podszedł do nas; nie pogratulował Wongowi, z nikim też nie rozmawiał. Stał nieruchomo oparty o framugę drzwi prowadzących do kuchni, uśmiechał się półgębkiem, w ręku trzymał swoją szklanę z colą, zupełnie jakby przyglądał się kolejnemu przedstawieniu. Zerkałem na niego ukradkiem, pilnując, żeby nie spotkać się z nim wzrokiem: stał tak całkiem sam, jakby niewidzialny dla wszystkich pośrodku gwarne-

przyjęcia. Nie wyglądał na skrepowanego tą sytuacją, przeciwnie: wydawało się, że naprawdę dobrze się bawi, słuchając muzyki i kipiących wokół niego rozmów, zdawało się, że zbiera się na odwagę, by przełamać narzuconą samemu sobie izolację i dołączyć do którejs z grup, które co chwila tworzyły się i rozchodziły, przede wszystkim jednak (przyszło mi to do głowy, gdy patrzyłem, jak spogląda na parę sunącą tanecznym krokiem w pustym kącie salonu) wydawał się dzieckiem zagubionym na spotkaniu dorosłych albo dorosłym zagubionym na dziecięcym spotkaniu, albo zwierzęciem zagubionym w stadzie zwierząt innego gatunku. Potem przestałem go szpiegować i zająłem się rozmową z jedną z aktorek, piegowatą blondynką, dosyć ładną, która opowiadała mi, jak trudno grać Pintera; ja jej mówiłem o tym, jak trudno zrozumieć Pintera, jego metodę kompozycji, opowiadałem o żonie Pintera, o krytykach Pintera; dziewczyna patrzyła na mnie w wielkim skupieniu, nie mogąc się zdecydować, czy powinna się rozzłościć, uznać, że prawie jej komplementy, czy może się roześmiać. Kiedy znowu poszukałem wzrokiem Rodneya, nie znalazłem go; rozejrzałem się po salonie i nic. Podeszedłem więc do Wonga i spytałem, czy go widział.

– Właśnie wyszedł – odpowiedział z urażoną miną, wskazując ręką drzwi. – Nie powiedział mi ani słowa na temat przedstawienia. Nie pożegnał się. Szkoda gadać, ten facet to wariat, żeby nie powiedzieć, że kawał chama.

Wyjrzałem przez wychodzące na ulicę okno i zobaczyłem go. Stał na schodach werandy, wysoki, masywny, bezradny i niepewny, w bladym świetle latarni ledwie rysował się jego profil drapieżnego ptaka, gdy podnosił kłapy kurtki, poprawiał na głowie futrzaną czapkę i zastygał w bezruchu, spoglądając w ciemność nocy i na

padające przed nim wielkie płatki śniegu pokrywające ogród i jezdnię matowym połyskiem. Przez sekundę przypomniałem sobie, jak siedział na ławce i przyglądał się dzieciom rzucającym frisbee, i pomyślałem, że płacze, a raczej: byłem pewien, że płacze, ale w następnej sekundzie pomyślałem, że jakoś tak dziwnie spogląda w noc, jakby widział coś, czego ja nie mogę zobaczyć, jakby patrzył na ogromnego owada albo w krzywe lustro, a potem pomyślałem, że w gruncie rzeczy patrzył w noc, jakby szedł wąwozem obok ciemnej przepaści i jakby nikt inny nie mógł czuć podobnych mdłości i strachu, i nagle, kiedy tak myślałem, zdałem sobie sprawę, że cały mój pielęgnowany od tygodnia żal do Rodneya wyparował, kto wie, czy nie dlatego, że chyba odgadłem, z jakiego powodu Rodney przyszedł na to przyjęcie, mimo że nigdy nie przychodzi na żadne wydziałowe spotkania.

Wziąłem płaszcz, pożegnałem się pośpiesznie z Wongiem i wyszedłem poszukać Rodneya. Znalazłem go, gdy otwierał drzwi swojego samochodu; nie sprawiał wrażenia szczególnie uradowanego moim widokiem. Zapytałem, dokąd się wybiera; odpowiedział, że jedzie do domu. Przypomniałem sobie o Wongu i powiedziałem:

– Mogłeś się przynajmniej pożegnać, nie sądzisz?

Nic nie powiedział; wskazał na swój samochód i spytał:

– Chcesz, żeby cię podrzucić?

Odpowiedziałem, że mam do domu piętnaście minut piechotą i wolę się przejść; potem zapytałem, czy chce przez chwilę dotrzymać mi towarzystwa. Rodney wzruszył ramionami, zamknął drzwi samochodu i ruszył piechotą razem ze mną, początkowo nie odzywając się ani słowem, a potem mówiąc z nagłym ożywieniem,

choć nie pamiętam o czym. Przypominam sobie natomiast, że szliśmy przez Race i że koło Silver Creek – starego, ceglanego młyna przerobionego na szykowną restaurację – Rodney zatrzymał się po chwilowym milczeniu, dysząc.

– O czym jest? – zapytał nieoczekiwanie.

Od razu wiedziałem, co ma na myśli. Spojrzałem na niego: futrzana czapka i podniesione klapy kurtki niemal zakrywały mu twarz; w jego oczach nie było śladu łez, miałem wrażenie, że się uśmiecha.

– Co jest o czym? – zapytałem.

– Powieść – odpowiedział.

– Ach, to – powiedziałem, krzywiąc się w grymasie wyniosłego lekceważenia, jakby niewytłumaczalna obojętność Rodneya wobec tej sprawy nie była powodem, dla którego zawiesiłem nasze spotkania w Treno's. – Cóż, tak naprawdę to jeszcze nie jestem pewien...

– Podoba mi się – przerwał mi Rodney.

– Co takiego ci się podoba? – spytałem zbity z tropu.

– Że jeszcze nie wiesz, o czym jest powieść – odpowiedział. – Jak się wie z góry, to źle: wtedy piszesz tylko to, co wiesz, czyli to, co wszyscy wiemy. Jeżeli natomiast nie wiesz jeszcze, co chcesz napisać, a równocześnie jesteś na tyle szalony albo zrozpaczony, albo masz tyle odwagi, żeby pisać dalej, to może się zdarzyć, że na koniec wyjdzie ci coś, o czym nawet nie wiedziałeś, że to wiesz, a do czego tylko ty możesz dojść, i to może okazać się interesujące.

– Zazwyczaj nie wiedziałem, czy Rodney mówi poważnie, czy żartuje, tym jednak razem nie zrozumiałem ani słowa z tego, co powiedział. Musiał to zauważyć, bo ruszając znowu przed siebie,

podsumował: – Chcę przez to powiedzieć, że kto zawsze wie, dokąd zmierza, nigdzie nigdy nie dochodzi, i że wiadomo, co chce się powiedzieć dopiero wtedy, gdy już się to powiedziało.

Tamtego wieczoru pożegnaliśmy się na wysokości Courier Café, bardzo blisko mojego domu, a w następnym tygodniu zaczęliśmy znowu spotykać się w Treno's. Odtąd często rozmawialiśmy o mojej powieści i choć z pewnością rozmawialiśmy też o innych rzeczach, to zachowałem w pamięci tylko rozmowy na jej temat. Były dość szczególne, często wprowadzające zamęt, zawsze na swój sposób stymulujące, ale tylko na swój sposób. Na przykład Rodneya w ogóle nie interesowały rozważania o fabule książki – gdy tymczasem ja właśnie nią przejmowałem się najbardziej – lecz o tym, kto tę fabułę rozwija. „Historie nie istnieją – powiedział mi kiedyś. – Istnieje natomiast ten, kto je opowiada. Jeżeli wiesz, kto to jest, jest historia; jeżeli nie wiesz, kto to jest, nie ma historii”. „No to ja już mam swoją historię”, powiedziałem. Wyjaśniłem, że jedyna rzecz w mojej powieści, co do której mam całkowitą jasność, to jest właśnie tożsamość narratora: był to osobnik dokładnie taki jak ja, znajdował się w dokładnie takich samych jak ja okolicznościach życiowych. „Czyli to ty jesteś narratorem?”, dopytywał się Rodney. „Nie ma mowy”, odparłem, zadowolony, że tym razem to ja wprawiłem go w konfuzję. „Bardzo mnie przypomina, ale to nie jestem ja”. Zapożyczając się u Flauberta i Eliota, dowodziłem, że narrator mojej powieści nie może być mną, bo w takim wypadku czułbym się zobowiązany do mówienia o sobie samym, co nie tylko jest formą ekshibicjonizmu, lecz również błędem pisarskim, bo prawdziwa literatura nigdy nie zdradza osobowości autora, lecz ją ukrywa. „To prawda – zgodził się Rodney. – Ale najlepszym

sposobem na to, żeby się ukryć, jest mówić dużo na swój temat”. Wydawało się, że Rodney nie był specjalnie zaintrygowany tym, co mu opowiadam albo co chciałem opowiedzieć w swojej książce; ciekawiło go natomiast to, czego opowiedzieć nie zamierzałem. „W powieści więcej znaczy to, czego się nie opowiada, niż to, co opowiedziane – powiedział znowu. – Chodzi mi o to, że przemilczenia są bardziej wymowne niż słowa i że cała sztuka narratora polega na umiejętności zamknięcia we właściwym momencie: dlatego najlepiej w gruncie rzeczy opowiadać historie, nie opowiadając ich wcale”. Słuchałem Rodneya urzeczony, prawie tak, jakby był czarodziejem, a każde wymawiane przez niego zdanie stanowiło niezbędny składnik magicznej mikstury, możliwe jednak, że te rozmowy o mojej niedoszłej powieści – z późniejszej perspektywy miałem ocenić, że były dla mnie zasadnicze, były też praktycznie ostatnimi naszymi rozmowami, choć ani ja, ani Rodney nie mogliśmy tego przewidzieć – na krótką metę zrobiły mi duży mętlik w głowie, bo nie da się ukryć, że co tydzień zmieniałem diametralnie pomysł na książkę. Mówiłem już, że w tamtym czasie byłem bardzo młody, brakowało mi doświadczenia i rozeznania, zarówno w życiu, jak i w sprawach literackich, dlatego zapewne w owych rozmowach o literaturze przykładałem nadmierną wagę do nieistotnych uwag Rodneya, a prawie umykały mi inne, które wcześniej czy później – raczej wcześniej niż później – miały mi się bardzo przydać; może się mylę, ale teraz skłaniam się do przekonania, choćby to było paradoksalne – czy też właśnie dlatego – że ta nawałnica błyskotliwych i często bezładnych uwag Rodneya nie wyrządziła mi nieodwracalnych szkód dlatego, że nie potrafiłem

oddzielić tego, co istotne, od tego, co zbędne, i tego, co rozsądne, od tego, co bez sensu.

Wreszcie pewnego ranka na początku grudnia, wręczyłem Rodneyowi pierwsze kilkanaście stron mojej powieści, a kiedy nazajutrz, po wejściu do wspólnego pokoju spytałem go, czy je przeczytał, on umówił się ze mną na rozmowę w Treno's, po zajęciach Roty. Niecierpliwie czekałem na jego opinię, jednakże tamtego popołudnia zajęcia tak mnie wykończyły, że kiedy przyszedłem do Treno's, przeszła mi już cała niecierpliwość albo zapomniałem o powieści i marzyłem tylko o tym, żeby napić się piwa i zapomnieć o Rocie i o ponurym Amerykaninie, którzy przez całą niekończącą się godzinę znęcali się nade mną, każąc mi tłumaczyć z katalońskiego na angielski i z angielskiego na kataloński bzdurną rozmowę o podobieństwach między jakimś wierszem J.V. Foixa i jakimś wierszem Daniela Arnauta. Nic dziwnego zatem, że kiedy po drugim piwie Rodney zapytał mnie zniecierpliwionym, czy jestem pewien, że chcę być pisarzem, odpowiedziałem:

– Kimkolwiek, byle nie tłumaczem. – Roześmieliśmy się, a przynajmniej ja się roześmiałem, ale równocześnie przypomniałem sobie o rozmowie, którą mieliśmy przeprowadzić na temat pierwszych stron mojej powieści, więc beztrąsko i żartobliwym nadal tonem zagadnąłem: – A co? Kawalek, który ci dałem, jest taki zły?

– Zły nie jest – odpowiedział Rodney. – Jest straszny.

To było jak kopnięcie w brzuch. Zareagowałem szybko: starałem się wytłumaczyć, że te kilkanaście stron to zaledwie brudnopis, starałem się bronić powieściowego zamysłu. Na próżno. Rodney

wyjął z kieszeni kurtki plik moich kartek, rozłożył je i przystąpił do systematycznego masakrowania ich zawartości. Zrobił to beznamiętnie, jak lekarz sądowy dokonujący sekcji zwłok, co zabolalo mnie jeszcze dotkliwiej; najbardziej jednak doskwierała mi świadomość, że mój przyjaciel ma rację. Załamany i wściekły, pełen urazy narastającej, w miarę jak mówił, zapytałem wreszcie, czy uważa, że powinienem dać sobie spokój z pisaniem.

– Tego nie powiedziałem – odparł z niezmaconym spokojem. – To, co powinieneś, i to, czego nie powinieneś robić, to twoja sprawa. Na początku każdy pisze podobne gnioty albo i gorzej, bo żeby być porządnym pisarzem, niepotrzebny jest nawet talent, wystarczy trochę wytrwałości. Zresztą talentu się nie ma, talent się zdobywa.

– To dlaczego mnie pytasz, czy jestem pewien, że chcę być pisarzem?

– Bo w końcu może ci się to udać.

– No to w czym problem?

– W tym, że to kurewskie zajęcie.

– Nie bardziej niż bycie tłumaczem, przypuszczam. Że już nie wspomnę o górniku.

– Nie bądź taki pewny – zaoponował z niewyraźną miną. – Sam nie wiem, może pisarzem powinien być tylko ten, kto nie może być nikim innym.

Roześmiałem się z okrutną satysfakcją, jak kamikadze albo jakby nadeszła chwila odwetu.

– Co ja słyszę, Rodney? Zaraz się okaże, że jesteś pieprzonym romantykiem. Albo sentymentalnym zgredem. Albo tchórzem. Ja wcale nie boję się porażki.

– Jasne – powiedział. – Bo nie masz zielonego pojęcia, co to oznacza. Ale, kto mówi o porażce? Ja mówiłem o sukcesie.

– Trzeba było tak od razu – powiedziałem. – Teraz rozumiem. Katastrofa z powodu sukcesu. O to chodziło. Ale to jest, chłopie, banał.

– Możliwe – powiedział, a potem, zupełnie jakby się ze mnie naśmiewał albo mnie strofował, ale nie dając tego po sobie poznać, dodał: – Ale nasze myśli nie dlatego stają się banalne, że są fałszywe, lecz dlatego, że są prawdziwe, a przynajmniej mają w sobie wiele z prawdy. Kiedy kogoś znudzi prawda i zaczyna głosić oryginalne poglądy, żeby wzbudzić zainteresowanie, koniec końców okazuje się, że plecie bzdury. W najlepszym wypadku bzdury oryginalne, a nawet ciekawe, ale jednak bzdury.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc pociągnąłem łyk piwa. Obrażony i odrzucony, uciekłem w sarkazm:

– W porządku, ale po przeczytaniu tego kawałka sam przyznasz, że sukces mi nie grozi.

– Tego też nie bądź taki pewien – zaproponował Rodney. – Nikt nie jest bezpieczny; może wystarczy być dostatecznie wytrwałym i przetrwać porażkę, żeby wpaść w sidła sukcesu. A wtedy już nie ma ucieczki. Koniec. Finito. Kaputt. Przypomnij sobie Scotta, Hemingwaya: obaj kochali sukces i sukces ich obu zabił, i to w dodatku na długo przed śmiercią. Szczególnie tego biedaka Scotta, bo był najsłabszy i najbardziej utalentowany i właśnie dlatego nieszczęście dopadło go wcześniej, nim się zorientował, że sukces to śmiertelna choroba, nieprzyzwoitość, katastrofa bez znieczulenia, upokorzenie na zawsze. Scott tak kochał sukces, że gdy już go miał, nie uświadomił sobie nawet, że choć zgrywał przed

sobą cynika, to w istocie zawsze tylko do niego dążył, a osiągnąwszy, zobaczył, że do niczego mu ten sukces niepotrzebny, że nie potrafi nic z nim zrobić, może tylko pozwolić, żeby go zdeprawował. I sukces go zdeprawował. Do cna. Oscar Wilde powiedział, jak wiesz: „W życiu zdarzają się dwie tragedie. Kiedy nie dostajemy tego, czego pragniemy. I kiedy to dostajemy”. – Rodney roześmiał się, ja nie. – Krótko mówiąc, chodzi mi o to, że masz większe szanse na to, że nie umrzesz z powodu porażki, niż że godnie przetrwasz sukces. Nikt o tym nie wspomina, nawet Oscar Wilde, bo to albo oczywiste, albo wstyd to głośno powiedzieć, ale tak właśnie jest. Jeżeli już się uprzesz, żeby być pisarzem, jak najdłużej odwlekaj sukces.

Słuchając Rodneya, nieuchronnie pobiegłem myślami do mego kumpla Marcosa i do naszych marzeń o triumfie i o arcydziełach, dzięki którym weźmiemy odwet na świecie, i przypomniało mi się, że kilka lat wcześniej Marcos opowiedział mi, jak to jeden jego kolega z Wydziału Sztuk Pięknych, męczący typ, przekonywał go, że porażka to dla artysty kondycja idealna, a on przytoczył mu w odpowiedzi słowa francuskiego pisarza, chyba Jules’a Renarda: „Tak, wiem. Wszyscy geniusze byli niedoceniani, ale ja nie jestem geniuszem i wolałbym odnieść sukces od razu”. Myślałem też, że Rodney mówi tak, jakby wiedział, czym jest sukces i porażka, podczas gdy nie zaznał ani jednego, ani drugiego (znał je tylko z książek, czyli tak jak ja, a ja miałem o nich blade pojęcie), i że w rzeczywistości jego słowa to tylko słowa człowieka przegranego, który przesiąkł obłudną i mdlącą mitologią porażki tak wszechobecną w tym kraju cierpiącym na historyczną obsesję sukcesu. Myślałem tak i byłem o krok, żeby to powiedzieć, ale nie

powiedziałem. Kiedy zapadła cisza, zażartowałem sobie tylko z jeremiady Rodneya:

– Masz przerabane, jak ponosisz klęskę, i masz przerabane, jak odnosisz sukces. Niezła perspektywa.

Mój przyjaciel nawet się nie uśmiechnął.

– To naprawdę kurewskie zajęcie – powiedział. – Ale nie z tego powodu. Albo nie tylko z tego powodu.

– Wydaje ci się, że to mało?

– Tak – powiedział, a potem zapytał: – Kim jest pisarz?

– A kim ma być? – zniecierpliwiłem się. – To gość, który potrafi ustawiać słowa jedno za drugim i robi to z wdziękiem.

– Właśnie – zgodził się Rodney. – Ale równocześnie jest to osobnik, który rozważa bardzo zawile problemy, zamiast je rozwiązywać albo starać się rozwiązać, jak postąpiłaby każda rozsądna osoba, i komplikuje te problemy jeszcze bardziej. Krótko mówiąc: to wariat, który patrzy na rzeczywistość i czasami ją widzi.

– Każdy widzi rzeczywistość – zaoponowałem. – Do tego nie trzeba być wariatem.

– I tu się mylisz – powiedział Rodney. – Wszyscy patrzą, ale mało kto widzi. Artysta nie sprawia, że to, co niewidoczne, staje się widoczne: takie myślenie to romantyzm, choć nie najgorszego lotu; artysta to ktoś taki, dzięki komu staje się widoczne to, co i tak widać, na co wszyscy patrzą i czego nikt albo nie umie, albo nie chce zobaczyć. Raczej nikt nie chce zobaczyć. Bo jest zbyt nieprzyjemne, często przerażające, i trzeba być nie lada twardzielem, żeby to zobaczyć i nie zamknąć oczu albo nie uciec, bo ten, kto widzi, niszczy samego siebie albo traci zmysły. Chyba że, jasna sprawa, ma do obrony jakąś tarczę albo może jakoś

spożytkować to, co widzi. – Rodney przerwał na chwilę, a potem ciągnął: – Chodzi mi o to, że zwykli ludzie cierpią z powodu rzeczywistości albo się nią cieszą, ale nie potrafią nic z nią zrobić, gdy tymczasem pisarz może, bo jego zawód polega na zmienianiu rzeczywistości w sens, nawet jeśli to złudny sens; to znaczy może zmienić rzeczywistość w piękno i wtedy to piękno albo ten sens służą mu za tarczę. Dlatego mówię, że pisarz to wariat, który ma obowiązek albo wątpliwy przywilej widzenia rzeczywistości, i dlatego kiedy pisarz przestaje pisać, sam się w końcu zabija, bo nie wyzwoliwszy się z nałogu ostrego widzenia rzeczywistości, nie ma już tarczy, za którą mógłby się przed nią schronić. Dlatego zabił się Hemingway. I dlatego kiedy jest się pisarzem, nie można przestać nim być, chyba że stawia się wszystko na jedną kartę. Jak mówię: bardzo kurewskie zajęcie.

Ta rozmowa mogła się źle skończyć – faktycznie były po temu wszystkie dane – tymczasem skończyła się najlepiej, jak można to sobie wyobrazić, bo Rodney i ja wyszliśmy z Treno's, pękając ze śmiechu, ja czułem się z nim zaprzyjaźniony jak nigdy dotąd i jak nigdy chciałem zostać prawdziwym pisarzem. Wkrótce potem rozpoczęły się ferie zimowe i Urbana opustoszała: niemal z dnia na dzień wszyscy studenci ruszyli w te pędy do domu, ulice, budynki i sklepy w kampusie wyludniły się i zapadła jakaś dziwna, kosmiczna (a może morska) cisza, jakby Urbana stała się zbłąkaną planetą albo rozświetlonym transatlantykiem, który jakimś cudem ugrzązł wśród bezkresnych śniegów Illinois. Kiedy ostatni raz byliśmy razem w Treno's, Rodney zaprosił mnie na dzień Bożego Narodzenia do siebie, do Rantoul. Nie przyjąłem zaproszenia: wyjaśniłem mu, że w tym czasie wybieramy się z Rodrigo Ginésem

w dawno już zaplanowaną podróż samochodem przez Środkowy Zachód, w towarzystwie Gudrun i jej amerykańskiej koleżanki, z którą przespałem się wcześniej kilka razy (miała na imię Barbara); powiedziałem też, że jeżeli zostawi mi swój numer telefonu w Rantoul, to po powrocie zadzwonię i umówimy się, zanim jeszcze rozpoczną się zajęcia.

– Nie ma sprawy – powiedział Rodney. – Ja do ciebie zadzwonię.

Tak się pożegnaliśmy i nim minął tydzień, wyjechałem z Rodrigo, Gudrun i Barbarą. Planowaliśmy piętnastodniową podróż, ale ostatecznie nie było nas prawie miesiąc. Jechaliśmy samochodem Barbary, początkowo wedle wytyczonego z grubsza planu, potem zdaliśmy się na kaprys oraz przypadek i tym sposobem, czasami spędzając w samochodzie cały dzień, sypiąc w przydrożnych motelach albo tanich hotelikach, zjechaliśmy najpierw na południe, przez Saint Louis, Memphis i Jackson aż do Nowego Orleanu; tam zatrzymaliśmy się kilka dni i ruszyliśmy powoli z powrotem, okrężną drogą na wschód przez Meridian, Tuscaloosę i Nashville do Cincinnati, a potem do Indianapolis, skąd wróciliśmy ostatecznie do domu, nasyceni światłem i chłodem, i autostradami, i dźwiękiem, i bezmiarem, i śniegiem, i barami, i ludźmi, i równinami, i brudem, i niebem, i smutkiem, i miasteczkami, i miastami Środkowego Zachodu. To była bardzo długa i szczęśliwa podróż, podczas której podjąłem nieodwracalną decyzję, że postąpię tak, jak radził mi Rodney: wyrzucę do śmieci powieść, nad którą pracowałem od miesiący, i od razu zacznę pisać inną. Tak więc pierwsze, co zrobiłem po powrocie do Urbany, to zacząłem szukać kontaktu z Rodneyem. W książce telefonicznej był tylko jeden Falk zamieszkały w Rantoul – Robert Falk, lekarz, a ponieważ

wiedziałem, że Rodney mieszka z ojcem, założyłem, że to ojciec Rodneya. Zadzwoiłem kilka razy na numer podany w książce, ale nikt nie podnosił. Rodney, wbrew temu, co mi obiecał, nie skontaktował się ze mną przez resztę ferii.

Pod koniec stycznia znowu zaczęły się zajęcia. Byłem pewien, że zobaczę się w końcu z Rodneyem, ale otworzywszy drzwi naszego pokoju na wydziale, nadziałem się wprost na jakiegoś grubasa o karnacji albinosa, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Oczywiście w pierwszej chwili pomyślałem, że pomyliłem pokój, i zacząłem przeproszać, ale nim się wycofałem, osobnik ten wyciągnął do mnie rękę i wydukał kiepską hiszpańszczyznę, że dobrze trafiłem, a on jest nowym asystentem. Speszony, uścisnąłem mu dłoń, coś bąknąłem, przedstawiłem się; potem chwilę rozmawialiśmy, pojęcia nie mam o czym, i dopiero na koniec zapytałem go o Rodneya. Powiedział, że nic nie wie prócz tego, że został zatrudniony na jego miejsce. Przed pierwszym wykładem usiłowałem dowiedzieć się czegoś w administracji: tam też nic nie wiedzieli. Dopiero następnego dnia uzyskałem w końcu wiadomości o moim przyjacielu od sekretarki dziekana. Zdaje się, że kilka zaledwie dni przed końcem ferii zadzwonił ktoś z rodziny, żeby uprzedzić, że Rodney nie wróci do pracy, i dziekan, wściekły z powodu takiego obrotu rzeczy, musiał szukać w pośpiechu kogoś na jego miejsce. Spytałem sekretarkę, czy wie, co się stało; odpowiedziała, że nie wie. Zapytałem ją, czy wie, czy dziekan wie; powiedziała, że nie, i poradziła mi, żebym go raczej o to nie pytał. Zapytałem ją, czy ma telefon Rodneya; powiedziała, że nie ma.

– Ani ja, ani nikt inny na wydziale – dodała i wtedy zrozumiałem, że jest równie wściekła na Rodneya jak jej szef; poddała się jednak

wobec mojej natarczywości i zanim wyszedłem, wycodziła przez zęby: – Ale mam jego adres.

Kilka dni później pożyczyłem samochód od Barbary i pojechałem do Rantoul. Było słoneczne popołudnie, początek lutego. Wyjechałem z Urbany przez Broadway i Cunningham Avenue, ruszyłem na północ autostradą biegnącą wśród pokrytych śniegiem, połyskujących w słońcu pól kukurydzy okraszonych ciemnymi plamami sosen, klonów, metalowych silosów i stojących samotnie domków, i po dwudziestu minutach, minąwszy wojskową bazę lotniczą, dotarłem do Rantoul, małego miasteczka zamieszkanego przez ludzi o skromnych dochodach (tak naprawdę niewiele większego niż duża wioska), w porównaniu z którym nawet Urbana miała wielkomięjski wygląd. Przy wjeździe, na skrzyżowaniu dwóch ulic – Liberty Avenue i Century Boulevard – była stacja benzynowa. Zatrzymałem się i spytałem mężczyznę w kombinezonie o Belle Avenue, czyli o ulicę, przy której, wedle sekretarki z wydziału, mieszkał Rodney. Dostałem kilka wskazówek i pojechałem dalej w kierunku centrum. Po chwili się zgubiłem. Zmierzchało, miasteczko wydawało się opustoszałe. Zatrzymałem samochód na jakimś rogu, tuż przy napisie: Sangamon Avenue. Przede mną ulicę przecinały tory kolejowe, a za nimi miasteczko znikało w mroku leśnych zagajników; po mojej lewej stronie ulica wkrótce się urywała, po mojej prawej stronie, jakieś trzysta metrów dalej, mrugał świetlisty neon. Skreśliłem w prawo i dojechałem do neonu Bud's Bar. Zaparkowałem w szeregu innych samochodów i wszedłem do środka.

W knajpie panowała zadymiona i radosna atmosfera sobotniej nocy. Było całkiem dużo ludzi: młodzi chłopcy grali w bilard,

kobiety wrzucały monety do automatów do gier, mężczyźni popijali piwo i oglądali mecz bejsbolowy na wielkim ekranie telewizyjnym: z szafy grającej głośno leciała muzyka country. Podeszedłem do baru: trzech barmani, dwaj młodziutcy i jeden trochę starszy, uwijali się wokół niskiego i zastawionego butelkami stołu. Czekając, aż któryś mnie obsłuży, przyglądałem się wiszącym na ścianie w głębi zdjęciom gwiazd bejsbolu i wielkiemu portretowi Johna Wayne'a w dżinsach, z ciemnoczerwoną chustką zawiązaną na szyi. Wreszcie podeszedł najstarszy z barmanów, z wyrazem zabiegania na twarzy, lecz zanim jeszcze spytał mnie, czego się napiję, ja powiedziałem, że szukam Belle Avenue, konkretnie numeru 25 przy Belle Avenue. Zapytał żartobliwym tonem:

– Szuka pan lekarza?

– Szukam Rodneya Falka – odpowiedziałem.

Musiałem to powiedzieć zbyt głośno, bo dwóch mężczyzn obok, wspartych łokciami o bar, odwróciło się w moją stronę. Mina barmana zmieniła się: wesołość ustąpiła miejsca zdziwieniu i zaciekawieniu; on też oparł się łokciami o kontuar, jakbym swoją odpowiedzią wyhamował jego pospieszną krzataninę. Był mężczyzną około czterdziestki, mocno zbudowanym brunetem, o ostrych rysach twarzy, skośnych oczach i z nosem boksera; na głowie miał przepoconą czapkę z napisem Red Socks, spod której na karku i na skroniach wystawały kosmyki przethuszczonych włosów.

– Zna pan Rodneya? – zapytał.

– Jasne – odpowiedziałem. – Pracujemy razem w Urbanie.

– Na uniwersytecie?

– Na uniwersytecie.

– Rozumiem – pokiwał głową w zamyśleniu. Potem dodał: – Rodneya nie ma w domu.

– Ach tak – powiedziałem i już miałem zapytać, gdzie jest albo skąd wiadomo, że nie ma go w domu, ale chyba czułem się już niepewnie, bo nie zapytałem. – Trudno, to bez znaczenia. – Powtórzyłem: – Mógłby mi pan powiedzieć, jak znaleźć Belle Avenue numer 25?

– Jasne – uśmiechnął się. – Ale nie ma pan wcześniej ochoty na kufelek piwa?

Spostrzegłem, że mężczyźni siedzący przy barze nadal lustrują mnie badawczo, i przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że wszyscy klienci baru czekają na moją odpowiedź; zimna piana wypełniła mi nagle żołądek, zupełnie jakbym zapadł właśnie w sen albo wkroczył w jakąś niebezpieczną przestrzeń, z której powinienem czym prędzej uciekać. Myślałem tylko o jednym: o tym, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Nie, dziękuję.

Zgodnie z tym, co powiedział barman, dom Rodneya znajdował się o niecałe pięćset metrów od Bud's Bar, zaraz za skrzyżowaniem w Belle Avenue. Był starszy, większy i solidniejszy od sąsiednich: oprócz dwuspadowego dachu w kolorze ciemnoszarym cały budynek pomalowany był na biało: na górze znajdowało się obszerne poddasze, niżej dwa piętra, weranda i schodki z brązowymi stopniami oraz trawnik przykryty śniegiem, dwa rozłożyste klony i maszt, na którym łagodnie powiewała na wieczornym wietrze amerykańska flaga. Zaparkowałem samochód przed domem, wszedłem po schodkach na werandę i nacisnąłem dzwonek. Nikt nie otworzył, więc zadzwoniłem ponownie. Chciałem już zajrzeć do

środku domu przez jedno z okien na parterze, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich siwiuteński mężczyzna około siedemdziesiątki, ubrany w niebieską, bardzo grubą bonzurkę i kapcie w tym samym kolorze, jedną rękę wspierał na gałce drzwi, w drugiej trzymał książkę; za nim, w półmroku korytarza, dostrzegłem wieszak na ubranie, lustro w drewnianej ramie i pierwsze stopnie przykrytych dywanem schodów prowadzących w ciemność następnego piętra. Poza budową ciała i kolorem oczu trudno było dopatrzeć się w nim podobieństwa do Rodneya, a jednak odgadłem od razu, że to jego ojciec. Uśmiechnąłem się, przedstawiłem się trochę zmieszany i zapytałem o Rodneya. On przyjął nagle postawę obronną i nadzwyczaj poważnym tonem zapytał, kim jestem. Wyjaśniłem mu. Dopiero wtedy trochę się odprężył.

– Rodney wspominał mi o panu – powiedział, choć z jego spojrzenia nadal przebłyskiwała nieufność. – Pisarz, co?

Powiedział to bez cienia ironii, a ja poczułem, że oblewam się rumieńcem, tak samo jak niecały rok wcześniej podczas rozmowy z Marcelem Cuartero w El Yate: po raz drugi w moim życiu ktoś nazwał mnie pisarzem i poczułem wstyd zmieszany z dumą oraz przypływ serdecznych uczuć dla Rodneya. Nic nie odpowiedziałem, wyglądało jednak na to, że mężczyzna nie zamierza zaprosić mnie do środka ani przerwać ciszy, więc – żeby położyć kres milczeniu – zapytałem go, czy jest ojcem Rodneya. Powiedział, że tak. Znowu zapytałem go o Rodneya, a on odpowiedział, że nie wie, gdzie może być.

– Wyjechał dwa tygodnie temu i nie wrócił – powiedział.

– Czy coś mu się stało? – zapytałem.

– Dlaczego miałoby mu się coś stać? – odpowiedział pytaniem.

Wtedy opowiedziałem mu, czego dowiedziałem się na wydziale.

– To prawda – potwierdził. – To ja ich zawiadomiłem, że Rodney nie wróci do pracy. Mam nadzieję, że nie spowodowało to kłopotów.

– W żadnym razie – skłamałem, myśląc o dziekanie i jego sekretarce.

– Cieszę się – powiedział ojciec Rodneya. – No, cóż – dodał, ruchem ręki dając mi do zrozumienia, że chce zamknąć drzwi – proszę wybaczyć, ale jestem zajęty i...

– Proszę chwilę poczekać – przerwałem, nie wiedząc wcale, co powiedzieć dalej; powiedziałem: – Chciałbym, żeby przekazał pan Rodneyowi, że tu byłem.

– Nie ma obawy. Powiem mu.

– Czy pan wie, kiedy wróci?

Zamiast odpowiedzi ojciec Rodneya westchnął i jakby nie mógł zobaczyć mnie wyraźnie w coraz większym mroku zapadającej nocy, zdjął dłoń z gałki w drzwiach i przycisnął włącznik: jasne światło wymiotło w jednej chwili zmierzch z werandy.

– Niech pan mi powie – powiedział, mrugając oczami – po co pan tu właściwie przyjechał?

– Już mówiłem – odparłem. – Jestem przyjacielem Rodneya. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego nie wrócił do Urbany. Chciałem się dowiedzieć, czy nic mu nie jest. Chciałem się z nim zobaczyć.

Mężczyzna przyglądał mi się uważnie, jakby przedtem tak naprawdę mnie nie widział albo jakby rozczarowała go moja odpowiedź, a może jakby go zaskoczyła; chwilę później nieoczekiwanie uśmiechnął się, zarazem twardo i niemal serdecznie,

uśmiech pokrył mu twarz zmarszczkami i wtedy po raz pierwszy odnalazłem w niej ślad rysów Rodneya.

– Naprawdę pan uważa, że byliście z Rodneyem przyjaciółmi? – spytał.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem.

Westchnął ponownie i zapytał, ile mam lat. Powiedziałem mu.

– Jest pan bardzo młody. Proszę mi coś powiedzieć: czy Rodney rozmawiał z panem kiedyś o Wietnamie? – zapytał i zaraz sam sobie odpowiedział: – Nie, oczywiście, że nie. Niby dlaczego miałby z panem rozmawiać o Wietnamie? Nic by pan nie zrozumiał. Nawet ze mną o tym nie rozmawiał, tylko na początku. Rozmawiał z matką, dopóki żyła. I ze swoją żoną, dopóki to wytrzymała. Wiedział pan, że Rodney był żonaty? Nie, tego też pan nie wiedział. Nic pan o Rodneyu nie wie. Nic. Jak mielibyście się przyjaźnić? Rodney nie ma przyjaciół. Nie może ich mieć. Rozumie to pan, prawda?

W miarę mówienia ojciec Rodneya coraz bardziej podnosił głos, z każdą chwilą bardziej przekonany o swojej racji, coraz bardziej zdenerwowany, słowa rozniecały jego złość i przez chwilę bałem się, że zatrzaśnie mi drzwi przed nosem albo zacznie płakać. Nie zatrzasnął mi drzwi przed nosem ani się nie rozplakał. Umilkł nagle, zniedołężniały, trochę zdyszany, z książką w ręce, zapatrzony w zapadającą nad Belle Avenue noc, której nie rozpraszało skąpe, żółtawe światło rzucane przez klosze latarni. Ja też stałem w milczeniu, czułem się bardzo mały i niepozorny wobec tego rozgniewanego starca, a przede wszystkim czułem, że nie powinienem był przyjeżdżać do Rantoul w poszukiwaniu Rodneya.

Wtedy mężczyzna, jakby czytał w moich myślach, odezwał się strapionym tonem:

– Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był tak do pana mówić.

– Nic się nie stało – uspokoiłem go.

– Rodney wróci – oznajmił, nie patrząc mi w oczy. – Nie wiem kiedy, ale wróci. A przynajmniej tak myślę. – Zawahał się przez chwilę, a potem ciągnął: – Przez całe lata był rzadkim gościem w domu. Rzucało go to tu, to tam, nie czuł się dobrze. Ale ostatnio wszystko zmieniło się na lepsze i dobrze się czuł na uniwersytecie. Wiedział pan, że dobrze się czuł na uniwersytecie?

Skinąłem twierdząco głową.

– Czuł się dobrze, tak, ale to nie mogło długo trwać: za dobrze, żeby to mogła być prawda. Tak więc stało się to, co musiało się stać. – Wolną ręką chwycił znowu gałkę w drzwiach; znowu na mnie spojrzał. Nie wiem, co było w jego oczach, nie wiem, co dokładnie w nich zobaczyłem (to już nie było niedowierzanie, nie była to też wdzięczność), nie umiałbym nawet określić, co dokładnie poczułem na ten widok, wiem jednak, że to coś bardzo przypominało strach. – I tyle – zakończył. – Proszę mi wierzyć, jestem wdzięczny, że zadał pan sobie trud i przyjechał aż tutaj, i proszę wybaczyć moją nieuprzejmość. Jest pan dobrym człowiekiem, więc pan zrozumie; poza tym, Rodney pana cenił. Ale niech pan posłucha mojej rady: proszę wrócić do Urbany, zająć się pracą, żyć jak najlepiej pan umie i zapomnieć o Rodneyu. Taka jest moja rada. W każdym razie, jeżeli nie może pan albo nie chce zapomnieć o Rodneyu, to najlepiej niech się pan za niego modli.

Wróciłem tego wieczoru do Urbany z chaosem w głowie, a może i trochę przestraszony, jakbym popełnił jakiś błąd

o nieprzewidywalnych konsekwencjach. Czułem się w Urbanie bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem i po raz pierwszy pomyślałem, że nie powinienem zostawać dłużej w tym nie moim kraju, którego natury nigdy do końca nie rozszyfruję, byłem w każdym razie gotów zapomnieć na zawsze o niefortunnej wizycie w Rantoul i zastosować się ściśle do rad ojca Rodneya. Niezupełnie mi się to udało, po pierwsze dlatego, że dawno już przestałem się modlić, a poza tym szybko zdałem sobie sprawę, że Rodney był dla mnie zbyt ważny i nie mogę, ot tak, wymazać go ze swego życia, w dodatku w Urbanie wszystko sprzysięgło się, żeby mi o nim przypominać. Faktycznie, nikt nie wspomniał o Rodneyu więcej na wydziale ani w następnych tygodniach, ani w ogóle do końca mego pobytu w Urbanie, i nawet gdy zdarzało mi się spotkać na wydziałowym korytarzu Dana Gleylocka, nigdy nie zapytałem, czy ma o nim jakieś wiadomości. Ilekroć jednak przechodziłem obok Treno's, a przechodziłem codziennie, wspominałem Rodneya, zacząłem też czytać jego ulubionych pisarzy i nie mogłem nie myśleć o nim, gdy tylko otwierałem książkę Emersona albo Hawthorne'a, albo Twaina, nie mówiąc już o Hemingwayu, nie mogłem też nie czuć na plecach jego czujnego oddechu, gdy siadałem do pisania. Tak więc, mimo że Rodney ulotnił się całkowicie, w rzeczywistości był bardziej obecny w moim życiu niż przedtem, zupełnie jakby stał się upiorem albo zombi. Tak czy inaczej, nie minęło dużo czasu, a ja nabrałem przekonania, że nigdy więcej nie usłyszę o Rodneyu.

Myliłem się, oczywiście. Pewnego wieczoru na początku kwietnia albo pod koniec marca, zaraz po Spring Break – to amerykański odpowiednik ferii wielkanocnych – zadzwonił telefon. Pamiętam, że

kończyłem właśnie czytać opowiadanie Hemingwaya pod tytułem *Jasne, dobrze oświetlone miejsce*, kiedy rozległ się dzwonek; pamiętam też, że odebrałem, zanurzony myślami w tym bardzo smutnym opowiadaniu, a szczególnie w zawartej tam straszliwie smutnej modlitwie: „Nicości, która jesteś w nicości, nicość imię twoje, nicość królestwo twoje, bądź nicość twoja, jako w nicości, tak i w nicości”; dzwonił ojciec Rodneya. Najpierw wyznał, że zdobył mój numer telefonu na wydziale, a potem, nim jeszcze zdołałem otrząsnąć się ze zdziwienia, zaczął przeproszać za sposób, w jaki mnie potraktował podczas mojej wizyty w Rantoul. Wszedłem mu w słowo; powiedziałem, że nie ma za co przeproszać, i spytałem, czy wiadomo coś o Rodneyu. Odpowiedział, że kilka dni wcześniej Rodney zadzwonił z jakiejś miejscowości w Nowym Meksyku, że chwilę rozmawiali, że Rodney czuje się dobrze, choć pewnie nie wróci na razie do domu.

– Ale nie dlatego do pana dzwonię – wyjaśnił od razu. – Dzwonię, bo chciałbym z panem porozmawiać. Mógłby mi pan poświęcić chwilę?

– Oczywiście. O co chodzi?

Ojciec Rodneya jakby zawahał się przez sekundę, a potem powiedział:

– Prawdę mówiąc, wolałbym porozmawiać bezpośrednio. W cztery oczy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu.

– Czy zechciałby pan przyjechać do mnie? – spytał.

– Oczywiście – zgodziłem się i chociaż chciałem tam pojechać, bo zdążyłem już zapomnieć o niepokoju, jaki mną owładnął po

pierwszej bytności w Rantoul, dodałem: – Ale proszę mnie przynajmniej uprzedzić, o czym chce pan pomówić.

– To nic ważnego – powiedział. – Chciałbym tylko opowiedzieć panu pewną historię. Myślę, że może pana zaciekać. Odpowiada panu w sobotę po południu?

Gwiazdzisty sztandar

Od tamtego wiosennego popołudnia, które spędziłem w Rantoul, minęło już szesnaście lat, a ja wciąż pamiętam dokładnie historię, którą ojciec Rodneya opowiedział mi podczas kilkugodzinnej rozmowy; może dlatego że przez te wszystkie lata wiedziałem, że prędzej czy później sam będę musiał ją opowiedzieć, że nie mógłbym jej nie opowiedzieć. Natomiast moja pamięć o okolicznościach towarzyszących tej rozmowie jest już dużo mniej precyzyjna.

Przyjechałem do Rantoul wczesnym popołudniem i bez trudu trafiłem na miejsce. Gdy tylko przycisnąłem dzwonek, ojciec Rodneya otworzył mi i wprowadził do salonu – przestronnego, gościnnego i dobrze oświetlonego pomieszczenia z kominkiem, skórzaną sofą i dwoma fotelami z jednej strony, a z drugiej, przy oknie wychodzącym na Belle Avenue, z dębowym stołem otoczonym krzesłami; ściany salonu aż po sufit były zastawione książkami stojącymi w perfekcyjnie równych rzędach, a podłogę przykrywały grube, tłumiące odgłos kroków dywany w odcieniach wina. Prawdę mówiąc, po nieoczekiwanym telefonie słusznie przewidywałem, że od początku ojciec Rodneya będzie wylewnie serdeczny, żeby zatrzeć wspomnienie pierwszego spotkania, nie mogłem jednak przewidzieć, że ten sam mężczyzna, który zaledwie kilka miesięcy

wcześniej przyjął mnie w bonzurce i kapciach i potraktował dość bezceremonialnie, teraz powita mnie ubrany z wytworną elegancją bardziej właściwą sędziwemu bostońskiemu patrycjuszowi niż emerytowanemu wiejskiemu lekarzowi ze Środkowego Zachodu, przemieniony dla niepoznaki w jednego z tych afektowanych starców, którzy z właściwą sobie arogancją za wszelką cenę starają się demonstrować wigor i dobre samopoczucie niczym ktoś, kto nie zamierza pogodzić się jeszcze z koniecznością porzucenia na okrucinach życia oferowanych przez starość. Jednakże w miarę jak trwała opowieść, dla wysłuchania której przyjechałem, ta fasada kruszyła się coraz bardziej, pojawiały się na niej rysy, zacieki i głębokie pęknięcia, a mniej więcej w połowie opowiadania mężczyzna stracił już werwę. Z początku wyrzucał z siebie słowa jakby opętany długo wzbierającą potrzebą, albo raczej jakby całe życie sprowadzało się do jego mówienia i mojego słuchania, patrzył mi uporczywie w oczy i szukał u mnie niemożliwego potwierdzenia. Po jakimś czasie jego słowa straciły wszelką żywołowość i przebijała z nich już tylko trująca i nieubłagana pamięć człowieka udręczonego wyrzutami sumienia i powalonego nieszczęściem, a popielate światło wpadające przez okno i wypełniające salon mrocznymi cieniami starło mu z twarzy wszelkie ślady odległej młodości, pozostawiając w zamian ledwie obrys trupiej czaszki. Pamiętam, że w pewnej chwili usłyszałem bębnienie deszczu o dach werandy i że to bębnienie od razu niemal zmieniło się w radosną wiosenną ulewę i musieliśmy zapalić lampę stojącą, bo zapadła już noc, a my od wielu godzin siedzieliśmy naprzeciwko sobie w głębokich fotelach – on mówił, a ja słuchałem, w popielniczce piętrzyły się niedopałki, na stole stał dzbanek z kawą oraz dwie

puste filizanki i leżała sterta wymiętych listów ze stemplem pocztowym armii amerykańskiej, nadanych w Sajgonie, w Danang, w Xuan Loc, w Quang Ngai, w różnych miejscowościach półwyspu Batagan, listów obejmujących okres mniej więcej dwóch lat i pisanych przez dwóch synów doktora: Rodneya i Boba, ale przede wszystkim przez Rodneya. Było tych listów bardzo dużo, zostały ułożone chronologicznie i umieszczone w trzech czarnych tekturowych teczkach zapiętych na gumkę, z których każda miała na wierzchu przyklejoną karteczkę z napisanym ręcznie imieniem Boba lub Rodneya, słowem „Wietnam” oraz datą pierwszego i ostatniego listu. Miałem wrażenie, że ojciec Rodneya zna te wszystkie listy na pamięć, a przynajmniej, że czytał je dziesiątki razy; również tamtego wieczoru przeczytał mi kilka z nich. To mnie nie zdziwiło, ale zupełnie osłupiałem, gdy na koniec zmusił mnie, żebym te listy zabrał ze sobą. „Mnie nie są już do niczego potrzebne”, powiedział, wręczając mi na pożegnanie trzy tecki. „Niech pan je zatrzyma. Zrobi pan z nimi, co uzna za stosowne”. Była to jawnie absurdalna prośba, ale właśnie dlatego nie mogłem albo nie umiałem mu odmówić. Może zresztą wcale nie była taka absurdalna. Na pewno od szesnastu lat staram się to zrozumieć: tłumaczyłem sobie, że powierzył mi listy od swoich synów, bo wiedział, że zostało mu już niewiele życia, i nie chciał, by trafiły w ręce kogoś przypadkowego, kto mógłby je po prostu wyrzucić; tłumaczyłem sobie, że powierzenie mi listów było symboliczną i beznadziejną próbą uwolnienia się na zawsze od zawartej w nich okropnej historii i że oddając je, czynił mnie niejako depozytariuszem tej historii albo nawet czynił mnie za nią odpowiedzialnym, albo chciał mnie zmusić, bym dźwigał wspólnie

z nim brzemie winy. Tłumaczyłem to sobie tak i na inne sposoby, ale naturalnie po dziś dzień nie wiem na pewno, dlaczego to zrobił, i nigdy się już nie dowiem; zresztą może on sam nie wiedział. Wszystko jedno: rzecz w tym, że mi je dał i mam je teraz przed sobą, kiedy piszę. W ciągu tych szesnastu lat czytałem je wiele razy. Listów Boba jest mało, są zwięzłe, uprzejme i powierzchowne, jakby to wojna pochłaniała wszystkie jego myśli i całą energię, a reszta była tylko banałem i iluzją; listów Rodneya jest natomiast dużo, obfitują w szczegóły i w sposobie ich pisania widoczna jest ewolucja, jaką przeszedł w ciągu spędzonych w Wietnamie lat: na początku słowa są uważnie dobrane, wyciera z nich troska i staranie, by opisywać rzeczywistość, stosując zawiłą retorykę niedopowiedzeń, przemilczeń, aluzji, metafor i sugestii, pod koniec listy zmieniają się w gwałtowny potok słów, kipią złością, czasem są niemal świadectwem delirium, tak jakby rozpędzający się wir wojny przerwał jakąś tamę i rozlała się fala tłumionych emocji.

Teraz zatem następuje historia Rodneya albo co najmniej taka jego historia, jaką mi tamtego wieczoru opowiedział jego ojciec, jak ja ją zapamiętałem i jaka wyłania się z listów Rodneya i jego brata Boba. Nie ma zasadniczych rozbieżności między tymi dwoma źródłami i chociaż uściśliłem niektóre nazwiska, miejsca i daty, to nie wiem, które partie tej historii są zgodne z prawdą, a które należy przypisać wyobraźni, słabej pamięci albo złemu sumieniu narratorów: ja opowiadam tylko to, co mi opowiedziano (i co wywnioskowałem lub wyobraziłem sobie na podstawie tego, co mi opowiedziano), nie zaś to, co wydarzyło się w rzeczywistości. Należy dodać, że tamtego wieczoru, słuchając opowiadanej przez ojca historii Rodneya, miałem dwadzieścia pięć lat i nie wiedziałem

nic lub prawie nic o wojnie w Wietnamie i że wojna ta w najlepszym razie kojarzyła mi się wtedy (tak przypuszczam) z niezrozumiałym hałasem dzienników telewizyjnych moich chłopięcych lat, a potem z męczącą obsesją niektórych filmowców z Hollywood. Poza tym, jakkolwiek mieszkałem już prawie od roku w Stanach Zjednoczonych, nie mieściło mi się w głowie, że coś, co zakończyło się ponad dziesięć lat wcześniej, może być dla Amerykanów tak samo żywe jak wtedy, 29 maja 1973 roku, kiedy to armia amerykańska wycofała się w końcu z Wietnamu, straciwszy tam uprzednio sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, w większości dwudziestokilkuletnich chłopców, i po zrównaniu z ziemią zaatakowanego kraju, na który spadło dziesięć razy więcej bomb niż na całą Europę podczas drugiej wojny światowej.

Rodney urodził się czterdzieści jeden lat wcześniej, niż odbyła się nasza rozmowa w Rantoul. Jego ojciec pochodził z Houlton w stanie Maine, na północnym wschodzie Stanów, przy granicy z Kanadą. Studiował najpierw w Augustie, dokąd rodzina przeniosła się po kryzysie ekonomicznym dwudziestego dziewiątego roku, który zrujnował dziadka Rodneya, a potem studiował w Nowym Jorku. Gdy ukończył wydział lekarski Uniwersytetu Columbia, w roku czterdziestym trzecim zaciągnął się jako szeregowiec do wojska i przez dwa następne lata walczył na północy Afryki, we Francji i w Niemczech. Nie był religijny (nie był aż do późnej starości), w domu rodzinnym wpojono mu jednak zasady sprawiedliwości i prawości moralnej, typowe wychowanie protestanckie, czuł więc wielką wewnętrzną satysfakcję, walcząc na wojnie, bo był przekonany, że broni wolności i że dzięki jego poświęceniu i poświęceniu innych, podobnych mu młodych Amerykanów, Stany

Zjednoczone uratowały świat przed ponurą grozą faszyzmu; był także przekonany, że jego kraj, wyrósłszy na gwaranta wolności dzięki swemu zbrojnemu zaangażowaniu, nie mógł uchylić się, czy to z powodu wygodnictwa, czy tchórzostwa, od przyjętej na siebie moralnej odpowiedzialności za resztę zniewolonego świata, dławionego przez terror i niesprawiedliwość, i nie przyjść z pomocą wszystkim pragnącym wyzwolić się z opresji. Wrócił z Europy w czterdziestym piątym. Jeszcze tego samego roku zaczął pracować jako lekarz w publicznej służbie zdrowia na Środkowym Zachodzie, najpierw w Saint Paul, w stanie Minnesota, później w Oak Park na przedmieściach Chicago, a w końcu, z powodów, których mi nie wyjaśnił, a ja ze swej strony nie chciałem go wypytywać (dał mi do zrozumienia, a może ja to wywnioskowałem z jego słów, że miały jakiś związek z jego idealizmem albo naiwnością i z całkowitym rozczarowaniem sposobem funkcjonowania publicznej służby zdrowia), osiadł ostatecznie w Rantoul, co dziwne, a nawet zagadkowe, bo trudno sobie wyobrazić mniej obiecujące miejsce pracy dla młodego, ambitnego lekarza z szerokimi horyzontami, jak on. W Rantoul ożenił się z poznaną w Chicago dziewczyną z bardzo ubogiej rodziny; tam też w tym samym roku przyszedł na świat Rodney; Bob urodził się rok później.

Od samego początku Rodney i Bob byli swoim dokładnym przeciwieństwem; z biegiem czasu ta różnica tylko się pogłębiła. Obaj mieli po ojcu siłę fizyczną i mocny charakter, ale tylko Bob czuł się z tym dobrze i potrafił wykorzystywać, Rodney tymczasem zdawał się traktować te przymioty nieledwie jak dopust boży, dar, ale i karę, coś, czemu trzeba się przeciwstawiać, ale i akceptować, jak wrodzoną chorobę. Jako dziecko Rodney był ekstrawertykiem do

granic naiwności, spontanicznym, czułym, wybuchowym, i ten prostoduszny charakter w połączeniu z pasją czytania i znakomitymi wynikami w nauce sprawił, że stał się zdecydowanym ulubieńcem ojca. Bob – przeciwnie, możliwe, że aby ugrać coś na ojcowskich wyrzutach sumienia z powodu faworyzowania Rodneya, przyjął w stosunkach z rodziną postawę obronną i zdystansowaną, nacechowaną chłodną kalkulacją, ugodową i wstrzemięźliwą, a niekiedy znowu despotyczną, co początkowo mogło oznaczać tylko chęć zwracania na siebie uwagi, niepostrzeżenie jednak zmieniło się w strategię obliczoną na ukrycie niedostatków charakteru i intelektu, które słusznie czy nie, sprawiały, że czuł się gorszy, a to z kolei z biegiem czasu upodobniło go do książkowego modelu młodszego brata, który wydaje się dużo dojrzały niż jest, i często rzeczywiście jest taki, ponieważ w kontaktach z rodziną stale ucieka się do podstępów i sztuczek, które starszemu nie są do niczego potrzebne. Te różnice i nierówności nie przełożyły się jednak na wrogość między braćmi, ponieważ Bob był nazbyt pochłonięty pielęgnowaniem urazy do ojca, by żywić ją dodatkowo do Rodneya, a Rodney, który nie miał żadnych powodów, by darzyć Boba niechęcią i był świadom, że bardziej skorzysta na sprawności fizycznej i życiowej zaradności brata niż brat na jego inteligencji, dbał o to, by Bob mógł powetować sobie doznane krzywdy podczas wspólnych zabaw, w trakcie ulubionych przez obu polowań, łowienia ryb i gry w bejsbol, na wspólnych wypadach i wśród wspólnych przyjaciół. Tak więc, w wyniku walki przeciwieństw, która często leży u podłoża najtrwalszych i najmocniejszych przyjaźni, odmienność Rodneya i Boba stała się w końcu najlepszą

gwarancją braterskiego porozumienia, któremu nic nie zdoła zagrozić.

Nawet wojna. W połowie 1967 roku Bob zaciągnął się na ochotnika do marines i kilka miesięcy później znalazł się w Sajgonie w składzie Pierwszej Dywizji Piechoty. Wszystkich zaskoczył swoją decyzją; ojciec Rodneya nie wykluczał, że jej powodów należało upatrywać w dwóch różnych, lecz uzupełniających się sprawach: w niemożności sprostania studiom medycznym, które rok wcześniej Bob rozpoczął nie tyle z powołania, co z desperacji – chciał udowodnić samemu sobie, że potrafi dorównać ojcu, oraz powodowany pragnieniem, by poprzez ten nagły akt odwagi zaskarbić sobie podziw rodziny. Jeżeli istotnie tak było – a wedle ojca Rodneya niepodobna przypuszczać, by było inaczej – Bob podjął trafną decyzję, bo dowiedziawszy się o niej, ojciec poczuł się w głębi serca dumny z syna: w owym czasie ojciec Rodneya, podobnie jak wielu innych Amerykanów uważał, że wojna w Wietnamie jest sprawiedliwa i że jego syn, podejmując decyzję, by walczyć o wyzwolenie dalekiego i bezbronnego kraju od zła komunizmu, postanowił w istocie wykonać w południowo-wschodniej Azji to samo zadanie, którego on sam podjął się w Europie dwadzieścia cztery lata wcześniej. Rodney, znający Boba lepiej niż rodzice, nie był zaskoczony jej decyzją, ale napełniała go ona przerażeniem i jako jedyny członek rodziny, który wiedział wcześniej, że brat nosi się z zamiarem jej podjęcia, zrobił wszystko, by go od niej odwieść, a gdy już zapadła, by namówić go do jej odwołania. Nie udało mu się. Rodney studiował wtedy w Chicago filozofię i literaturę, wbrew niewyrażanemu wprost, lecz stanowczemu z początku sprzeciwowi ojca, i miał na temat wojny

diametralnie odmienne zdanie niż brat i ojciec, który z kolei przypisywał postawę pierworodnego syna rozwiązałej atmosferze i pacyfistycznym nastrojom panującym w kampusie Northwestern University, podobnie jak w innych kampusach uniwersyteckich jak Stany długie i szerokie. W chwili kiedy Bob wstępował do wojska, Rodney z całą pewnością miał już wyrobione zdanie na temat tego, co działo się w Wietnamie Południowym i Północnym: nie dość, że w prasie amerykańskiej i francuskiej śledził na bieżąco przebieg wojny, to przeczytał całą historię Wietnamu, czytał wszystko, co wpadło mu w ręce na temat wojny, łącznie z analizami Mary McCarthy, Philippe'a Devillersa i Jeana Laucouture'a oraz książkami Morrisona Salisbury'ego i Staughtona Lynda czy Toma Haydena, i doszedł do wniosku – niebędącego wynikiem emocji, jak w wypadku wielu jego kolegów na uniwersytetach, lecz wniosku opartego na rozumowych przesłankach – że głoszone publicznie powody interwencji jego kraju w Wietnamie były nieprawdziwe lub zafałszowane, jej cel był niejasny i niesprawiedliwy, a metody jej prowadzenia potworne i nieproporcjonalnie brutalne. Tak więc Rodney bardzo szybko zaczął brać udział w protestach przeciwko wojnie i przy tej okazji poznał Julię Flores, Meksykankę z Oaxaki, wesołą i pozbawioną kompleksów studentkę matematyki w Northwestern, która wciągnęła go po uszy w ruch pacyfistyczny, wprowadziła w tajniki miłości, w palenie marihuany i w podstawy hiszpańskiego, w jej akurat przypadku pełnego przekleństw.

Kiedy latem po ukończeniu studiów przyjechał na kilka dni do rodziny do Rantoul, dostał powołanie do wojska. Mógł się go spodziewać, co nie znaczy, że nie wpadł w panikę. Nie wspomniał o niczym rodzicom; nie szukał też schronienia u Julii ani porady

kolegów, towarzyszy niedawnych protestów. Rodney wiedział, że nie ma żadnego prawdziwego usprawiedliwienia, które wybroniłoby go przed wojskiem, możliwe zatem, że przez kilka następnych dni męczył się rozdarty między strachem przed dezercją, która oznaczałaby emigrację do Kanady, jak w przypadku wielu młodych ludzi, i strachem przed pójściem na daleką i znenawidzoną wojnę, której – w przeciwieństwie do swego brata Boba, w jego mniemaniu człowieka czynu i bardzo zaradnego – nie przeżyje, był tego pewien. W tym czasie, pełnym dręczących wątpliwości, nadszedł list od Boba i ojciec, jak to miał w zwyczaju, przeczytał list na głos podczas wspólnej kolacji, okraszając lekturę pełnymi dumy komentarzami, które dla Rodneya w jego stanie ducha brzmiały jak wyrzut, albo też, które on zinterpretował jako wyrzut. Tak czy owak, gdy ojciec wygłaszał jeden z tych swoich komentarzy, Rodney mu przerwał, co przeistoczyło się w wymianę zdań, a wymiana zdań w sprzeczkę, jedną z tych, w których obie strony dobrze wiedzą, gdzie uderzyć, by połała się krew, bo znakomicie znają się nawzajem. Tym razem krew się nie połała – przynajmniej ta prawdziwa – były natomiast oskarżenia, obelgi i trzaskanie drzwiami, a nazajutrz, kiedy wszyscy jeszcze spali, Rodney wziął samochód ojca i znikł, a kiedy pojawił się znowu po trzech dniach, nie dawszy wcześniej znaku życia, usiadł z ojcem i matką i oznajmił im, że za dwa miesiące idzie do wojska. Prawie dwadzieścia lat po owym fatalnym sierpniowym dniu, siedząc naprzeciw mnie w tym samym fotelu, w którym dowiedział się kiedyś o nieodwołalnej decyzji syna, ojciec Rodneya – z filiżanką kawy w ręce, szukający w moich oczach pociechy, jakiegoś błysku rozgrzeszenia – nadal nie potrafił powiedzieć, gdzie był jego syn w ciągu tamtych trzech dni ani co wtedy robił, i nadal

zadawał sobie pytanie, podobnie jak robił to po wielokroć przez ostatnie dwadzieścia lat, dlaczego Rodney nie zdezerterował, lecz podporządkował się w końcu wezwaniu i pojechał na wojnę. Przez cały ten czas nie udało mu się znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi na pierwsze pytanie; inaczej było z drugim. „Ludzie skłonni są wierzyć, że wiele wyjaśnień brzmi mniej przekonująco niż jedno – powiedział ojciec Rodneya. – Rzecz w tym, że niemal wszystko wydarza się z więcej niż jednego powodu”. Był przekonany, że jego syn nie poszedłby do wojska, gdyby mógł tego legalnie uniknąć; Rodney nie potrafił świadomie naruszyć prawa – choćby uważał je za niesprawiedliwe – a tym bardziej poniżyć się do tego stopnia, żeby prosić ojca, by użył swych znajomości i skłonił któregoś z kolegów do wystawienia fałszywego zaświadczenia lekarskiego. Z drugiej strony, odmowa pójścia na wojnę w imię pacyfistycznych przekonań skutkowałaby dla Rodneya dwoma latami więzienia, a wybór emigracji do Kanady wiązał się z ryzykiem niemożności powrotu do kraju przez wiele lat. „Poza tym – ciągnął ojciec Rodneya – w gruncie rzeczy był jeszcze chłopcem z głową pełną powieści przygodowych i filmów z Johnem Wayne’em: wiedział, że jego ojciec był na wojnie, że jego dziadek był na wojnie, że mężczyźni po prostu chodzą na wojnę, że tylko na wojnie mężczyzna sprawdza się jako mężczyzna”. Dlatego ojciec Rodneya przypuszczał, że syn przechowywał gdzieś głęboko, w jakimś zakamarku głowy – wywodząc to z takich wartości jak odwaga, uczciwość i prawość, które sam mu zaszczepił, i zmagając się z kiełkującymi w umyśle młodego człowieka, który dopiero co osiągnął pełnoletność, własnymi przekonaniem – wyobrażenie wojny jako czegoś heroicznego i romantycznego, jako zasadniczego

zdarzenia w życiu mężczyzny. Tym ojciec Rodneya tłumaczył swoje przekonanie, które dojrzewało w nim w ciągu minionych dwudziestu lat: skoro jego syn zdradził własne antywojenne poglądy, pokonał strach i podporządkował się wezwaniu do wyjazdu na wojnę do Wietnamu, zrobił to w gruncie rzeczy powodowany lękiem, że w przeciwnym razie nigdy nie będzie mógł znowu spojrzeć im w oczy, nie będzie mógł spojrzeć w oczy bratu ani matce, ale przede wszystkim – nade wszystko – nie będzie mógł jemu spojrzeć w oczy. „Tak więc, to ja wysłałem Rodneya do Wietnamu – powiedział ojciec Rodneya. – Tak samo jak wcześniej wysłałem tam Boba”.

Przed wyjazdem do Wietnamu Rodney przeszedł pierwsze ćwiczenia (nazywano to „ćwiczeniami zasadniczymi”) w Fort Jackson, w Południowej Karolinie, i drugie (nazywano to „ćwiczeniami zaawansowanymi”) w Fort Polk, w Luizjanie. Z tamtego czasu datują się jego pierwsze listy. „Pierwsze, co się czuje, przyjeżdżając tu – pisze Rodney z Fort Jackson – to że rzeczywistość cofa się do jakiegoś stadium prymitywnego, bo w tym miejscu liczą się tylko hierarchia i przemoc: silni dają sobie radę, słabi nie. Kiedy wszedłem do środka, obrzucono mnie obelgami, ogolono mnie na zero, dostałem nowe ubranie, pozbawiono mnie mojej tożsamości, nie trzeba mi było mówić, że jeżeli chcę wyjść z tego żywy, muszę spróbować upodobnić się do otoczenia, rozpląnąć się w tłumie, oraz że muszę być bardziej brutalny niż reszta moich kolegów. To, co zauważasz w następnej kolejności, jest jeszcze bardziej elementarne. Wiedziałem przed przyjazdem tu, że szczęście doskonałe nie istnieje, tu jednak nauczyłem się, że nie ma też doskonałego nieszczęścia, bo to, że znowu oddychasz, może być

źródłem nieskończonego szczęścia”. Podczas pierwszych dwudziestu dni w Fort Jackson Rodney stracił na wadze dziesięć kilo. Tam oraz w Fort Polk jego duszą zawładnęły dwa uczucia: zdumienie i strach. Kolegów miał młodszych od siebie, w większości osiemnasto- i dziewiętnastolatków: byli wśród nich przestępcy, którym sędzia pozwolił wybrać między więzieniem i wojskiem; byli też nieszczęśnicy, którzy – nie wiedząc, co począć z własnym życiem – wyobrazili sobie, i słusznie, że wojsko wytyczy przed nimi jakiś cel i nada życiu sens; ale w przeważającej części rekruci składali się z niewykwalifikowanych robotników, adaptujących się do rygorów służby wojskowej łatwiej niż on, który chociaż był przyzwyczajony do życia pod gołym niebem i od dawna umiał posługiwać się bronią palną, to jednak wiódł nazbyt łatwe i beztrudne życie, by teraz przetrwać brutalność wojska bez szwanku. Ale był też strach: nie jako stan ducha, lecz jako doznanie fizyczne, zimne, poniżające i zaraźliwe; nie strach przed dalekim wrogiem, jeszcze niewidocznym, abstrakcyjnym, lecz strach przed dowódcami, przed kolegami, przed samotnością, przed samym sobą: strach, który – może paradoksalnie – nie przeszkodził mu jednak rozsmakować się w tych wszystkich rzeczach. Jest list wysłany z Xuan Loc 30 stycznia 1969 roku, kiedy Rodney był już niemal od roku w Wietnamie, w którym szczegółowo opisuje pewne zdarzenie z owych pierwszych miesięcy ćwiczeń, zupełnie jakby potrzebował całego roku, żeby to przetrwać albo żeby zebrać się na odwagę, by to opowiedzieć. Kilka dni przed wyjazdem do Wietnamu kazano im się zgromadzić, jemu i jego kolegom, w dużej sali w Fort Polk, w celu wysłuchania ostatniej pogadanki kapitana i sierżanta, którzy właśnie wrócili z wojny, na temat technik przetrwania w dżungli. Kiedy mówił

kapitan – mężczyzna o nienaganych manierach i z niewzruszonym uśmiechem przyklejonym do ust – sierżant trzymał w ręku bielutkiego, mięciutkiego i niespokojnego królika ze zdumionymi oczyma dziecka, który w końcu skupił na sobie zainteresowanie żołnierzy. W pewnej chwili królik wyrwał się z rąk podoficera i pognął przed siebie; kapitan przerwał wypowiedź, a w sali wybuchła wrzawa jak na szkolnym boisku, gdy tymczasem królik czmychał między ławkami, aż wreszcie ktoś go złapał i podał sierżantowi. Wtedy kapitan wziął go z rąk sierżanta i zanim przycichła wrzawa i w sali zapanowała przeraźliwa cisza, skrzył królikowi kark, obdarł go ze skóry, wyrwał jednym szarpnięciem wnętrzności i rzucił nimi w żołnierzy, nadal się uśmiechając i nie plamiąc się nawet krwią.

Kilka dni po tym zdarzeniu, pomyślanym jako przestroga lub ostrzeżenie, Rodney wylądował na lotnisku wojskowym Tan Son Nhat w Sajgonie po niemal trzydziestu godzinach lotu na pokładzie samolotu Braniff Airlines, gdzie stewardesy ubrane w wojskowe mundury podawały żołnierzom hot--dogi. Był początek 1969 roku, właśnie rozpoczynała się Ofensywa Tet, a w mieście – podówczas jednym wielkim śmietniku, pełnym zwiędłych kwiatów, papierów gnanych wiatrem po cuchnących moczem ulicach, ludzkich ekskrementów, wypalonych tulei petard i zimnych ogni wystrzelonych podczas niedawnego święta – wszędzie wyczuwało się strach, epidemię strachu. To właśnie rzuciło mu się w oczy, gdy tylko znalazł się w Wietnamie: strach, znowu strach. Po drugie, znowu zdumienie. Tym razem jednak powód zdumienia był inny, taki mianowicie, że Wietnam, jaki Rodney zbudował sobie w wyobraźni, wcale nie przypominał tego realnego; można by

właściwie powiedzieć, że chodziło o dwa różne kraje: Wietnam wyobrażony wydawał się z perspektywy Stanów Zjednoczonych dużo prawdziwszy niż Wietnam rzeczywisty, a sam Rodney czuł się dużo mniej wyobcowany z tamtego Wietnamu niż z tego. Konsekwencją owego paradoksu był kolejny paradoks: chociaż Rodney nadal odrzucał z pogardą to, co Stany Zjednoczone robiły w tym kraju (i do czego sam się przyczyniał jako żołnierz Stanów Zjednoczonych), to jednak w Wietnamie czuł się dużo bardziej Amerykaninem niż w Ameryce i mimo szacunku i podziwu, jaki od razu wzbudzili w nim Wietnamczycy, tutaj nie byli mu tacy bliscy jak tam. Rodney przypuszczał, że ta niespójność brała się z całkowitej niemożności porozumienia się z nielicznymi Wietnamczykami, z którymi miał kontakt, i nie tylko dlatego, że niektórzy nie znali jego języka: nawet ci, którzy mówili po angielsku, przytłaczali go swoją egzotyką, niezdolnością do ironii, niewiarygodną zdolnością do wyrzeczeń, zdumiewającą i ciągłą powagą, przesadną uprzejmością (łatwo było ją pomylić ze służalczością powodowaną strachem) i mdlącą łatwownością. W pierwszych dniach pobytu w Sajgonie często nie mógł wyzbyć się podejrzenia, że ci drobni ludzie o orientalnych rysach twarzy, wszyscy bez wyjątku wyglądający na młodszych o dziesięć lat i niezależnie od wieku niesiwiejący i bez łysin, są bardziej lapidarni albo mniej skomplikowani niż on, i to podejrzenie, choć prawdziwe, napełniało go poczuciem jakiejś niejasnej winy. Początkowe wrażenia z czasem niewątpliwie uległy zmianie (choć zmiana ta była ledwie zauważalna w listach, zapewne dlatego, że gdy nadeszła chwila, by ją odnotować, on był już pochłonięty innymi sprawami), Rodney nie potrzebował też wiele czasu, by zdać sobie sprawę, że

połączone oddziaływanie Wietnamu i służby w wojsku jego również uczyniło mniej skomplikowanym i jakkolwiek postrzegał to jako psychiczne okaleczenie, w skrytości ducha czuł ulgę: bycie żołnierzem wykluczało niemal całkowicie osobistą autonomię, ale ta niemożność decydowania o sobie samym, podporządkowanie się ścisłej wojskowej hierarchii, przy całym swym poniżającym i ogłupiającym charakterze, działały zarazem jak środek znieczulający, przynosząc poczucie nieznanego i nikczemnego szczęścia, przez swą nikczemność nie mniej przecież rzeczywistego, bo Rodney przekonał się wówczas na własnej skórze, że wolność, choć bardziej pociągająca od zniewolenia, jest zarazem dużo bardziej bolesna, a cierpienia pragnął najmniej ze wszystkiego, przynajmniej w Wietnamie.

Tak więc pierwsze miesiące Rodneya w Wietnamie nie były trudne. Pomógł mu szczęśliwy los. W odróżnieniu od swego brata, wysłanego od razu na front, wyrokiem losu, którego nigdy nie zrozumiał (z czasem przypisał to kaprysowi jakiegoś biuralisty), został skierowany jako podkomendny do instytucji zajmującej się organizowaniem rozrywki dla żołnierzy, z siedzibą w stolicy. Wojna toczyła się uspokajająco daleko od tego miejsca; zresztą sama praca wcale nie była niewdzięczna: większość czasu spędzał w klimatyzowanym biurze, wychodząc tylko wtedy, gdy trzeba było odebrać z lotniska i zawieźć do hotelu piosenkarzy, gwiazdy filmowe i komików, upewnić się, że mają wszystko, czego im trzeba, albo zawieźć namiejsce występów. Była to uprzywilejowana praca na tyłach, niezwiązana z ryzykiem większym niż zakwaterowanie w Sajgonie; rzecz w tym, że wówczas nawet samo mieszkanie w Sajgonie wiązało się ze znacznym ryzykiem. Rodney miał okazję

przekonać się o tym zaledwie miesiąc po przyjeździe do miasta. Przedstawię to zdarzenie tak, jak on je relacjonuje w jednym ze swoich listów.

Któregoś popołudnia po wyjściu z pracy Rodney zaszedł do baru przy przystanku autobusu, którym codziennie wracał do bazy wojskowej, swego miejsca zakwaterowania. W barze przy dwóch stołach siedziały dwie grupki żołnierzy, był też jeden podoficer z Zielonych Beretów, który pił samotnie przy końcu barowej lady. Rodney oparł się łokciami o kontuar na przeciwległym krańcu, zamówił piwo i je wypił. Kiedy zapytał, ile jest winien, kelnerka – młoda Wietnamka o delikatnych rysach i spłoszonym spojrzeniu – powiedziała, że już zapłacono, i wskazała na podoficera, który, nie odwracając się w stronę Rodneya, podniósł tylko ociężale rękę w geście powitania; Rodney podziękował mu z daleka i wyszedł. Odtąd co dzień po pracy zachodził do tego baru na piwo. Początkowo rytuał tych codziennych wizyt był zawsze taki sam: wchodził, siadał przy barze, wypijał jedno piwo, wymieniając uśmiechy i pojedyncze słowa po wietnamsku z kelnerką, potem płacił i wychodził; za czwartym albo piątym razem udało mu się przełamać nieufność kelnerki, która jak się okazało, znała angielski na podstawowym, lecz zupełnie wystarczającym poziomie i zaczęła rozmawiać z nim w wolnych od pracy chwilach. Ale któregoś dnia to się skończyło. Było to w piątek po południu, jak w każdy piątek o tej porze w barze tłoczyli się żołnierze, świętując koniec tygodnia pierwszym pijaństwem, i kelnerki nie nadały z obsługą. Rodney miał właśnie uregulować rachunek i wyjść, kiedy ktoś poklepał go po ramieniu. Był to podoficer z Zielonych Beretów, który przywitał się z nim wylewnie i zaprosił na jednego, a Rodney poczuł się

zobowiązany, by przyjąć zaproszenie; mężczyzna, przekrzykując hałas, zamówił piwo dla Rodneya i podwójną whisky dla siebie. Rozmawiali. W trakcie rozmowy Rodney przyjrzał się mężczyźnie: był niski, umięśniony i żyłasty, z twarzą poraną głębokimi zmarszczkami; miał zacięte i jakby zdeorientowane spojrzenie i czuć było od niego alkohol. Mówił niewyraźnie, ale Rodney wydedukował, że nieznajomy pochodzi z małego miasteczka w Arizonie, w Wietnamie jest od ponad roku i że zostało mu już niewiele do końca; ze swej strony opowiedział mu, że przyjechał do Sajgonu zaledwie kilka tygodni wcześniej, i wyjaśnił, czym się zajmuje. Po pierwszej whisky przysłała druga, a potem trzecia. Kiedy podoficer zamierzał zamówić czwartą, Rodney oznajmił, że wychodzi: powiedział to już po raz trzeci, ale tym razem poczuł, że czyjaś dłoń zaciska mu się na ramieniu jak obręcz. „Spokojnie, żołnierzu”, rzucił podoficer, a Rodney wychwycił w tej pozornie przyjacielskiej radzie wibrację ostrza noża. „To już ostatnia”. Podoficer zamówił whisky. Czekając, aż mu ją przyniosą, zwrócił się do Rodneya z pytaniem, którego ten nie dosłyszał. „Mówiłem, że po co tu według ciebie jesteśmy?”, powtórzył podoficer coraz bardziej bełkotliwie. „W tym barze?”, zapytał Rodney. „W tym kraju”, wyjaśnił podoficer. Odkąd Rodney przyjechał do Sajgonu, nie po raz pierwszy ktoś zadawał mu to pytanie, znał już zatem regulaminową odpowiedź, szczególnie tę, której należy udzielić podoficerowi. Odpowiedział. Podoficer zaśmiał się, czkając, i zanim podjął wątek, upomniał się najpierw o zamówioną wcześniej whisky. „Nawet ty w to nie wierzysz. Może wyobrażasz sobie, że ocalimy tych ludzi od komunizmu z pomocą tej bandy pijaków? – zapytał, wskazując przyjacielskim, żartobliwym gestem żołnierzy wypełniających lokal.

– Coś ci powiem: jesteśmy tu tylko po to, żeby zabijać żółtków. Widzisz tę dziewczynę?”, pokazał na kelnerkę, która szła w ich kierunku z tacą zastawioną napojami i z trudem torowała sobie drogę w tłumie klientów. „Pół godziny temu prosiłem ją o szklanę whisky, ale mi jej nie przynosi. Wiesz dlaczego? Nie, jasne, że nie wiesz. Ale ja ci powiem. Nie przynosi mi jej, bo mnie nienawidzi. Po prostu. Nienawidzi mnie. Ciebie też nienawidzi. Zabiłaby cię, gdyby mogła, mnie także. A teraz dam ci radę. Radę przyjacielską. Radzę ci, żebyś ty ją zabił, nim ona zabije ciebie”. Rodney nie zdołał nic powiedzieć, bo w tej właśnie chwili kelnerka przechodziła obok nich i podoficer podstawił jej nogę, dziewczyna runęła na ziemię wśród brzęku tłuczonego szkła. Rodney poderwał się instynktownie, żeby pomóc jej wstać z podłogi i pozbierać stłuczki. „Co ty do diabła robisz?! – usłyszał za sobą głos podoficera. – Sama sobie poradzi, chuj z nią”. Rodney schylił się ku dziewczynie i od razu poczuł lekkie kopnięcie w żebra, jakby ktoś go popychał. „Powiedziałem, że masz ją zostawić, żołnierzu!”, powtórzył podoficer, tym razem groźnie. Rodney wyprostował się i wypalił bez namysłu, jakby mówił do siebie: „Nie trzeba było tego robić”. Natychmiast pożałował swoich słów. Podoficer przyglądał mu się przez kilka sekund z zaciekawieniem, potem ryknął śmiechem. „Co powiedziałeś?” Rodney zauważył, że w barze zapadła cisza i że spojrzenia wszystkich skierowały się w jego stronę; kelnerka ze spłoszonym wzrokiem przyglądała mu się uważnie zza baru. Usłyszał własny głos: „Powiedziałem, że nie trzeba było podcinać nóg tej dziewczynie”. Dostał pięścią w skroń; potem słyszał, jak podoficer na niego wrzeszczy, obrzuca obelgami, kpi z niego, poczuł kolejny cios. Wytrzymał to upokorzenie bez ruchu. „Nie zamierzasz

się bronić, żołnierzu?”, krzyknął tamten. „Nie”, odpowiedział Rodney, choć narastała w nim wściekłość. „Dlaczego nie? – wrzasnął znowu tamten. – Kto ty jesteś? Ciota? A może pierdolony pacyfista?” „Jestem żołnierzem – odpowiedział Rodney. – A pan jest podoficerem, w dodatku pijanym”. Wtedy podoficer, nie spuszczać oczu z Rodneya, zerwał niespiesznym ruchem dystynkcje, a potem odezwał się głosem, który brzmiał, jakby wydobywał się spod ziemi: „A teraz się broń, pieprzony tchórze”. Walka trwała ledwie kilka sekund, bo cała gromada żołnierzy rzuciła się natychmiast, żeby rozdzielić przeciwników. Rodney nie ucierpiał za bardzo w tym starciu, w następnych dniach oczekiwał zrezygnowany, że zostanie oskarżony o pobicie podoficera, ale ku jego zdumieniu, nikt oskarżenia nie wniósł. Dopiero po jakimś czasie zajrzał ponownie do baru i wtedy dowiedział się od szefowej, że jego znajoma już tam nie pracuje i wyjechała z Sajgonu. Zapomniał o całym zdarzeniu. Starał się zapomnieć o kelnerce. Jednakże kilka tygodni później ją zobaczył. Czekał tamtego popołudnia na przystanku autobusowym, razem z innymi żołnierzami, którzy jak on wybierali się z powrotem do bazy, kiedy zebrzący chłopiec, jakich wielu kręciło się po okolicy, zaczął tak usilnie prosić, żeby pozwolił mu wyczyścić sobie buty, że Rodney w końcu się zgodził. Postawił jedną stopę na skrzynce pucybuta, a uniósłszy wzrok, dostrzegł dziewczynę i bardzo się ucieszył na jej widok: stała po drugiej stronie ulicy i patrzyła na niego. W pierwszej chwili myślał, że ona też się cieszy ze spotkania, bo uśmiechała się albo jemu się tak wydawało, lecz zaraz dostrzegł, że to jakiś dziwny uśmiech i jego radość zmieniła się w trwogę, bo uświadomił sobie, że w rzeczywistości dziewczyna przyzywa go do siebie nagłymi gestami. Zostawiwszy pucybuta,

ruszył szybkim krokiem w jej stronę, a kiedy był w połowie jezdni, pucybut wyprzedził go biegiem i w tej samej chwili dał się słyszeć huk eksplozji. Rodney upadł na ziemię i leżał jakiś czas ogłuszony i nieprzytomny; kiedy przyszedł do siebie, na ulicy panował chaos, a przystanek autobusowy spływał krwią. Dopiero później dowiedział się, że w zamachu straciło życie pięciu amerykańskich żołnierzy, a ładunek wybuchowy był ukryty w skrzynce pucybuta, tej samej, na której chwilę przed eksplozją opierał stopę. Co się tyczy pucybuta i kelnerki, to nigdy nie zostali odnalezieni, a Rodney doszedł do oczywistego wniosku, że kelnerka, która ocaliła mu życie, i pucybut, który o mały włos go życia nie pozbawił, byli sprawcami tej masakry.

Podczas całego pobytu w Sajgonie to była jedyna sytuacja, w której otarł się o śmierć, i fakt, że cudem uszedł z życiem, wzmocnił tylko jego niezachwianą wiarę w to, że nic mu tam nie grozi, że wyjdzie z tego cało, że wkrótce wróci do domu i zapomni, że kiedykolwiek był na tej wojnie.

Na prawdziwej wojnie był natomiast Bob. Rodney, odkąd przyjechał do Wietnamu, często dostawał od niego wiadomości, a ilekroć Bob wpadał do Sajgonu na przepustkę, Rodney stawał na głowie, żeby przyjąć go po królewsku: obdarowywał prezentami kupionymi na czarnym rynku, zabierał na kilka głębszych do kawiarnianego ogródka w Continentalu, na kolację do Givrala, małej restauracyjki z klimatyzacją narogu Le Toi i Tu Do, a potem do ekskluzywnych lokali w centrum – wśród nich, jak z niezrozumiałych powodów skrupulatnie odnotowuje w swoich listach Bob, do Hung Dao Hotel, znakomitego i bardzo uczęszczanego domu publicznego, zajmującego trzypiętrowy

budynek przy ulicy Tu Do, niedaleko Givrala – gdzie picie i rozmowy ciągnęły się niejednokrotnie aż do jasnoczerwonych świtów na placu Lam Son. Podczas tych odwiedzin Rodney poświęcał bratu cały swój czas, kiedy jednak rozstawali się po tygodniu codziennych hulanków, zamiast satysfakcji, że dzięki niemu Bob zapomniał na jakiś czas o okrucieństwie wojny, zawsze czuł niejasne przygnębienie, jakiś absmak w żołądku, jakby ten tydzień braterskich żartów, wyznań, alkoholu i nieprzespanych nocy był w istocie próbą zmazania jakiegoś grzechu, którego nie popełnił albo nie pamiętał, lecz który gnębił go tak, jakby zdarzył się naprawdę. Pod koniec maja bracia widzieli się w Hue, gdzie Rodney towarzyszył jako doradca do wszystkiego pewnemu znanemu piosenkarzowi country i jego grupie tancerek go-go. Bobowi brakowało tylko miesiąca do zakończenia służby; dawno już porzucił hołubiony wcześniej pomysł, o którym zdążył nawet napomknąć rodzicom, by zaciągnąć się na nowo i kiedy spotkali się w Hue, tryskał radością i odliczał dni, które mu zostały do wyjazdu. Po powrocie do Sajgonu Rodney napisał list do Rantoul, opowiadając o spotkaniu z Bobem i o radości brata, ale dwa tygodnie później, kiedy przyszedł rano do biura, kapitan, jego przełożony, wezwał go do swego gabinetu i po uroczystym i zawiłym wstępie zakomunikował, że podczas rutynowej misji rozpoznawczej w dżungli przy granicy z Laosem na ścieżce wiodącej do pobliskiej wioski Bob albo któryś z idących razem z nim kolegów wszedł na siedemdziesięciokilogramową minę i że z ciała jego brata oraz z ciał czterech kolegów brata, którzy niestety znajdowali się tuż obok niego, pozostały tylko krwawe strzępy, porozrzucane wokół leja o średnicy dziesięciu metrów.

Śmierć Boba wszystko zmieniła. Tak przynajmniej uważał ojciec Rodneya, potwierdzają to zresztą fakty. Rodney odrzucił na piśmie możliwość zakończenia służby wojskowej i powrotu do domu – po śmierci brata przysługiwało mu to na mocy prawa – i złożył prośbę o wcielenie do oddziału bojowego. W żadnym z listów nie wyjaśnia powodów tej decyzji, jego ojciec również nie znał prawdziwych przyczyn, które go do tego popchnęły; niewątpliwie miały związek ze śmiercią Boba, ale możliwe też, że była to decyzja spontaniczna i instynktowna, i że sam Rodney nie znał jej przyczyn. Tak czy inaczej od tej chwili jego listy przychodziły częściej, były dłuższe i bardziej mroczne. To dzięki nim ojciec Rodneya zaczął rozumieć albo wyobrażać sobie (jak pewnie zrobiłby to każdy na jego miejscu), że to nie była taka wojna, jaką sam kiedyś stoczył, a możliwe, że i nie taka jak wszystkie poprzednie wojny: zrozumiał albo wyobraził sobie, że na tej wojnie brak czegoś takiego jak sens albo strategia, że walczący na niej żołnierze nie mają konkretnie wytyczonego celu czy kierunku i że dlatego nigdy nie osiągnano celów, niczego nie zdobywano, niczego też nie tracono, nie było wymiernych zwycięstw ani najmniejszej możliwości, by zachować godność, nie wspominając już o zyskaniu chwały. „Wojna równie bolesna jak wszystkie inne wojny, na której jednak nie było żadnej szansy na odkupienie, wielkość albo przyzwoitość, co zdarza się na innych wojnach”, powiedział mi ojciec Rodneya. Jego syn zgodziłby się z tym poglądem. W liście z początku października 1968 roku, w którym pojawia się już zapowiedź obsesji i majaków z późniejszej korespondencji, Rodney pisze: „Potworne w tej wojnie jest to, że to nie jest wojna. Tu nikt nie jest wrogiem, bo każdy może nim być, i nie ma go nigdzie, ponieważ jest wszędzie: w środku i na zewnątrz,

u góry i na dole, z przodu i z tyłu. Nikt nim nie jest, ale on istnieje. Na innych wojnach chodziło o to, żeby pokonać wroga; na tej nie: na tej chodzi o to, żeby go zabić, choć wiadomo, że zabijając go, wcale go nie pokonamy. Nie warto się oszukiwać: celem tej wojny jest eksterminacja, dlatego im więcej zabijemy – ludzi albo zwierząt, wszystko jedno – tym lepiej. Zrównamy ten kraj z ziemią, nic nie zostanie. Ale i tak nie wygramy tej wojny, dlatego że tej wojny po prostu nie można wygrać albo nikt jej nie może wygrać poza Charliem: on jest gotów zabijać i umrzeć, podczas gdy my chcemy tylko, żeby jak najszybciej minęło tych dwanaście miesięcy, które trzeba tu być, i żebyśmy mogli wrócić do domu. Tymczasem zabijamy i giniemy, nikt jednak nie wie, dlaczego zabijamy i giniemy. Jasne, wszyscy staramy się udawać, że coś z tego rozumiemy, że wiemy, dlaczego tu jesteśmy, zabijamy i możemy zginąć, ale robimy to, żeby do reszty nie zwariować. Bo wszyscy tu jesteśmy szaleni, szaleni i samotni, i bez możliwości zrobienia kroku w przód albo w tył, bez możliwości przegranej albo wygranej, jakbyśmy kręcili się bez przerwy w niewidzialnym kole narysowanym na dnie studni, gdzie nigdy nie dociera słońce. Piszę po ciemku. Nie boję się. Czasem jednak napęłnia mnie strachem myśl, że zaraz dowiem się, kim jestem, że za pierwszym lepszym zakrętem pierwszej lepszej drogi zobaczę wynurzającego się żołnierza i że to będę ja”.

W listach napisanych w tych pierwszych miesiącach przeżytych poza zwodniczo bezpiecznym Sajgonem Rodney nigdy nie wspomina o Bobie, szczegółowo opisuje natomiast wszystko to, co dotyczy nowego życia w nowym miejscu. Jego batalion stacjonował w bazie niedaleko Danang, ale wracali tam tylko na odpoczynek, bo

przez większość czasu prowadzili działania operacyjne w rejonie: za dnia brodzili w wodzie po polach ryżowych i przeczesywali dżunglę w dusznym, wilgotnym, pełnym komarów upale, podczas tropikalnych ulew, utyłani błotem po czubek głowy, gryzieni przez pijawki, odżywiając się konserwami, lepcy od potu, wyczerpani, obolali, cuchnący po całych tygodniach bez mycia, skupiając się tylko na tym, by przeżyć, i nieraz – po wielu godzinach marszu, kiedy szli do przodu uzbrojeni po zęby, objuczeni ekwipunkiem, uważając, gdzie stawiają stopy, by nie wejść na minę, jakich wiele było na ścieżkach w dżungli – uświadamiali sobie ze zdumieniem, że pragną, by w końcu zaczęła się strzelanina, choćby po to, żeby przerwać wycieńczającą monotonię kolejnych dni bez końca, gdy nuda stawała się trudniejsza do zniesienia niż bliskość niebezpieczeństwa. Tak było za dnia. Nocą, kiedy w zapadającym na polach ryżowych czerwonym zmierzchu i przy księżycu majestatycznie wschodzącym nad horyzontem każdy okopał się już na pozycji strzeleckiej, wszystko się zmieniało, chociaż nie zawsze na dobre; czasami zasypiali przy kanonadzie artylerii, huku lądujących śmigłowców i strzałów z M-16; kiedy indziej trzeba było iść na patrol i wtedy szli, trzymając się za ręce albo chwytając jeden drugiego za pas, jak małe dzieci, przestraszone, że pogubią się w ciemności, był też obowiązek stania na warcie, a każda warta ciągnęła się jak wieczność, najmniejszy szmer w dżungli oznaczał niebezpieczeństwo i trzeba było zaciekle zmagać się ze snem i z duchami zabitych kolegów równocześnie. To właśnie wtedy Rodney zaczął czuć codzienną obecność śmierci. „Przeczytałem kiedyś takie zdanie Pascala, że nieszczęście przyjaciela nie do końca smuci”, pisze dwa miesiące po przybyciu do Danang. „Wtedy

wydało mi się małoduszne i nieprawdziwe; teraz wiem, że to prawda. Prawdziwym czyni je to «nie do końca». Odkąd tu jestem, widziałem już, jak ginęło wielu moich kolegów: ich śmierć napełniała mnie przerażeniem, wściekłością, doprowadzała do łez, ale skłamałbym, mówiąc, że nie czułem jakiejś nieprzyzwoitej ulgi z tej prostej przyczyny, że to nie ja zginąłem. Inaczej mówiąc: w wojnie jest okropność, ale dużo wcześniej była w nas”. Może słowa te tłumaczą w jakiejś mierze, dlaczego w listach z tego okresu pisze wyłącznie o żyjących kolegach – nigdy o tych, którzy zginęli – i o żyjących dowódcach – nigdy o tych, którzy zginęli; zastanawiałem się często, czy tłumaczą też, dlaczego często opowiada w nich rozmaite historie, jakby z jakiejś przyczyny nie chciał otwarcie napisać czegoś, co można przedstawić nie wprost albo eliptycznie. Są to historie, które przydarzyły się jemu albo komuś, z kim był blisko, albo od kogoś zasłyszane: odrzucam hipotezę, że niektóre mogły być zmyślane. Przytoczę tu tylko historię kapitana Vinh, bo ona właśnie mogła wywrzeć największy wpływ na Rodneya.

Kapitan Vinh był południowowietnamskim oficerem przydzielonym jako przewodnik i tłumacz do oddziału mojego przyjaciela. Był to wąty, kordialny trzydziestolatek, z którym – jak w jednym z listów opowiada Rodney – niejednokrotnie gawędzili, posilając się racjami żywnościowymi albo paląc papierosa w przerwach marszu. „Nie zadawaj się z nim – powiedział mu jeden z najstarszych stażem kolegów z oddziału, kiedy spostrzegł któregoś wieczoru, że Rodney przyjacielsko rozmawia z kapitanem. – To pierdolony zdrajca”. I opowiedział mu następujące zdarzenie. Schwytali kiedyś trzech partyzantów z Wietkongu, oficer wywiadu

wsadził ich do śmigłowca i polecił kapitanowi oraz czterem żołnierzom, wśród nich był ten, który opowiadał, żeby mu towarzyszyli. Śmigłowiec wzbił się w powietrze i kiedy był już na znacznej wysokości, oficer zaczął przesłuchiwać jeńców. Pierwszy jeńiec odmówił zeznań, wtedy oficer bez chwili wahania rozkazał żołnierzom wyrzucić go ze śmigłowca; wykonali rozkaz. Z drugim jeńcem było tak samo. Trzeciego nie trzeba już było namawiać: błagając o litość, zaczął mówić tak dużo i tak szybko, że kapitan Vinh nie nadążał z tłumaczeniem; w końcu jednak i ten także podzielił los tamtych dwóch. „Zaczęliśmy lot z trzema, a zakończyliśmy bez żadnego – powiedział żołnierz. – Ale nikt o nic nie pytał. A ten kapitan to gnój. Widział, jak obchodzimy się z jego ziemkami, a mimo to nadal nam pomaga. Nie rozumiem, dlaczego pozwalają mu dalej dla nas pracować – westchnął. – Prędzej czy później nas zdradzi”. Nie minęło dużo czasu i Rodney wspomniawszy tamte słowa. Wszystko zaczęło się pewnego ranka, kiedy jego kompania weszła do pobliskiej wioski, zajętej poprzedniej nocy przez Wietkong. Partyzanci chcieli zwerbować nowych bojowników i zwrócili się do szefa wioski z prośbą o pomoc, ale ten odmówił współpracy i chociaż zaraz zmienił zdanie, było już za późno, bo ci z Wietkongu zemścili się natychmiast: złapali dwie jego córki, sześć- i ośmioletnią, zgwałcili je, poddali torturom, poderżnęli im gardła i wrzucili ich okaleczone zwłoki do studni, z której wioska czerpała wodę do picia. Cała kompania Rodneya wysłuchała tej historii w milczeniu, tylko nie kapitan Vinh. Dosłownie się rozchorował. „Moje córki – jęknął raz i drugi, nie zwracając się konkretnie do nikogo, w przestrzeń. – Są w tym samym wieku, te dziewczynki miały tyle lat, co moje córki”. Dwa miesiące później,

kiedy Rodney wrócił z Tokio, gdzie był na tygodniowej przepustce, musiał pomóc w ewakuacji trzynastu zabitych i pięćdziesięciu dziewięciu rannych z innej kompanii, która rankiem tego dnia wpadła w zasadzkę w dżungli. Strasznie go to przygnębiło, ale przygnębienie zmieniło się w dziką furję, gdy poznał wyniki dochodzenia na temat okoliczności tragedii: okazało się, że krwawa jatka była skutkiem zdrady i że zdrajcą mógł być wyłącznie kapitan Vinh. W liście napisanym bezpośrednio potem Rodney twierdzi, że zabiłby, gdyby mógł, „tego zdradzieckiego psa, z którym wcześniej dzielił posiłki, palił papierosy i rozmawiał”, ale że nie ma już takiej konieczności, bo tłumacza przekazano wojskowym południowowietnamskim, którzy bezzwłocznie dokonali egzekucji; Rodney dodał, że ucieszyła go ta wiadomość. Następny list otrzymany przez rodziców Rodneya zawierał tylko krótką wiadomość: syn pisał lakonicznie, że służby wywiadu, które wcześniej znalazły dowody zdrady kapitana Vinha, ustaliły właśnie, że podjął on współpracę z komunistami z Wietkongu, bo ci uprowadzili jego dwie córki i grozili, że je zabiją.

Przez prawie miesiąc po otrzymaniu tej nadzwyczaj zwięzłej informacji rodzice Rodneya nie mieli od syna żadnych wiadomości, a kiedy korespondencja znów zaczęła nadchodzić, w ich sercach zaczęło rodzić się podejrzenie, że to nie syn do nich pisze, lecz ktoś inny, kto podszywa się pod niego i naśladuje charakter pisma. Wrażenie było dziwne, mówił mi ojciec Rodneya, tak jakby autor listów równocześnie był i nie był Rodneyem albo co jeszcze dziwniejsze, jakby zaledwie był Rodneyem (Rodneyem w najczystszej chemicznie postaci, jakimś ekstraktem Rodneya), żeby być nim naprawdę. Przeczytałem listy wielokrotnie i to wrażenie wydaje mi

się uzasadnione, nawet jeśli nie jest jednoznaczne i niezbite, ponieważ z tych wypełnionych rozgorączkowanym piśmem kartek jasno wynika, że pisanie Rodneya wkroczyło na niepewny, rozchwiany obszar i jakkolwiek nie sposób nie rozpoznać w nim głosu mego przyjaciela, to uderza nasilenie bredni, co sprawia, że ten głos, choć rozpoznawalny, zdaje się jednak niepokojąco obcy: pobrzmiwa w nim okrucieństwo, pompatyczna wzniosłość i zwykła pretensjonalność. Dodam jeszcze, że listy te były pisane w szpitalu, gdzie Rodney dochodził do siebie po złamaniu, jakie przeżył. Moim zdaniem tylko po części tłumaczy to ich nienormalność, nie zaciera jednak pierwszego, niepokojącego wrażenia. „Incydent”: tak właśnie określił to ojciec Rodneya tamtego wieczoru, kiedy u niego byłem, ponieważ tak chyba nazwał to swego czasu Rodney, gdy jeden jedyny raz ojciec go o tę sprawę zagadnął, zresztą bez powodzenia. Incydent. Wydarzył się, kiedy nastąpiła przerwa w korespondencji, i ojciec Rodneya zdołał dowiedzieć się z różnych źródeł i przez wiele lat tylko tyle, że kompania Rodneya wzięła udział w ataku, o którym mało wiadomo, na wioskę o nazwie My Khe, w prowincji Quang Ngai, i że atak ten spowodował ponad pięćdziesiąt ofiar śmiertelnych; dowiedział się również, że w następstwie tego incydentu Rodney przez trzy tygodnie był pacjentem szpitala w Sajgonie, mimo że nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń, a dużo później, już po powrocie do domu, musiał złożyć zeznania na procesie porucznika dowodzącego jego kompanią, ostatecznie uniewinnionego od stawianych mu zarzutów. Przez te wszystkie lata ojcu Rodneya tylko tego udało się dowiedzieć o incydencie na własną rękę. Co się tyczy syna, to nie wspominał o tej sprawie inaczej niż tylko mimochodem, najogólniej jak to było możliwe

i tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia. Ani w listach pisanych po wyjściu ze szpitala, ani w tych pisanych, gdy jeszcze tam przebywał, nie poświęcił sprawie ani słowa.

Rzecz w tym, że i jedne, i drugie różniły się zasadniczo od wcześniejszych i z biegiem czasu ojciec – który musiał pewnie przypisać to jakiejś konkretnej przyczynie – złożył tę zmianę na karb uzależnienia od marihuany i alkoholu, w jakie syn popadł w Wietnamie. We wcześniejszych listach Rodney skłania się raczej ku opisywaniu faktów i unika ogólnych refleksji; teraz natomiast fakty niemal całkowicie ustępują miejsca rozmyślaniom, tak szczególnym i pełnym pasji, że wprawiały jego ojca w przerażenie i po niedługim czasie przywiodły go do niewesołego wniosku, że syn nieodwołalnie traci rozum. „Teraz znam już prawdę wojny – pisze na przykład Rodney w jednym z listów. – Prawdę tej i każdej innej wojny, prawdę wszystkich wojen, prawdę, którą ty znasz tak samo jak ja i jak każdy, kto był na wojnie, bo w gruncie rzeczy ta wojna nie różni się od pozostałych, jest taka sama jak inne, i w gruncie rzeczy prawda wojny jest zawsze taka sama. Wszyscy znają tu tę prawdę, tylko nikt nie ma odwagi tego przyznać. Wszyscy kłamią. Ja też. To znaczy, ja też kłamałem, dopóki mi to nie obrzydło, dopóki kłamstwo nie obrzydło mi bardziej niż śmierć: kłamstwo jest brudne, śmierć jest czysta. I tę właśnie prawdę wszyscy tu znają (zna ją każdy, kto był na wojnie), ale nikt nie chce jej przyjąć do wiadomości. Że to wszystko jest piękne: że wojna jest piękna, że walka jest piękna, że piękna jest śmierć. Nie mam na myśli czegoś takiego jak uroda księżycy wędrującego jak wielki srebrnik po niebie podczas parnej nocy na polach ryżowych ani jak uroda krwawych wstążek malowanych seriami wystrzałów w ciemności,

ani tej cudownej chwili ciszy, którą czasem, o zmierzchu, przerywa nieustający zgiełk dżungli, ani tych niezwykłych momentów, kiedy człowiekowi wydaje się, że odchodzi w niebyt, a wraz z nim w niebyt odchodzą jego strach i niepokój, jego samotność i jego wstyd, i zlewają się ze wstydem, samotnością, niepokojem i strachem tych, którzy są obok niego, i wtedy tożsamość radośnie wyparowuje i człowiek staje się nikim. Nie, to coś więcej. Przede wszystkim to radość zabijania, nie tylko z takiego powodu, że dopóki umierają inni, samemu żyje się nadal, lecz dlatego też, że nie ma innej przyjemności, która równałaby się przyjemności zabijania, nie ma innego uczucia, które dorównywałoby niesamowitemu uczuciu zabijania, kiedy odbiera się istocie ludzkiej, komuś takiemu samemu jak ty, absolutnie wszystko, co ma, czuje się wtedy coś niewyobrażalnego, mieliśmy pewnie podobne uczucie, przychodząc na świat, ale je zapomnieliśmy, albo miał je Bóg podczas aktu stworzenia, albo ma się to uczucie, rodząc dziecko, tak, człowiek to właśnie czuje, kiedy zabija, prawda, tato? – ma uczucie, że w końcu robi się coś ważnego, coś naprawdę istotnego, coś, do czego przygotowywał się bezwiednie przez całe życie, i że gdyby nie mógł tego zrobić, rozpadłby się nieodwołalnie na ka, niespójnym, bez substancji, bo zabijanie jest takie wałki, stałby się człowiekiem bez prawdziwego, że nas dopełnia, każe człowiekowi dotrzeć do takich obszarów samego siebie, których istnienia nawet nie podejrzewał, to tak, jakby odkrywać samego siebie, odkrywać niezmiernie kontynenty z nieznaną fauną i florą tam, gdzie widziało się wcześniej skolonizowaną ziemię, i dlatego teraz, kiedy już poznałem przejrzystą urodę śmierci, bezkresną i migotliwą urodę śmierci, czuję, jakbym był większy, jakbym rósł, zwielokrotniał się

i ogromniał ponad dotychczasowe, jakże mizerne, rozmiary, i dlatego myślę też, że wszyscy powinni mieć prawo zabijać, rosnąć, ogromnieć i zwielokrotniać się, ile tylko się da, żeby mieć na twarzy tę ekstazę albo błogość, jakie widziałem u ludzi, którzy zabijają, żeby poznać dogłębnie samego siebie albo posunąć się tak daleko, jak pozwala wojna, a wojna pozwala posunąć się bardzo daleko i bardzo szybko, jeszcze dalej i jeszcze szybciej, szybciej, szybciej, szybciej, są chwile, kiedy nagle wszystko przyspiesza i jest jakiś błysk, zawirowanie i strata, niszczycielska pewność, że gdybyśmy mogli poruszać się z prędkością większą niż światło, ujrzelibyśmy przyszłość. To właśnie odkryłem. To właśnie teraz wiem. Wszyscy tu to wiedzą i wiedzieli to ci, którzy tu byli, ale już ich nie ma, i również ci nawiedzeni, albo ci odważni, których tu nigdy nie było, ale jakby byli, bo zobaczyli to wszystko dużo wcześniej, niż zaistniało. Każdy to wie, wszyscy to wiedzą. Nie czuję obrzydzenia, że taka jest prawda, tylko że nikt nie mówi prawdy i od razu zadaje sobie pytanie, dlaczego nikt nie mówi prawdy i przychodzi mi do głowy odpowiedź, jaka nigdy wcześniej mi się nie nasunęła, czyli że nikt tego nie mówi nie z tchórzostwa, lecz po prostu dlatego, że to brzmi fałszywie albo absurdalnie, albo potwornie, ponieważ nikt, kto nie zna prawdy, nie jest w stanie jej przyjąć do wiadomości, ponieważ nikt, kto tu nie był, nie przyjmie do wiadomości tego, co wie tu każdy szeregowiec, rzecz w tym, że rzeczy, które mają sens, nie są prawdą. Są tylko okrojonymi prawdami, urojeniami: prawda zawsze jest absurdalna. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że dopiero wtedy, kiedy się to wie, kiedy człowiek nauczy się już tego, czego można nauczyć się tylko tutaj, kiedy w końcu przyjmie do wiadomości prawdę, dopiero wtedy może być szczęśliwy. Powiem ci

to inaczej: przedtem nienawidziłem wojny i nienawidziłem życia, a przede wszystkim nienawidziłem siebie; teraz Kocham życie i wojnę, a przede wszystkim Kocham siebie. Teraz jestem szczęśliwy”.

Mógłbym zebrać garść podobnych fragmentów wyjętych z listów Rodneya pisanych w tamtym czasie: wszystkie są w podobnym tonie, wszystkie tak samo mroczne, amoralne albo pokrętne. Kusi, żeby w tych rozdygotanych słowach zobaczyć coś jakby negatyw zdjęcia rentgenowskiego umysłu Rodneya w tej konkretnej chwili życia, a nawet doszukać się w nich więcej, niż Rodney chciał w nich może zawrzeć. Oprę się pokusie, nie będę niczego interpretował.

Zaraz po wypisaniu ze szpitala Rodney wrócił do swojej kompanii, a dwa miesiące później, na kilka dni przed końcem obowiązkowej służby w Wietnamie, dzięki znajomemu, który umożliwił mu wejście do ambasady amerykańskiej w Sajgonie, po raz pierwszy zadzwonił do rodziców i powiadomił ich, że nie zamierza wracać do domu. Postanowił zaciągnąć się ponownie. Rodzice Rodneya nawet się nie starali wyperswadować mu tego pomysłu, może pojęli od razu, że decyzja jest ostateczna, usiłowali natomiast go zrozumieć. Nie udało im się. Po długiej, przerywanej gorącymi prośbami i płaczem rozmowie, uczepili się wszakże wątpliwej nadziei, że ich syn nie postradał zmysłów, lecz że to wojna zrobiła z niego kogoś innego, nie jest już ich małym chłopcem, którego spłodzili i wychowali, i dlatego nie wyobraża sobie, że można, ot tak, wrócić do domu, że perspektywa podjęcia na nowo studenckiego życia (przedłużonego o studia doktoranckie, jak początkowo zakładał) albo pracy w jakimś liceum, albo, tym bardziej, długiego odpoczynku w prowincjonalnym Rantoul, wydaje mu się teraz śmieszna lub

niemożliwa i napełnia panicznym strachem, którego nie potrafili zrozumieć. Tak więc Rodney został kolejnych sześć miesięcy w Wietnamie. Ojciec prawie nie wie, co działo się z jego synem w tym czasie, bo nie było od niego żadnych wiadomości z wyjątkiem kilku telegramów, w których informował lakonicznym, żołnierskim językiem, że ma się dobrze. Później ojciec Rodneya zdołał się tylko dowiedzieć, że w tamtym czasie jego syn walczył z partyzantami w elitarnym oddziale Tiger Force, wchodzącym w skład pierwszego batalionu 101 Dywizji Spadochronowej, i że podczas tych sześciu miesięcy musiał dużo częściej niż przedtem brać udział w walkach, bo kiedy pod koniec lata 1969 roku wracał samolotem do kraju, miał pierś pokrytą medalami – były wśród nich Srebrna Gwiazda za odwagę i Purpurowe Serce – ale także uszkodzone biodro, to właśnie z tego powodu przez resztę życia miał utykać i poruszać się niepewnym krokiem, jak ktoś przegrany.

Powrót był jedną wielką katastrofą. Ojciec doskonale pamiętał dzień przylotu syna do Chicago. Chociaż nie znał osobiście Julii Flores, to już dwa tygodnie wcześniej wydzwaniał do niej codziennie, żeby ustalić szczegóły przygotowań, gdy jednak nadszedł wreszcie oczekiwany dzień, wszystko poszło nie tak, jak powinno: autobus linii Greyhound, którym rodzice Rodneya wyruszyli z Rantoul, dotarł do Chicago z prawie dwugodzinnym opóźnieniem z powodu jakiegoś wypadku po drodze; w Chicago czekała już Julia, wsadziła ich do swojego samochodu i cisnąc gaz do dechy, ruszyła na lotnisko O'Hare, lecz na ulicy prowadzącej do lotniska zatrzymał ich korek i dotarli do hali przylotów ponad godzinę po wylądowaniu samolotu z Rodneyem. Rozpytywali tu i tam, obeszlili całe lotnisko, szukali w różnych miejscach i w końcu

znaleźli Rodneya na posterunku policji. Siedział sam, sprawiał wrażenie kogoś nieobecnego i nie chciał im niczego wyjaśnić ani wtedy, ani nigdy potem, oni też nie pytali policji o nic, bo chcieli ocalić coś z tego pierwszego spotkania. Ojciec Rodneya poznał szczegóły tego, co wydarzyło się tamtego ranka na lotnisku, dopiero kilka miesięcy później, po rozprawie wytoczonej Rodneyowi w sprawie o pobicie, na którą ten nie pozwolił przyjść rodzicom; rodzina uregulowała orzeczoną przez sąd karę grzywny. Ojciec dowiedział się o przebiegu rozprawy potem, spotykając się potajemnie z obrońcą. Donald Pludovsky, wzięty adwokat o lewicowych przekonaniach, który podjął się obrony, ponieważ był znajomym znajomego ojca Rodneya, starał się uspokoić swego rozmówcę i bagatelizował całą sprawę. Przyjął go w swoim biurze przy ulicy Wabash i na początek powiedział, że Rodney razem z innym, żołnierzem czarnoskórym, lecieli z Wietnamu trzy dni (najpierw z Sajgonu do Tokio maszyną C-41 sił powietrznych, potem z Filipin do San Francisco odrzutowcem linii lotniczych World Airways i stamtąd wreszcie do Chicago) i że na lotnisku O'Hare, widząc, że nikt na nich nie czeka, obaj postanowili zjeść śniadanie w kafeterii. Hala lotniska była pełna ludzi i panował w niej nastrój zabawy, tak przynajmniej wydało się na pierwszy rzut oka dwóm szczęśliwym i oszołomionym przybyszom, gdy nagle, kiedy szli zatłoczonym korytarzem, ciągnąc za sobą żołnierskie worki, jakaś dziewczyna odłączyła się od grupki studentów i zaczepiła Rodneya – z nich dwóch tylko on miał na sobie mundur – pytając, czy wraca z Wietnamu. On, zdziwiony nieobecnością rodziców i Julii, którzy obiecali po niego wyjść, pomyślał pewnie, że dziewczyna jest przez nich wysłana, zatrzymał się więc, uśmiechnął i radośnie przytaknął.

Wtedy dziewczyna plunęła mu w twarz. Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, a potem zapytał, dlaczego to zrobiła, ale ona nie odpowiedziała, więc po chwili wahania Rodney wytarł plwocinę i ruszył przed siebie. Studenci poszli za nim: skandowali antywojenne hasła, śmiali się, wykrzykiwali coś niezrozumiałego, obrzucali obu żołnierzy wyzwiskami. W końcu Rodney nie wytrzymał, zrobił w tył zwrot i stawiał im czoło; czarny kolega chwycił go za ramię i radził, żeby dać spokój, ale Rodney wyrwał mu się i wdał się w dyskusję ze studentami, chciał przedstawić swoje racje, ale oni nadal śpiewali coś i krzyczeli, więc w końcu zrezygnował, prosząc, żeby zostawili ich w spokoju, bo ani on, ani kolega nie zrobili im nic złego. Miał już odejść, kiedy dobiegły go, wśród ogólnego zgiełku, jakieś obelżywe słowa rzucone przez długowłosego chłopaka, w jednej chwili rzucił się na niego z pięściami i zatłukłby go, gdyby nie interwencja policjantów z lotniska. „I to wszystko”, powiedział Pludovsky ojcu Rodneya, sadowiając się wygodnie w fotelu z papierosem w dłoni i z wyraźnie zadowoloną miną, siląc się na lekki ton, jakby opowiedział właśnie jakąś zabawną anegdotę. Ojciec Rodneya nie uśmiechnął się, nic nie powiedział, siedział kilka chwil w milczeniu, a potem, nie patrząc na adwokata, zapytał, co dokładnie powiedział długowłosey chłopak do Rodneya. „A, o to chodzi – Pludovsky starał się uśmiechnąć. – No cóż, naprawdę, nie przypominam sobie”. „Oczywiście, że pan sobie przypomina – ojciec Rodneya nie miał cienia wątpliwości. – I chcę, żeby pan mi to powiedział”. Straciwszy nagle pewność siebie, Pludovsky westchnął, zgasił papierosa, splótł dłonie przed sobą na wielkim dębowym biurku. „Jak pan sobie życzy – powiedział zrezygnowany, jakby w ostatniej chwili w głupi sposób wymknęła

mu się z rąk jakaś sprawa. – Chłopak powiedział: Patrzcie, jakie to tchórze, ci mordercy dzieci”.

Wychodząc z gabinetu adwokata, ojciec Rodneya wiedział już, że awantura na lotnisku O'Hare była tylko skutkiem wydarzeń z ostatnich miesięcy i zapowiedzią tego, co miało się wydarzyć w przyszłości. Nie mylił się. Życie Rodneya nigdy już nie stało się takie jakie było półtora roku wcześniej, przed wyjazdem do Wietnamu. W dniu, kiedy wrócił do Rantoul, dawni przyjaciele przygotowali na jego cześć przyjęcie powitalne; matka namawiała go, żeby na nie poszedł, ale – choć wyszedł z domu wyszykowany i z kluczykami do samochodu w ręce i wrócił dopiero o świcie – nie pojawił się na przyjęciu, o czym rodzice dowiedzieli się nazajutrz, a w następnych dniach dowiedzieli się jeszcze od sąsiadów i kolegów Rodneya, że spędził całą noc, rozmawiając przez telefon z budki w pobliżu dworca i jeżdżąc po mieście ojcowskim fordem. Kilka miesięcy później ożenił się z Julią i zamieszkali na przedmieściach Minneapolis, gdzie ona pracowała jako nauczycielka w szkole średniej. Związek przetrwał niecałe dwa lata, zresztą tylko dzięki uporowi Julii; dziewczyna szybko zrozumiała, że nie ma przed nimi przyszłości, nie byłoby jej przed żadnym związkiem, w którym żyłby wówczas Rodney. On bowiem tylko na pozór wrócił z Wietnamu, a naprawdę było tak, jakby nadal tam pozostawał albo jakby przywiózł Wietnam ze sobą do domu. Nawet gorzej: będąc w Wietnamie, Rodney ciągle pisał o Wietnamie w listach do rodziców, do Julii, do znajomych; teraz natomiast nie wspominał o nim wcale, być może nie dlatego, że nie chciał – raczej wprost przeciwnie: prawdopodobnie niczego na świecie nie pragnął bardziej – lecz dlatego, że nie mógł, nie wiadomo, czy z powodu

wewnętrznej pewności, że nikt nie zrozumie tego, co miał do opowiedzenia, czy z przekonania, że nie powinien tego robić, jakby zobaczył i przeżył tam coś, czego nikt ze znających go ludzi nie powinien wiedzieć. Dopóki był w Wietnamie, myślał ciągle o Stanach Zjednoczonych, teraz natomiast, kiedy był już w Stanach, nie myślał o niczym innym poza Wietnamem, to natychmiast rzucało się w oczy. Możliwe, że często tęsknił za wojną, myślał, że nie powinien był wracać do domu, że powinien był zginąć, walcząc ramię w ramię ze swoimi towarzyszami. Możliwe, że często myślał o swoim życiu w Wietnamie jako czymś poważniejszym, prawdziwszym, czymś bardziej godnym przeżycia niż żywot osaczonego zwierzęcia, jaki wiódł teraz w Stanach. Możliwe, że zrozumiał, że nie potrafi już wrócić do kraju, jaki zostawił, jadąc do Wietnamu, nie dlatego, że kraj ten już nie istniał, stał się inny, lecz dlatego, że on sam też już nie jest taki jak przedtem. Możliwe, że szybko pogodził się z myślą, że z Wietnamu nie ma powrotu: jak już się tam było, to powrót jest niemożliwy. I niemal na pewno czuł się oszukany, jak inni weterani tej wojny, bo wystarczyło, że stanął ponownie na amerykańskiej ziemi, a od razu zdał sobie sprawę, że cały kraj nim gardzi, a w najlepszym razie pragnie go gdzieś schować, bo sama jego obecność jest już powodem do wstydu, obelgą albo oskarżeniem. Rodney z pewnością nie oczekiwał, że będą go witać jak bohatera (ponieważ nim nie był i ponieważ wiedział, że przegranych nie wita się jak bohaterów, choćby nimi byli), ale nie spodziewał się, że kraj, który zażądał od niego, by wyrzekł się własnego sumienia i spełnił patriotyczny obowiązek, jadąc na niegodziwą i cudzą wojnę, zamiast zdezerterować i wyjechać do Kanady, teraz odwróci się od niego jak od

kryminalisty albo zadżumionego. Od niego i od wielu innych podobnych mu weteranów, którzy jeżeli mieli na sumieniu jakieś winy, to tylko dlatego, że popchnęły ich do tego brutalne okoliczności wojny i kraj, który ich na tę wojnę posłał. Można przynajmniej założyć, że tak właśnie myślał wtedy Rodney, podobnie jak inni weterani wojny wietnamskiej po powrocie do domu. Co się tyczy jego wcześniejszej działalności antywojennej, to miał teraz niewątpliwie dużo więcej niż w latach studenckich powodów, by uważać tę wojnę za oszustwo spreparowane przez fanatycznych i nieodpowiedzialnych polityków, żyrowane podstępym odwoływaniem się do tradycyjnych amerykańskich wartości, z drugiej jednak strony, i to też jest niewątpliwie, przynajmniej dla ojca Rodneya, kwestia opowiedzenia się za wojną czy przeciw wojnie została w jego oczach zredukowana do rangi czegoś nieistotnego, drugorzędnego wobec porażającej niegodziwości, którą była obojętność, z jaką Stany Zjednoczone wysyłały tysiące młodych chłopców na rzeź, by potem zostawić ich własnemu losowi gdzieś na końcu świata, chorych, wycieńczonych, odchodzących od zmysłów, oszalałych, szamoczących się ze sobą i walczących z cieniem na spalonej ziemi.

Wszystko to są jednak tylko przypuszczenia: logika podpowiada, że po powrocie z Wietnamu Rodney długo myślał lub czuł właśnie coś takiego; jakkolwiek można też sobie wyobrazić, że myślał lub czuł coś wprost przeciwnego. Tak czy inaczej, fakty są faktami; ograniczam się do nich. W pierwszych miesiącach po powrocie do Stanów Zjednoczonych Rodney prawie nie wychodził z domu (ani z domu rodzinnego w Rantoul, ani ze wspólnego z Julią domu w Minneapolis), a kiedy już zaczął wychodzić, to robił to tylko po

to, by wdawać się w słowne przepychanki, które niejednokrotnie kończyły się bójką, niemal zawsze prowokowaną przez Rodneya, gotowego dopatrywać się ataku na siebie w każdej wypowiedzi na temat jego pobytu w Wietnamie, choćby była najzupełniej błaha. Stracił przyjaciół, i tych w Chicago, i tych w Rantoul, zerwał też wszelkie kontakty z dawnymi kolegami z Wietnamu, może dlatego, że pragnął zapomnieć o swoim udziale w tej wojnie. To tłumaczyłoby, dlaczego przez dłuższy czas kategorycznie odmawiał chodzenia na spotkania do Stowarzyszenia Weteranów ani nie chciał szukać tam pomocy. Mimo wysiłków Julii jego małżeństwo szybko legło w gruzach. Co się tyczy rodziców, to utrzymywał stosunki tylko z matką, a przez długie lata unikał spotkań i rozmów z ojcem. Pił dużo whisky i piwa, palił mnóstwo papierosów i marihuany, często wpadał w depresje, które wpędzały go w stan apatii na całe tygodnie i miesiące i zmuszały do faszzerowania się lekarstwami. Nie chodził ani na polowania, ani na ryby. Nigdy nie wspomniał słowem o swoim bracie Bobie. Żył w ciągłym niepokoju. Niemal półtora roku cierpiał na uporczywą bezsenność i udawało mu się zasnąć tylko w kinie: Julia brała go za rękę, a on powoli osuwał się w głośną ciemność kinowej sali i w końcu zapadał w sen jak w otchłań jeziora. Nigdy za dnia nie siadał tyłem do okna i obsesyjnie pilnował, by żaluzje we wszystkich oknach były opuszczone. Nocami starał się rozładować dręczący go niepokój, chodząc po korytarzu, a nim na resztę bezsennej nocy położył się do łóżka, odprawiał niezmienny rytuał polegający na obejściu po kolei wszystkich drzwi i okien w domu i sprawdzeniu, czy nic nie utrudniłoby mu ewentualnej ucieczki, czy ma pod ręką wszystko, co potrzebne do obrony, przepowiadając sobie w myślach, jak

powinien się zachować, gdyby znalazł się w nagłym niebezpieczeństwie. Z czasem udawało mu się zasnąć we własnym łóżku, ale ze snu często wybijały go koszmary i wystarczała byle trzask w ogrodzie, żeby wyskakiwał z pościeli sprawdzić przyczynę hałasu. Po rozwodzie z Julią wprowadził się znowu do rodziców, a w następnych latach kilkakrotnie przejechał cały kraj wzdłuż i wszerz: jakiegoś dnia pakował nagle walizkę, szykował samochód i wyjeżdżał nie uprzedzając nikogo, bez konkretnego celu, a po jednym, dwóch lub trzech, albo i czterech miesiącach wracał do rodzinnego domu bez słowa wyjaśnienia, jakby wracał ze spaceru po okolicy. Miał dwie nieudane próby samobójcze, po drugiej z nich zgodził się na leczenie w ośrodku medycznym Stowarzyszenia Weteranów w Chicago. Wkrótce zaczął rozglądać się za jakimś zajęciem, ale długo nic nie mógł znaleźć, bo choć jako weteranowi wojny przysługiwały mu specjalne przywileje, uważał, że korzystanie z nich byłoby upokarzające, i wracał do domu rozjuszony do żywego po każdej rozmowie w sprawie pracy, bo uważał, że ilekroć wspomina o swojej wojennej przeszłości, pracodawcy patrzą na niego jak na dwugłowe monstrum. Został w końcu przyjęty do nieabsorbującej i nieźle płatnej pracy w administracji jakiejś fabryki konserw, wytrwał tam jednak ledwie kilka miesięcy, mniej więcej tyle samo, co w każdym następnym miejscu. Później usiłował pracować jako nauczyciel angielskiego w szkołach w Rantoul albo w okolicy, spróbował też podjąć na nowo naukę, zapisując się na studia magisterskie z filozofii na Northwestern University. Wszystko na próżno. Kiedy Rodney wrócił z Wietnamu złamany jak smętny cień tamtego błyskotliwego, pracowitego i wrażliwego chłopca, którym był dawniej, jego ojciec

miał nadzieję, że z czasem syn stanie się na powrót sobą, ale osiem lat po powrocie on nadal żył spowity nieprzeniknioną mgłą, przypominał upiora albo zombi: w Rantoul całymi dniami leżał w łóżku, czytając powieści, paląc marihuanę i oglądając w telewizji stare filmy, wychodził z domu tylko po to, żeby wsiąść do samochodu i godzinami jeździć bez celu albo żeby pić samotnie w pobliskich barach. Wyglądało to tak, jakby żył zamknięty w hermetycznej stalowej kapsule, ale o dziwo (przynajmniej jego ojciec uważał to za zdumiewające), ta jego samotność i wyobcowanie zdawały się go wcale nie przygnębiać, uważał je raczej za fortunny obrót zdarzeń, pomocną okoliczność dla kogoś takiego jak on, kogoś, kto żywił bezgraniczną nieufnością wobec innych i cierpiał na równie wielki brak wiary we własne siły. Nadeszła chwila, kiedy rodzice dali za wygraną i z rezygnacją przyjęli do wiadomości, że Wietnam na zawsze odmienił ich syna i że Rodney nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

Wszystko zmieniło się nagle. Półtora roku przed rozpoczęciem przez Rodneya pracy na uniwersytecie w Urbanie jego matka zmarła na raka żołądka. Umierała długo, ale nie cierpiała męczarni. Rodney znosił jej chorobę spokojnie, z dnia na dzień porzucił obyczaj trudnego do zdefiniowania nicnierobienia i zaczął opiekować się umierającą, która odkąd wrócił z Wietnamu, stanowiła jego jedyne i milczące oparcie. Nikt nie widział, by uronił choćby jedną łzę na jej pogrzebie. Jednakże kilka dni później, gdy ojciec Rodneya wrócił do domu z wizyty u pacjenta, zastał syna siedzącego przy kuchennym stole, z głową wspartą na rękach i twarzą rozświetloną jasnym światłem dnia wpadającym przez okno: zanosił się płaczem. Ojciec nie przypominał sobie, żeby Rodney, odkąd przestał być

dzieckiem, kiedykolwiek płakał, nic jednak nie powiedział: zostawił swoje rzeczy w przedpokoju, wrócił do kuchni, zaparzył herbatę, podał Rodneyowi, nalał sobie, usiadł przy stole, wziął w ręce wielką, szorstką dłoń syna i długo przy nim siedział w milczeniu, pijąc herbatę ze swojej filiżanki i z filiżanki Rodneya, nie wypuszczając jego dłoni. Rodney szlochał, jakby przez wszystkie minione lata zgromadził w sobie niewyczerpane pokłady łez i jakby ten płacz nie miał końca. Od dawna już mieszkali pod jednym dachem, nie rozmawiając, lecz tego dnia o zmierzchu Rodney zaczął mówić i wtedy ojciec zrozumiał, że przez te wszystkie lata syn żył targany przeraźliwymi wyrzutami sumienia, zrozumiał, że obwinia się nie tylko o śmierć brata, matki wielu innych ludzi, lecz także o to, że swego czasu nie posłuchał głosu sumienia i poszedł na wojnę, że zdradził swoich towarzyszy, że w Wietnamie był świadkiem straszliwych zbrodni, dla których nie ma okoliczności łagodzących, a mimo to żył nadal. Rozmowa trwała do świtu, a nazajutrz, kiedy się obudzili, Rodney poprosił ojca o samochód i pojechał do Chicago. Pojechał tam znowu w następnym tygodniu i w kolejnym i wkrótce jego wyjazdy do Chicago stały się cotygodniową rutyną. Początkowo obracał w ciągu jednego dnia, wyjeżdżając bardzo wcześnie rano i wracając nocą, ale z czasem jego nieobecność zaczęła przeciągać się do dwóch, a nawet trzech dni. Ojciec nie prosił o wyjaśnienia – nie chciał popsuć tego, co się między nimi wydarzyło po śmierci matki – pożyczał mu samochód i pytał tylko, kiedy zamierza wrócić. Ale któregoś razu po powrocie Rodney wszystko mu wieczorem wyznał: powiedział, że co tydzień jeździ do Chicago do lekarza w Stowarzyszeniu Weteranów Wojny Wietnamskiej – dwa razy leczono go już wcześniej w tym miejscu

zastrzykami largactilu – rozmawia z psychiatrą o wojennej traumie i spotyka się z innymi weteranami, razem organizują manifestacje i seminaria, robią też wspólnie gazetę, później przez wiele lat miał tam publikować artykuły na temat kina i literatury oraz pełne wściekłości komentarze na temat bezmyślności polityków, wiele też pisał o ich służalczości wobec wielkich korporacji. Ojca nie zdziwiło to wyznanie, bo zmiana, jaka zaszła w zachowaniu syna od kilku miesięcy, nie dotyczyła wyłącznie ich wzajemnych relacji: Rodney przestał pić alkohol i palić marihuanę, zaczął brać udział w pracach domowych, stał się bardziej obliczalny i nawet odnowił przyjaźń z kilkoma kolegami z dawnych lat. Wkrótce objął posadę księgowego w restauracji w Urbanie, zaczął udzielać się jako wolontariusz w małym niezależnym związku zawodowym i odwiedzać miejscowy lokal Stowarzyszenia Weteranów. Wydawało się, że wraz ze śmiercią matki w całym życiu Rodneya nastąpił przełom: jakby dzięki podróżom do Chicago i pomocy ze strony Stowarzyszenia Weteranów zaczęła pękać stalowa kapsuła, w której dusił się od piętnastu lat, i jakby powoli przełamывał wstyd z powodu służby w Wietnamie i zaczął doceniać to, że wyszedł żywy z tej niewytłumaczalnej wojny. W każdym razie, w chwili gdy zatrudnił się jako wykładowca języka hiszpańskiego w Urbanie, prowadził już uporządkowane i pracowite życie i można by nawet przypuścić, że uwolnił się raz na zawsze od koszmarów związanych z pobytem w Wietnamie.

A jednak się nie uwolnił. Ojciec Rodneya dowiedział się o tym w bożonarodzeniowy wieczór 1988 roku, kilka miesięcy wcześniej, nim u siebie w Rantoul opowiedział mi historię syna, i zaledwie kilka dni po tym, jak pożegnaliśmy się z Rodneyem przy Treno's,

obiecując sobie – jak się okazało, na próżno – że zobaczymy się zaraz po moim powrocie z podróży na Środkowy Zachód, dokąd wybierałem się w towarzystwie Barbary, Gudrun i Rodriga Ginésa. Tamtego wieczoru zadzwonił telefon: jakiś człowiek chciał rozmawiać z Rodneyem. Nie było go, więc ojciec zapytał, kto mówi. „Tommy Birban”, odpowiedział mężczyzna. Ojciec Rodneya nigdy wcześniej tego nazwiska nie słyszał, ale telefon go nie zdziwił, bo odkąd Rodney wyszedł ze swojej stalowej kapsuły, znowu dzwonili do niego jacyś nieznajomi. Mężczyzna powiedział, że jest kolegą Rodneya, że znowu zadzwoni, i podał swój numer telefonu na wypadek, gdyby Rodney chciał zadzwonić pierwszy. Kiedy Rodney wrócił do domu, ojciec przekazał mu wiadomość i podał karteczkę z zapisanym numerem telefonu; zdumiała go reakcja syna: Rodney pobladł i biorąc do ręki karteczkę, spytał ojca, czy jest pewien, że nieznajomy tak właśnie się przedstawił, i choć ojciec zapewnił go, że tak, kazał sobie to nazwisko powtórzyć jeszcze kilka razy, żeby wykluczyć pomyłkę. „Czy coś się stało?”, spytał ojciec. Rodney nie odpowiedział albo odpowiedział ni to lekceważącym, ni to pogardliwym ruchem ręki. Później jednak, kiedy siedzieli już przy kolacji, telefon zadzwonił ponownie i nim ojciec zdążył wstać od stołu, żeby odebrać, ostry krzyk Rodneya zatrzymał go na miejscu. Dwaj mężczyźni wbili w siebie wzrok: to wtedy ojciec Rodneya zrozumiał, że coś jest nie tak. Telefon nadal dzwonił, wreszcie umilkł. „To mógł być kto inny”, powiedział ojciec Rodneya. Rodney nie odezwał się. „Zadzwoni znowu, prawda?”, zapytał ojciec po chwili milczenia. Teraz Rodney przytaknął. „Nie chcę z nim rozmawiać – powiedział. – Powiedz mu, że mnie nie ma. Albo lepiej powiedz, że wyjechałem i nie wiesz, kiedy wrócę. Tak, to mu

powiedz”. Tamtego wieczoru ojciec Rodneya nie zaryzykował innych pytań – wiedział, że syn nie odpowie – i cały następny dzień czekał na telefon Tommy’ego Birbana. Oczywiście zadzwonił, a ojciec Rodneya odebrał natychmiast i zrobił to, co syn kazał mu zrobić. „Wczoraj nic pan nie mówił, że syn wyjechał”, dopytywał się nieufnie Tommy Birban. „Nie pamiętam już, co panu mówiłem wczoraj”, odparł. Potem ciągnął, wymyślając coś naprędce: „Ale niech pan już więcej nie dzwoni. Rodney wyjechał i nie wiem, gdzie jest ani kiedy wróci”. Miał już odłożyć słuchawkę, gdy znowu usłyszał głos Tommy’ego Birbana, tym razem nie brzmiał podejrzliwie, lecz błagalnie, jak perfekcyjnie wyartykułowany szloch: „Pan jest ojcem Rodneya, tak?” Nie zdążył odpowiedzieć. „Wiem, że Rodney z panem mieszka, powiedzieli mi to w Stowarzyszeniu Weteranów w Chicago, to oni dali mi numer telefonu. Chcę pana prosić o przysługę. Jeżeli pan się zgodzi, obiecuję, że już nie zadzwonię, ale musi się pan zgodzić. Proszę być tak miłym i powiedzieć Rodneyowi, że nie zamierzam go o nic prosić, o spotkanie też nie. Chcę tylko chwilę z nim porozmawiać, proszę mu powiedzieć, że chcę z nim chwilę porozmawiać. Proszę powiedzieć, że muszę z nim porozmawiać. Tylko tyle. Proszę, niech pan mu to powie. Powie mu pan?” Ojciec Rodneya nie potrafił odmówić, ale fakt, że jego syn przyjął później tę wiadomość z kamienną twarzą i bez słowa komentarza, napełnił go złudną nadzieją, że to zdarzenie, którego nie potrafił i nie chciał zrozumieć, nie pociągnie za sobą żadnych poważniejszych następstw. Jak było do przewidzenia, kilka dni później Tommy Birban zadzwonił ponownie. Ale Rodney nie zamierzał odbierać telefonu, więc znowu ojciec podniósł słuchawkę. Rozmawiał chwilę bardzo nerwowo i już

chciał skończyć, gdy syn poprosił, żeby mu podać telefon; z wahaniem i spoglądając wymownie na znak, że jeszcze nie jest za późno, żeby uniknąć błędu, podał słuchawkę Rodneyowi. Dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą dłuższą chwilę, ale ojciec Rodneya nie chciał słuchać tej rozmowy, dobiegło go tylko kilka wyrwanych z kontekstu słów. W nocy Rodney nie mógł zasnąć, a nazajutrz Tommy Birban zadzwonił raz jeszcze i znowu rozmawiali przez kilka godzin. Ich rozmowy powtarzały się niczym jakiś złowieszczy rytuał każdego dnia przez ponad tydzień, a w Nowy Rok o świcie ojciec Rodneya usłyszał hałas na parterze, wstał, wyszedł na werandę i zobaczył, że jego syn pakuje ostatnią torbę do bagażnika buicka. Wcale się nie zdziwił; w gruncie rzeczy właściwie się tego spodziewał. Rodney zamknął bagażnik i wszedł po schodkach na werandę. „Wyjeżdżam – powiedział. – Miałem wejść na górę, żeby się pożegnać”. Ojciec wiedział, że syn kłamie, ale przytaknął. Popatrzył na zaśnieżoną ulicę, na prawie białe niebo w szarym świetle świtu; popatrzył na stojącego przed nim syna, wysokiego i zdruzgotanego mężczyznę, i poczuł, że świat jest pusty, zamieszkany tylko przez nich dwóch. Już miał mu to powiedzieć. Już miał powiedzieć: „Dokąd jedziesz? Nie wiesz, że świat jest pusty?” Ale nie powiedział. Powiedział natomiast: „Nie czas już o tym wszystkim zapomnieć?” „Ja już o tym zapomniałem, tato – odrzekł Rodney. – Tamto jednak nie zapomina o mnie”. „Takie były jego ostatnie słowa”, zakończył ojciec Rodneya, zanurzony głęboko w fotelu, tak wyczerpany, jakby podczas tego wieczoru bez końca w swoim domu w Rantoul nie opowiadał mi historii syna, lecz starał się daremnie wspiąć na niezdobytą górę, dźwigając na plecach

nieprzydatny ekwipunek. „Potem uściskaliśmy się i odjechał. Resztę już pan wie”.

Tak zakończył opowiadanie historii Rodneya jego ojciec. Żaden z nas nie miał już nic do dodania, zostałem z nim jednak i przez jakiś trudny do określenia czas, nie wiem, czy długo, czy krótko, siedzieliśmy tak naprzeciw siebie, symulując zdawkową rozmowę, jakbyśmy czuli, że łączyła nas wiedza o jakiejś hańbiącej tajemnicy albo zbrodni, lub jakbyśmy szukali rozwiązania, żebym ja nie musiał samotnie wracać do Urbany, a on nie musiał stawiać czoła samotności w tym wielkim, pustym domu, i kiedy wreszcie postanowiłem wyjść, już o świcie, byłem pewien, że na zawsze zapamiętam opowiedzianą mi przez ojca Rodneya historię i że nie jestem już tym samym człowiekiem, który przyjechał do Rantoul poprzedniego popołudnia. „Jest pan zbyt młody, żeby myśleć o własnych dzieciach”, powiedział przy pożegnaniu ojciec Rodneya, i nie zapomniałem tego. „Proszę nie mieć dzieci, bo będzie pan tego żałował. Takie jest życie: cokolwiek pan zrobi, będzie pan tego żałował. I coś panu powiem: historie miłości są bez sensu, ponieważ miłość to choroba; ale mieć syna to znaczy porwać się na miłość tak bezsensowną, że tylko śmierć może położyć jej kres”.

To mi powiedział ojciec Rodneya, i nie zapomniałem tego.

Nigdy więcej go nie widziałem.

Kamienna brama

Wróciłem do Hiszpanii mniej więcej po roku od chwili, gdy ojciec Rodneya opowiedział mi historię swego syna w tamto wiosenne popołudnie. Wiele się jeszcze wydarzyło, nim wyjechałem z Urbany. Nie będę tu wszystkiego opowiadał, bo po pierwsze, byłoby to nużące, a po drugie, nie wszystko ma związek z tą opowieścią. Może zresztą ma, tylko ja jeszcze tego nie widzę. Wszystko jedno. Powiem tylko tyle, że latem pojechałem na miesięczne wakacje do Hiszpanii; że po powrocie do Urbany, w następnym roku akademickim, prowadziłem nadal zajęcia, zająłem się własnymi sprawami i nawet rozpocząłem pisanie doktoratu pod kierunkiem Johna Borghesona (nigdy go nie skończyłem); że zadawałem się z dziewczynami, poznałem nowych przyjaciół i zaprzyjaźniłem się jeszcze bardziej z dawnymi, przede wszystkim z Rodrigo Ginésem, Laurą Burns, Felipe Vierim; że byłem zajęty życiem i że nie byłem zajęty umieraniem; że cały czas pracowałem z zapałem nad moją powieścią. Tak intensywnie, że wiosną następnego roku była skończona. Nie mam pojęcia, czy była dobra, ale była moją pierwszą powieścią i kiedy ją napisałem, poczułem się bardzo szczęśliwy z prostego powodu: oto udowodniłem sam sobie, że potrafię pisać powieści. Na wszelki wypadek dodam jeszcze, że nie była to książka o Rodneyu, choć występuje w niej ktoś, drugoplanowa postać, która

przypomina go pod względem fizycznym; traktowała o upiorach i zombi, jej akcja rozgrywała się w Urbanie, a główny bohater był wzorowany na mnie i znajdował się takich samych jak ja okolicznościach... Wyjeżdżając z Urbany, wiozłem zatem ze sobą swoją pierwszą powieść, czułem się wielkim szczęściarzem i czułem też, że jakkolwiek nie podróżowałem zbyt wiele, nie tak znowu wiele zobaczyłem, nie żyłem szczególnie intensywnie ani nie zebrałem zbyt wielu doświadczeń, to jednak długi pobyt w Stanach Zjednoczonych okazał się moim prawdziwym doktoratem, byłem przekonany, że już niczego więcej się tam nie nauczę i że jeżeli mam być prawdziwym pisarzem, a nie upiorem albo zombi – jak Rodney oraz bohaterowie mojej powieści i niektórzy mieszkańcy Urbany – powinienem natychmiast wracać do domu.

Tak też zrobiłem. Chociaż postanowiłem wracać bez względu na to, co mnie czeka, to trzeba przyznać, że lądowanie miałem bardziej miękkie, niż mogłem się spodziewać, bo kiedy w maju zabierałem się do pakowania walizek, zadzwonił do mnie z Barcelony Marcelo Cuartero z propozycją asystentury na Uniwersytecie Autonomicznym. Pensję dawali marną, ale zważywszy okolicznościowe fuchy i prace zlecone, mogłem sobie pozwolić na wynajęcie kawalerki w dzielnicy Sant Antoni i na względnie beztrudne życie. W ten sposób zacząłem łączyć odzyskiwać dawne życie w Barcelonie; odzyskałem też oczywiście Marcosa Lunę. Marcos mieszkał wtedy z Patricią, fotograficzką współpracującą z pismem poświęconym modzie, i zarabiał na życie, robiąc rysunki dla jakiejś gazety, zaczął też dość regularnie wystawiać swoje prace i wyrabiał sobie nazwisko wśród malarzy swego pokolenia. Gdy wreszcie ukazała się moja powieść, wydana

przez mało znane wydawnictwo i przyjęta całkowitym milczeniem, jeśli nie liczyć jednej nikomu niepotrzebnej i nieprzytomnie pochwalnej recenzji napisanej przez ucznia Marcela Cuartero (albo przez samego Marcela Cuartero pod pseudonimem), to właśnie Marcos załatwił mi pod koniec tego roku spotkanie z zastępcą redaktora naczelnego swojej gazety, a ten z kolei zaproponował mi pisanie tekstów o wydarzeniach kulturalnych oraz recenzji do dodatku poświęconego kulturze. Tym sposobem, z pomocą Marcosa i Marcela Cuartero radziłem sobie jako tako w Barcelonie, a równocześnie zabrałem się do pisania kolejnej powieści. Dużo mi jeszcze brakowało do jej ukończenia, kiedy w moim życiu pojawiła się Paula i wywróciła wszystko, włącznie z samą powieścią, do góry nogami. Paula miała jasne włosy, była nieśmiała, smukła i przezroczysta, dziś wiem, że należała do tych zdyscyplinowanych i nieprzystępnych trzydziestoletnich kobiet, które pozornie wyniosłe, w istocie szukają prawdziwego uczucia. Właśnie rozstała się z pierwszym mężem i pracowała w dziale kultury tej samej gazety; prawie nie bywałem w redakcji, minęło więc trochę czasu, nim się poznaliśmy, ale kiedy w końcu do tego doszło, zrozumiałem, że ojciec Rodneya miał rację i że kochać to znaczy być równocześnie dotkniętym szaleństwem i chorobą, na którą jedynym lekarstwem jest czas. Chcę przez to powiedzieć, że zakochałem się na zabój w Pauli i byłem pewien pewnością wszystkich zakochanych, że nigdy wcześniej nikogo tak nie kochałem. To była idylla, cudowna i wycieńczająca, ale przede wszystkim to było szaleństwo, a ponieważ jedno szaleństwo prowadzi zazwyczaj do kolejnego, po kilku miesiącach wprowadziłem się do Pauli, potem wzięliśmy ślub, a potem urodził nam się syn, Gabriel. Wszystko wydarzyło się

w bardzo krótkim czasie (albo mnie się wydawało, że stało się to bardzo szybko) i nim się obejrzałem, mieszkałem już w bardzo słonecznym szeregowcu z ogródkiem na przedmieściach Gerony, stając się mimowolnie ucieleśnieniem pospolitego mieszczucha w enklawie prowincjonalnej zamożności, czego – jako młody adept sztuki pisarskiej, marzący o odniesieniu sukcesu – nie przeczuwałem nawet w koszmarnych snach.

Ale ku memu zdumieniu, decyzja o zmianie miejsca zamieszkania i modelu życia okazała się trafna. Teoretycznie podjęliśmy ją dlatego, że Gerona, choć odległa tylko o godzinę jazdy od centrum stolicy Katalonii, była miejscem tańszym i spokojniejszym niż Barcelona. W praktyce okazało się, że było też wiele innych zalet tej sytuacji: w Geronie pensja Pauli prawie wystarczała nam na utrzymanie, wkrótce mogłem więc zostawić pracę na uniwersytecie oraz pisanie artykułów i poświęcić się całkowicie pisaniu książek; trzeba tu jeszcze dodać, że w Geronie mogliśmy liczyć na pomoc rodziny i przyjaciół z dziećmi i że prawie nie było rozrywek, tym samym nasze życie towarzyskie sprowadzało się niemal do zera. Co do reszty, to Paula jeździła codziennie do Barcelony do pracy, a ja zajmowałem się domem i Gabrielem i mogłem wygospodarować dużo wolnego czasu na pisanie. Konsekwencją tego splotu sprzyjających okoliczności były dwa najszcześniejsze lata w moim życiu i cztery książki: dwie powieści, zbiór artykułów prasowych i zbiór esejów. Wszystkie przeszły, co prawda, bez echa, tak jak i pierwsza, ale ja nie czułem się sfrustrowany tą niewidzialnością swoich tekstów, a już na pewno nie uważałem tego za porażkę. Po pierwsze, chroniła mnie (niczym tarcza obronna) mieszanka pokory, wyniosłości i tchórzostwa: nie było mi przykro z powodu braku

zainteresowania moimi książkami, ponieważ nie uważałem, że zasługują na zainteresowanie, myślałem zarazem, że bardzo niewielu czytelników jest w stanie je docenić, a również obawiałem się w skrytości ducha, że gdyby spotkały się z większym zainteresowaniem, to nieuchronnie wyszłaby na jaw ich ewidentna nędza. Po drugie, rozumiałem już wtedy, że skoro jestem pisarzem, to stałem się wariatem, który ma obowiązek przyglądać się rzeczywistości i który czasami ją widzi, i że pewnie dlatego wybrałem sobie to kurewskie zajęcie, że nie mogłem być nikim innym tylko pisarzem: w pewien sposób to nie ja wybrałem sobie swój zawód, lecz to mój zawód wybrał sobie mnie.

Mijał czas. Zacząłem zapominać o Urbanie. Nie potrafiłem natomiast zapomnieć (przynajmniej niezupełnie) przyjaciół z Urbany, głównie dlatego, że okazjonalnie i bez żadnych zabiegów z mojej strony docierały do mnie wiadomości na ich temat. Tylko John Borgheson nadal tam pracował, zresztą spotkałem się z nim kilkakrotnie przy okazji jego przyjazdów do Barcelony, stawał się coraz bardziej dostojny, profesorski i coraz bardziej brytyjski. Felipe Vieri skończył studia w Nowym Jorku, dostał posadę wykładowcy na uniwersytecie w Nowym Jorku i zamieszkał w Greenwich Village, stając się tym, kim zawsze chciał być: stuprocentowym nowojorczykiem. Życie Laury Burns było bardziej burzliwe i urozmaicone: najpierw obroniła doktorat w Urbanie, wyszła za mąż za inżyniera informatyka z Hawajów, rozwiodła się i po odbyciu wędrówki po kilku uniwersytetach wylądowała w Oklahoma City, gdzie ponownie wyszła za mąż, tym razem za człowieka interesu, przy którym porzuciła pracę na uczelni i prowadziła życie między Oklahoma i Ciudad de Mexico. Co się

tyczy Rodriga Ginésa, on też zrobił doktorat w Urbanie, następnie uczył przez dwa lata na Purdue University, a potem wrócił do Chile, ale nie do Santiago, lecz do Coyhiale, na południu kraju, gdzie ponownie się ożenił i wykładał na Uniwersytecie w Los Lagos.

Tylko o Rodneyu nie miałem długo żadnych wiadomości, choć zawsze o niego pytałem, ilekroć spotykałem kogoś, kto przebywał w Urbanie w moich czasach (bezpośrednio przedtem lub potem). Nie znaczy to jednak, że o nim zapomniałem. Dziś łatwo mogę sobie wyobrazić, że przez te wszystkie lata nigdy nie przestałem o nim myśleć; w rzeczywistości jednak jest to tylko po części prawda. Prawda, że od czasu do czasu zastanawiałem się, co może się dzieć z Rodneyem i jego ojcem, jak długo mój przyjaciel był poza domem i ile czasu minęło, nim ponownie wyjechał. Prawda, że co najmniej dwa razy naszała mnie ochota albo potrzeba opowiedzenia jego historii i za każdym razem odkurzałem wtedy czarne, kartonowe teczki na gumkę, które dostałem od jego ojca, i czytałem ponownie listy i własne, zrobione po powrocie do Urbany notatki z tamtej rozmowy w Rantoul. Prawda, że zapoznałem się dogłębnie z tematem, czytając o wojnie w Wietnamie wszystko, co mi wpadło w ręce, i że zrobiłem wiele stron notatek, sporządziłem konspekt, wymyśliłem postaci i zaplanowałem sceny i dialogi, zawsze jednak zostawały jakieś niepasujące do reszty kawałki, niemożliwe do zapełnienia białe plamy (przede wszystkim dwie: co się wydarzyło w My Khe, kim był Tommy Birban), i pewnie dlatego, ilekroć zasiadałem do pisania, wkrótce je porzucałem, sparaliżowany niemożnością nadania jakiegoś sensu tej historii, która w gruncie rzeczy (albo tak przynajmniej wtedy podejrzewałem) mogła być sensu pozbawiona. Miałem dziwne uczucie, jakby nieszczęśliwa

historia Rodneya nie do końca do mnie należała, chociaż jego ojciec uczynił mnie w jakiś sposób jej depozytariuszem, i jakbym nie ja powinien ją opowiedzieć, i dlatego brakło mi odwagi, szaleństwa i desperacji do jej opisanie, a może uważałem, że sprawa jeszcze nie osiągnęła temperatury wrzenia; że to historia jeszcze niedokończona, nie jest dojrzała albo spójna, jeszcze stawia opór natrętnym próbom jej zapisania. Prawdą jest także, że podobnie jak przy pisaniu mojej pierwszej i zarzuconej powieści w Urbanie, potem też długie lata nie potrafiłem zasiać do pracy, nie czując na plecach oddechu Rodneya, nie zastanawiając się, co on by powiedział o tym czy tamtym zdaniu, o tym czy tamtym przymiotniku – jego cień był zarazem surowym sędzią i sprawującym nade mną opiekę aniołem – a już zupełnie nie potrafiłem porzucić wyimaginowanych dysput z Rodneyem, kiedy czytałem jego ulubionych autorów, a czytałem ich dużo. Wszystko to prawda, ale przecież nie sposób zaprzeczyć, że z upływem czasu, w miarę jak wspomnienie Urbany rozplątało się w pamięci niczym biały ślad samolotu przecinającego czyste niebo, razem z nim zacierał się obraz Rodneya. Kiedy więc mój przyjaciel niespodziewanie się pojawił, byłem już przekonany, że nigdy o nim nie napiszę i że nigdy – chyba że jakimś niewiarygodnym trafem – już się nie spotkamy.

To zdarzyło się trzy lata temu, ale nie zdarzyło się przypadkiem. Kilka miesięcy wcześniej wydałem powieść, której fabuła obracała się wokół mało istotnego zdarzenia z okresu hiszpańskiej wojny domowej; jeżeli pominąć tematykę, nie różniła się szczególnie od moich poprzednich powieści, chociaż rzeczywiście była bardziej złożona i nie na czasie, może bardziej dziwaczna, ale ku ogólnemu

zaskoczeniu krytyka przyjęła ją, poza nielicznymi wyjątkami, z pewnym entuzjazmem i nie minęło dużo czasu, a książka sprzedała się w większym nakładzie niż wszystkie moje poprzednie utwory razem wzięte, co nawiasem mówiąc, nie czyniło z niej jeszcze bestsellera: był to co najwyżej głośny *succès d'estime*, wystarczający wszakże, by uszczęśliwić, a nawet wprowadzić w euforię kogoś takiego jak ja, w owym czasie bowiem zacząłem już popadać w zwyczajowy sceptycyzm, właściwy czterdziestoletnim pisarzynom, którzy dawno już potulnie zrezygnowali z wybujałych młodzieńczych ambicji zyskania sławy i poprzestawali na wygodnej przeciętności, gwarantującej znośną przyszłość, bez większych smutków i większego cynizmu, niż trzeba, by nadal żyć z pewną godnością.

Właśnie w tej chwili nieoczekiwanej radości pojawił się ponownie. Któregoś wieczoru wróciłem do domu z podróży po kilku miastach w Andaluzji, gdzie promowałem książkę, Paula przywitała mnie wiadomością, że tego właśnie dnia w Geronie był Rodney.

– Kto taki? – zapytałem, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Rodney – powtórzyła Paula. – Rodney Falk. Twój przyjaciel z Urbany.

Oczywiście wcześniej wiele razy rozmawiałem z Paulą o Rodneyu, ale moje zdziwienie nie było przez to mniejsze, gdy usłyszałem z jej ust to znajome i cudzoziemskie nazwisko. Paula zaczęła mi opowiadać o odwiedzinach Rodneya: około dziesiątej rano rozległ się dzwonek do drzwi; Paula nikogo się nie spodziewała, więc zanim otworzyła, zerknęła przez wizjer i na widok postawnego, nieznajomego mężczyzny z jednym okiem przesłoniętym czarną opaską tak się przestraszyła, że mało brakowało, a udałaby, że nikogo nie ma w domu. Ciekawość okazała się jednak silniejsza

i Paula przez drzwi zapytała w końcu, kto tam. Rodney przedstawił się, zapytał o mnie, znowu powtórzył swoje nazwisko i Paula przypomniała je sobie, otworzyła, powiedziała, że wyjechałem, zaprosiła do środka, poczęstowała kawą. Kiedy pili kawę obserwowani z bezpiecznej odległości przez Gabriela, Rodney opowiedział, że od tygodnia podróżuje po Hiszpanii, a przed trzema dniami, będąc w Barcelonie, zobaczył w księgarni moją ostatnią książkę, kupił ją, przeczytał, zadzwonił do wydawnictwa i po długich naleganiach i kilku drobnych kłamstwach udało mu się nakłonić wreszcie dziewczynę z działu prasowego, żeby zdradziła mu mój adres. Gabriel porzucił wkrótce swą początkową nieufność – zdaniem Pauli rozbawił go mało naturalny hiszpański Rodneya albo jego nieporadny kataloński, wyuczony na naszych lekcjach w Urbanie, a może to Rodney sprytnie albo instynktownie wyczuł, że najłatwiej zdobyć sobie sympatię dziecka, odnosząc się doń jak do dorosłego – i natychmiast zaprzyjaźnił się z Rodneyem, Paula nie zdążyła się nawet obejrzeć, a grali już w ping-ponga w ogrodzie. Spędzili we trójkę cały dzień: zjedli obiad w domu, byli na spacerze w starej części miasta, w barze przy placu Sant Domènec dłuższą chwilę grali w piłkarzyki, grę uwielbianą przez Gabriela, której Rodney zupełnie nie znał, ale wedle słów Pauli, szybko się wciągnął i grał z namiętnością neofity, wrzeszcząc przy każdym golu, obejmując i podnosząc do góry Gabriela. Pod wieczór Rodney powiedział, że musi wracać, i chociaż Gabriel i Paula starali się go zatrzymać, argumentując, że wracam za kilka godzin, nie udało im się: Rodney twierdził, że jeszcze tego samego wieczoru powinien wsiąść w Barcelonie do pociągu do Pampeluny, żeby zdążyć na święto San Fermín.

– Miał się tu zatrzymać – powiedziała Paula, kończąc relację i wręczając mi kartkę w kratkę z nazwą i telefonem hotelu, zapisanymi wąskim, charakterystycznym pismem Rodneya. – Hotel Albert.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, ponieważ męczył mnie podwójny niepokój, tylko w połowie związany z odwiedzinami Rodneya. Niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej przespałem się z pisarką, która mówiła o mojej książce podczas promocji w Maladze; nie była to pierwsza zdrada w ciągu ostatnich miesięcy, ale każde takie wydarzenie wydawało mnie na kilkudniową mękę wściekłych wyrzutów sumienia. Z drugiej strony niepokoiło mnie nagłe pojawienie się Rodneya akurat w chwili mojej konsekracji na pisarza, zupełnie jakbym się obawiał, że przyjaciel wcale nie przyjechał świętować mego sukcesu, lecz po to, by ujawnić, jak wiele w tym farsy, upokarzając mnie przy okazji wspomnieniem moich żalonych początków pisarskich w Urbanie. Usnąłem wreszcie, nie wyzbywszy się co prawda wyrzutów sumienia, ale zdecydowany, by nie dzwonić do Rodneya i postarać się jak najszybciej zapomnieć o jego odwiedzinach.

Nazajutrz okazało się jednak, że w moim domu nie mówi się o nikim innym jak tylko o Rodneyu. Paula i Gabriel powiedzieli mi na przykład, że mój przyjaciel mieszka w Burlington, mieście w stanie Vermont, ma żonę, że właśnie urodził mu się syn i że pracuje w agencji nieruchomości. Nie wiem, co mnie bardziej zdumiało: czy to, że Rodney, tak zawsze stroniący od wszelkich rozmów o swoim życiu osobistym, rozmawiał na ten temat z Paulą i Gabrielem, czy też raczej sama niezwykła wiadomość, czyli to, że jak wyznał mojej żonie i synkowi, wie dzie teraz spokojne życie ojca

rodziny, tak niepasujące do człowieka udreżonego własną przeszłością, jakim był jeszcze w Urbanie, chociaż nikt wtedy tego nie podejrzewał, jakby czas, w którym się nie widzieliśmy, uleczył ostatecznie wojenne rany i pozwolił wydobyć się z nieskończonej sekwencji nieszczęść, z którymi zmagał się samotnie i po omacku przez trzydzieści lat. W poniedziałek Paula wywołała zdjęcia, które ona i Gabriel zrobili sobie z Rodneyem; to były radosne fotografie: na większości z nich widać było Gabriela i Rodneya (na jednej grali w piłkarzyki; na innej siedzieli na schodach przed katedrą, na jeszcze innej szli Ramblą, trzymając się za ręce); ale na dwóch była też Paula: na moście Les Peixeteries Velles i przy wejściu na dworzec, chwilę przed odjazdem pociągu Rodneya. We wtorek rano po długim namyśle postanowiłem w końcu zadzwonić do Rodneya. Nie skłoniły mnie do tego ciągle nagabywania Gabriela i Pauli, dopytujących się od trzech dni, czy już z nim rozmawiałem, lecz trzy różne, ale uzupełniające się powody: po pierwsze, uświadomiłem sobie, że chcę porozmawiać z Rodneyem; po drugie, zrozumiałem w końcu, że moja obawa, czy Rodney nie przyjechał, aby zepsuć mi świętowanie sukcesu, jest absurdalna i małoduszna; po trzecie – i wcale nie było to najmniej ważne – od półtora już roku nie napisałem ani linijki i w pewnej chwili przyszło mi do głowy, że gdyby udało mi się porozmawiać z Rodneyem o jego pobycie w Wietnamie i zapełnić białe plamy w historii przekazanej mi przez jego ojca i zapisanej w listach obu braci z frontu, może wówczas potrafiłbym wszystko zrozumieć i zabrałbym się energicznie do tyle razy już odkładanego pisania książki na ten temat.

We wtorek rano zadzwoniłem do hotelu Albert w Pampelunie i poprosiłem o połączenie z Rodneyem. Ku memu zdumieniu

recepjonista odpowiedział, że nikt taki tam nie mieszka. Nalegałem, przekonany, że doszło do pomyłki i po kilku sekundach recepcjonista przyznał, że faktycznie Rodney zatrzymał się w hotelu na jedną noc, z niedzieli na poniedziałek, ale w poniedziałek rano odwołał nieoczekiwanie zrobioną zawczasu pięciodniową rezerwację i wyjechał do Madrytu. „Powiedział na odjezdnym, że gdyby ktoś o niego pytał, to zatrzyma się w hotelu San Antonio de La Florida”, dodał recepcjonista. Spytałem go, czy zna numer telefonu tego hotelu; odpowiedział, że nie. Odłożyłem słuchawkę. Wziąłem słuchawkę. W telefonicznym biurze numerów podano mi numer telefonu hotelu San Antonio de La Florida; zadzwoniłem tam i zapytałem o Rodneya. „Chwileczkę, proszę”, usłyszałem w odpowiedzi. Czekałem krótką chwilę, po czym usłyszałem w słuchawce głos recepcjonisty. „Przykro mi. W tej chwili pana Falka nie ma w pokoju”. Następnego ranka ponownie zadzwoniłem do hotelu, pytając o Rodneya. „Właśnie wyszedł”, powiedział ten sam recepcjonista (albo inny). Z wściekłości omal nie rzuciłem słuchawki, ale na czas się powstrzymałem i spytałem, do kiedy Rodney ma zarezerwowany pokój. „Dzisiejszej nocy jeszcze u nas śpi – odpowiedział recepcjonista. – Ale jutro już nie”. Podziękowałem i rozłączyłem się. Pół godziny później, doszedłszy do wniosku, że jeżeli teraz stracę ślad Rodneya, nigdy go już nie odnajdę, zadzwoniłem raz jeszcze do hotelu i zarezerwowałem pokój na tę samą noc. Potem zadzwoniłem do Pauli do redakcji, zawiadomiłem ją, że jadę do Madrytu, żeby zobaczyć się z Rodneyem, zapakowałem do torby ubranie i bieliznę na zmianę, książkę oraz trzy kartonowe teczki z listami Rodneya i jego brata i ruszyłem na lotnisko w Barcelonie.

Wylądowałem w Madrycie o szóstej, a czterdzieści minut później taksówka po okrążeniu miasta obwodnicą M-30 przywiozła mnie do hotelu San Antonio de La Florida, w dzielnicy La Florida, naprzeciwko stacji metra Príncipe Pío. Hotel był skromny, stał przy ruchliwej ulicy, pełnej kawiarnianych ogródków i typowych barów. Przeszedłem przez hol, wszedłem do góry po kilku wyłożonych dywanem schodkach i znalazłem się w przestronnym salonie; w głębi znajdowała się recepcja, po jej dwóch stronach kabiny telefoniczne oraz plastikowy stojak w kształcie piramidy z widokówkami. Zameldowałem się, dostałem klucz do mojego pokoju, zapytałem o Rodneya. Recepcjonista – starannie uczesany mężczyzna o surowym wyglądzie i w okularach – zajrzał do książki meldunkowej, a potem do przegródek z kluczami.

– Pokój 334 – usłyszałem odpowiedź. – Ale teraz go nie ma. Czy mam mu coś przekazać, kiedy wróci?

– Proszę mu powiedzieć, że zatrzymałem się w tym hotelu. I że na niego czekam.

Recepcjonista zanotował wiadomość na kartce, a mnie boy hotelowy zaprowadził do maleńkiego pokoju, dosyć paskudnego, ze ścianami w kremowym kolorze i krwistoczerwonymi drzwiami oraz framugami okien. Rozebrałem się, wziąłem prysznic, ponownie się ubrałem. Wyciągnięty na łóżku przykrytym narzutą w kwiatki – z takiego samego materiału były zasłony zebrane z dwóch stron okna, za którym rozpościerał się widok na ruchliwe skrzyżowanie wielopoziomowe i gęsto zadrzewiony narożnik parku Casa de Campo, a z drugiej strony na najdalsze już prawie przedmieścia – spodziewałem się w każdej chwili nadejścia Rodneya i zabijałem czas wyobrażaniem sobie naszego spotkania. Zastanawiałem się, czy

Rodney bardzo się zmienił od dnia, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni na zaśnieżonym chodniku przed Treno's; zastanawiałem się, czy ojciec powiedział mu o mojej wizycie w Rantoul i o temacie naszej rozmowy; zastanawiałem się, czy zgodzi się porozmawiać ze mną o latach spędzonych w Wietnamie, wyjaśnić, co wydarzyło się w My Khe, kim był Tommy Birban; zastanawiałem się, dlaczego zadał sobie trud przyjazdu do mnie do Gerony i co też może myśleć o mojej powieści. Wreszcie, zniecierpliwiony i znudzony, około dziewiątej zszedłem do recepcji i poprosiłem recepcjonistę, by przekazał Rodneyowi, że czekam na niego w kawiarni.

Kawiarnia była pełna ludzi. Usiadłem przy jedynym wolnym stoliku, zamówiłem piwo i zagłębiłem się w lekturze powieści, którą wziętem ze sobą z domu. Kilka piw później zamówiłem kanapkę, potem podwójną kawę i podwójną whisky. Mijał czas; ludzie wchodzili i wychodzili z lokalu, a Rodneya nadal nie było. Kiedy zamawiałem kolejną kawę, musiało być już bardzo późno, bo ulotnił się euforyczny efekt kawy i whisky. „Przykro mi – powiedział kelner. – Zaraz zamykamy”. Uprosiłem go, żeby przyniósł mi kawę w plastikowym kubku i z tym kubkiem w ręce wszedłem znowu do salonu z recepcją, gdzie w tej właśnie chwili recepcjonista rozmawiał z dwójką zapóźnionych turystów. Kilka godzin wcześniej, kiedy schodziłem na kolację, salon tonął w rześnym świetle osadzonych w suficie żarówek, teraz jednak pogrążony był w ciemności rozjaśnionej jedynie przez światło przy recepcji i dwie lampy stojące, które ledwie wydobywały z półmroku ryciny przedstawiające dawny Madryt, litografie Goi i pozbawione wyrazu martwe natury na ścianach. Usiadłem przy jednej z lamp, tyłem do wielkiego okna, zajmującego całą jedną ścianę salonu, i prawie na

wprost schodów prowadzących z holu, obok których wisiał zegar ścienny, wskazujący właśnie godzinę drugą. Przy innej lampie jakiś mężczyzna oglądał samotnie czarno-biały film w telewizji, wkrótce jednak zgasił telewizor, wsiadł do windy i pojechał do swego pokoju. Recepcjonista zdążył już obsłużyć dwójkę turystów i teraz przysypiał za kontuarem. Nadal czekałem i w chwilach przerwy w lekturze, zmęczony i senny, zastanawiałem się, czy Rodneyznou mi się nie wymknął i czy nie zrobiłbym najlepiej, kładąc się spać.

Nadszedł wkrótce potem. Usłyszałem, że w holu otwierają się drzwi, i jak wiele razy wcześniej, zamarłem w oczekiwaniu, a po kilku sekundach zobaczyłem Rodneya wynurzającego się z ciemności schodów. Nie zwrócił na mnie uwagi i szybkim krokiem, lekko utykając, skierował się do kontuaru recepcji. Rodney budził z drzemki recepcjonistę, ja tymczasem poczułem, że serce podskakuje mi do gardła: odłożyłem książkę na stolik przy swojej kanapie, wstałem i pozostałem w tej pozycji niezdecydowany, czy zrobić krok przed siebie, czy może coś powiedzieć, jakby zaczarowało mnie nagłe pojawienie się przyjaciela. Czar prysnął, gdy ciszę pomieszczenia przerwał głos recepcjonisty.

– Tamten pan na pana czeka – powiedział do Rodneya, wskazując za jego plecy.

Rodney odwrócił się i po sekundzie wahania ruszył w moją stronę, starając się przeniknąć półmrok spojrzeniem raczej badawczym niż niedowierzającym, jakby jego chore oczy nie potrafiły mnie rozpoznać.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę – zaskrzeczał wreszcie w odległości kilku kroków ode mnie, pokazując w uśmiechu mocno

już zniszczone zęby i rozkładając szeroko ramiona. – Nie do wiary. Wybitny pisarz we własnej osobie. Skąd się tu, u diabła, wzięłeś?

Nie pozwolił mi odpowiedzieć, uściskaliśmy się.

– Długo czekasz? – spytał znowu.

– Trochę – odpowiedziałem. – Wczoraj zadzwoniłem pod numer w Pampelunie, który zostawiłeś Pauli, i dowiedziałem się, że tu się zatrzymasz. Usiłowałem skontaktować się z tobą, ale bez skutku, wsiadłem więc w samolot i przyleciałem do Madrytu.

– Tylko po to, żeby spotkać się ze mną? – powiedział z udawanym zdziwieniem i wzruszył ramionami. – Trzeba było przynajmniej mnie uprzedzić. Czekałbym na ciebie.

Jakby czuł potrzebę usprawiedliwienia się, Rodney wyjaśnił, co wpłynęło na zmianę jego planów. Początkowo, mówił, zamierzał tygodniowy pobyt w Pampelunie na święcie San Fermín, kiedy jednak przyjechał do miasta w zeszłą niedzielę i zamieszkał w hotelu Albert – położonym dość daleko od centrum, w pobliżu Kliniki Uniwersyteckiej – zrozumiał, że popełnił błąd i że nie warto ryzykować, że prawdziwe święto San Fermín zdegraduje tanto fikcyjne, promienne, które pamiętał z Hemingwaya. Nazajutrz spakował walizkę, odwołał rezerwację i nie rzuciwszy nawet okiem na świąteczne miasto, wyjechał do Madrytu. Po tych wyjaśnieniach Rodney przeszedł do szczegółowego przedstawiania mi swej zawiłej marszruty po Hiszpanii, potem wspomniął z entuzjazmem o pobycie w Geronie, o Gabrielu i Pauli. Ja w tym czasie starałem się zastąpić przechowywany w pamięci obraz Rodneya człowiekiem z krwi i kości, którego miałem przed sobą; mimo upływu czternastu lat od naszego ostatniego spotkania przeszłość i teraźniejszość pasowały do siebie niemal idealnie, ponieważ przez ten cały czas Rodney

niewiele zmienił się fizycznie; może kilka dodatkowych kilogramów sprawiło, że jego sylwetka straciła dawny kanciasty kształt, może rysy twarzy straciły trochę z poprzedniej ostrości, może przechylał się odrobinę bardziej w prawą stronę, ubierał się jednak z tą samą wyzywającą abnegacją co zawsze – adidas, wytarte dzinsy, niebieska koszula w kratkę – włosy miał długie, rudawe i w lekkim nieładzie, niespokojne nadal oczy w dwóch różnych kolorach i chwiejny chód słonia, co powodowało, że sprawiał wrażenie tak samo zagubionego jak w dawnych czasach.

– O siódmej rano mam pociąg do Sewilli – powiedział. – Cała noc przed nami. Pójdziemy się czegoś napić?

Zapytaliśmy recepcjonistę o jakiś bar w pobliżu, ale odpowiedział, że o tej porze wszystko jest zamknięte, a w centrum otwarte są tylko dyskoteki. Zawiedzeni, spytaliśmy, czy wobec tego może nam coś podać na miejscu.

– Przykro mi, niestety nie – odpowiedział. – Ale na pierwszym piętrze jest automat z kawą, jeśli mają panowie ochotę.

Weszliśmy na pierwsze piętro, kpiąc sobie z „niekończących się nigdy madryckich nocy”, zapowiadanych, według Rodneya, w przewodnikach turystycznych, po chwili wróciliśmy do salonu z czarną cieczą wydawaną przez automat jako kawa i usiedliśmy w kącie z kanapą i fotelami, gdzie wcześniej czekałem na Rodneya. Rodney nie mógł się powstrzymać, by nie omieść wzrokiem okładki leżącej na stoliku powieści: zauważyłem na jego twarzy zdumienie. Teraz z kolei ja nie mogłem się powstrzymać i zapytałem, czy zna tego autora.

– Jasne – odpowiedział. – Dla mnie jest zanadto inteligentny. Prawdę mówiąc, obawiam się, że jest zbyt inteligentny, żeby być

dobrym pisarzem. Ciągłe tylko demonstruje tę swoją inteligencję, zamiast pozwolić, żeby to jego powieść była inteligentna. – Pociągnął łyk kawy, rozparł się na kanapie i mówił dalej: – A skoro jesteśmy przy powieściach, to przypuszczam, że już zacząłeś stawać się idiotą albo skurwysynem, mam rację?

Spojrzałem na niego zdeorientowany.

– Nie rób takiej miny, człowieku – roześmiał się. – Żartowałem. Ale, koniec końców, taki jest los wszystkich, którym udaje się odnieść sukces, nie mam racji?

– Nie jestem pewien – zaoponowałem. – Możliwe, że na skutek odniesionego sukcesu wychodzi z niektórych idiota albo skurwysyn. To jednak nie to samo. Poza tym z przykrością cię informuję, że mój sukces jest zbyt mały: nie tym razem.

– Nie bądź takim optymistą – upierał się. – Odkąd przyjechałem do Hiszpanii, wspominano mi o twojej książce już dwa albo i trzy razy. *Malum signum*. A właśnie, czy Paula mówiła ci, że nawet ja książkę przeczytałem?

Przytaknąłem i żeby się nie poniżyć pośpiesznym pytaniem o jego opinię, jednym haustem dopiłem kawę i włożyłem do ust papierosa. Rodney pochylił się w moim kierunku ze starą zapalniczką zippo, poźółkłą i zardzewiałą, jeszcze z Wietnamu.

– No cóż, przeczytałem właściwie wszystkie – uściślił.

Zakrztusiłem się przy pierwszym zaciągnięciu.

– Wszystkie? – zapytałem, kończąc kasłać.

– Tak myślę – potwierdził, zapalając sobie papierosa. – Prawdę mówiąc, uważam się za wybitnego znawcę twojej twórczości. Twórczości małą czy dużą literą?

– Odpieprz się.

Rodney znowu się roześmiał, szczęśliwy. Wyglądało na to, że naprawdę się cieszy z naszego spotkania; ja też się cieszyłem, ale mniej, może dlatego, że prowokacje Rodneya nie pozwalały mi całkiem wykluczyć paranoicznej hipotezy, że mój przyjaciel przyjechał ze Stanów Zjednoczonych tylko po to, żeby wyśmiać mój sukces, albo co najmniej ściągnąć mnie z obłoków na ziemię. Najwyraźniej Rodney nie zamierzał ciągnąć tego wątku, ja zatem – może właśnie po to, żeby wykluczyć całkowicie swój domysł albo go potwierdzić – zapytałem:

– I co? Nie zamierzasz mi powiedzieć, co o niej myślisz?

– O twojej ostatniej powieści?

– O mojej ostatniej powieści.

– Podobała mi się – powiedział Rodney, wykonując jakiś niepewny gest na potwierdzenie i przyglądając mi się brązowymi, rozbawionymi oczyma. – Ale mogę być z tobą szczery?

– Jasne – odparłem, przeklinając godzinę, w której przyszło mi do głowy, żeby jechać do Madrytu na poszukiwanie Rodneya. – Pod warunkiem że to nie będzie nazbyt obraźliwe.

– No cóż, tak naprawdę bardziej mi się podobała twoja pierwsza powieść – powiedział. – Ta, którą napisałeś w Urbanie. Jaki ona ma tytuł?

– *Lokator*.

– Właśnie.

– Cieszę się – skłamałem, myśląc o Marcelu Cuartero albo o uczniu Marcela Cuartero, który napisał recenzję. – Mam znajomego, który uważa tak samo. Myślę, że tylko on ją czytał. W swojej recenzji napisał mniej więcej tyle, że między Cervantesem i mną w literaturze światowej jest jedna wielka czarna dziura.

Rodney roześmiał się, odsłaniając zniszczone zęby.

– Podoba mi się, że na pierwszy rzut oka wydaje się bardzo wykoncypowana, a w rzeczywistości jest liryczna – powiedział potem. – Ostatnia powieść natomiast sprawia wrażenie lirycznej, ale w rzeczywistości jest zanadto wykoncypowana.

– Krytycy, którym się nie podobała, twierdzą, że jest akurat odwrotnie, że to powieść sentymentalna.

– Coś podobnego! Czyli mam rację. Dzisiaj, jak jeden z drugim tępak nie wie, jak zjechać powieść, to mówi, że jest sentymentalna. Tępaki nie rozumieją, że pisanie powieści polega na dobieraniu słów pełnych emocji, żeby wywołać jak największe wzruszenie; nie rozumieją też, że czym innym jest uczucie, a czym innym sentymentalizm, i że sentymentalizm to porażka uczucia. A ponieważ pisarze są tchórzami i nie ośmielają się zadzierać z tępakami, bo ci o wszystkim decydują, a zakazali uczuć oraz wzruszeń, to piszą te wszystkie poprawniutkie powieści, zimne, wyblakłe i bez życia, jakby wyszły spod ręki jakiegoś awangardowego urzędnika, tylko po to, żeby zadowolić krytyków...

– Rodney zaciągnął się łapczywie papierosem i przez kilka sekund wydawał się nieobecny. – Słuchaj, powiedz mi coś – odezwał się po chwili, spoglądając mi nagle prosto w oczy. – Ten stuknięty wykładowca w powieści to ja, prawda?

Jego pytanie nie powinno było mnie zaskoczyć. Mówiłem już, że w powieści o Urbanie jest taka postać na wpół zrezygnowanego mężczyzny, którego wygląd zewnętrzny był inspirowany fizycznym wyglądem Rodneya. Przypomniałem sobie wtedy, że pisząc powieść, często myślałem, że Rodney z pewnością rozpoznałby się w tej

postaci, gdyby jakimś cudem to przeczytał. Szukając przekonującej i nieraniącej Rodneya odpowiedzi, zapytałem:

– Jaki wykładowca? W jakiej powieści?

– Jak to w jakiej? – zachnął się Rodney. – W *Lokatorze*. Olalde to ja, prawda?

– Olalde to Olalde, a ty to ty.

– Nie z tą kością do tego psa – powiedział po hiszpańsku, jakby właśnie nauczył się tego hiszpańskiego wyrażenia i używał go po raz pierwszy. – Nie opowiadaj mi tu bajek w rodzaju: literatura to literatura, a życie to życie – ciągnął, przechodząc znowu na angielski. – Wszystkie powieści są autobiograficzne, przyjacielu, nawet złe. A co się tyczy Olaldego, no cóż, uważam, że jest najlepszy z całej książki. Ale najbardziej bawi mnie to, że tak właśnie mnie widziałeś.

– Czyli jak? – zapytałem, już nie starając się przeczyć.

– Jako jedyne, który wie, o co tak naprawdę chodzi.

– A dlaczego to cię bawi?

– Bo dokładnie tak samo postrzegałem sam siebie.

Wtedy obaj roześmialiśmy się, a ja skorzystałem z tej okoliczności, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory. Oczywiście bardzo chciałem porozmawiać o Wietnamie i o moich chybionych próbach zrobienia z tego powieści, ale pomyślałem, że zadając przedwczesne pytanie, mogę osiągnąć skutek odwrotny do zamierzonego i tylko zniechęcę Rodneya do poruszania tematu, którego nigdy nie chciał ze mną poruszać, postanowiłem zatem poczekać na lepszy moment, tak by nie zmieniać tego spotkania po latach w przesłuchanie i żeby Rodney nie nabrał podejrzeń, zresztą w jakiejś mierze słusznych, że przyjechałem tylko po to, aby wyciągnąć z niego różne szczegóły

o tej sprawie. Tak więc tamtej letniej nocy w madryckim hotelu spróbowałem odbudować atmosferę wzajemnego porozumienia, jakie łączyło nas podczas zimowych wieczorów w Treno's – gdy śnieg zasypywał okna, a z głośników lecieli ZZ Top albo Bob Dylan – i w tym celu zacząłem wspominać Urbanę: Johna Borghesona, Giuseppe Rotę, Chińczyka Wonga i ponurego Amerykanina, którego imienia żaden z nas nie pamiętał albo nigdy nie znał, Rodrigo Ginésa, Laurę Burns, Felipe Vieriego, Franka Solaúna. Następnie długo rozmawialiśmy o Gabrielu i Pauli, potem opowiedziałem pokrótce o moim życiu w Urbanie po jego zniknięciu, a także o życiu w Barcelonie i w Geronie po swoim zniknięciu z Urbany, a na koniec Rodney, wcale nieproszony, opowiedział mi z kilkoma uzupełnieniami to, co już wiedziałem od Pauli: że od niemal dziesięciu lat mieszka w Burlington, w stanie Vermont, że ma syna (miał na imię Dan) i żonę (miała na imię Jenny), że pracuje w agencji nieruchomości; powiedział mi także, że w najbliższych dniach dowie się, czy dostał posadę nauczyciela w szkole publicznej w Rantoul, czego, jak podkreślił, bardzo pragnie, bo ma wielką ochotę wrócić do rodzinnego miasta. Gdy tylko wymówił jego nazwę, zrozumiałem, że nadeszła właściwa chwila.

– Znam to miasto – powiedziałem.

– Naprawdę? – spytał Rodney.

– Tak – odparłem. – Jak nie wróciłeś na uniwersytet, pojechałem do ciebie do domu. Rozejrzałem się trochę po mieście, ale przede wszystkim rozmawiałem z twoim ojcem. Pewnie ci wspominał.

– Nie. Ale to normalne. Zdziwiłbym się, gdyby wspomniał.

– Mam nadzieję, że ma się dobrze – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

Rodney nie zareagował od razu; w żółtawym świetle lampy otoczony mrokiem salonu wydał mi się nagle zmęczony i senny, może raptownie znudzony, jakby nic nie ciekawiło go mniej niż rozmowa o ojcu. Powiedział:

– Zmarł trzy lata temu. – Już miałem wypowiedzieć potulnie jakąś współczującą formułkę, ale Rodney oszczędził mi tego. – Nie martw się. Nie ma co lamentować. Mój ojciec od wielu lat się zadreślał. Teraz przynajmniej skończyła się jego udreka.

Zapalił kolejnego papierosa. Myślałem, że zmieni temat, ale nie zrobił tego; z pewnym zdumieniem usłyszałem, że ciągnie wątek:

– A więc byłeś u niego. – Przytaknąłem. – I o czym rozmawialiście?

– Za pierwszym razem o niczym – wyjaśniłem, starannie dobierając słowa. – On nie chciał. Ale po jakimś czasie zadzwonił do mnie i pojechałem się z nim spotkać. Wtedy opowiedział mi pewną historię.

Teraz Rodney spojrzał na mnie z zaciekawieniem, unosząc badawczo brwi. Wówczas powiedziałem:

– Poczekaj chwilę. Chcę ci coś pokazać.

Wstałem i szybkim krokiem minąłem recepcjonistę – burknął coś do mnie na pół śpiący – wsiałem do windy, wjechałem na swoje piętro, zabrałem z pokoju trzy czarne teczki, zjechałem znowu do salonu i położyłem teczki na stoliku przed Rodneyem. Z ironicznym błyskiem w oku i ironiczną nutą w głosie zapytał:

– Co to jest?

Nic nie powiedziałem: ograniczyłem się do wskazania teczek. Rodney otworzył jedną z nich, przyglądał się przez chwilę stercie uporządkowanych chronologicznie kopert, wziął jedną do ręki,

przeczytał dane adresata i nadawcy, spojrzął na mnie, wyjął z koperty list i podczas gdy starał się odczytać własne pismo na zniszczonym papierze ze stemplem amerykańskiej armii, wobec przedłużającej się ciszy zapytałem:

– Rozpoznajesz je?

Rodney znowu na mnie popatrzył, tym razem przelotnie, i nic nie mówiąc, położył list na stole, wziął inną kopertę, wyjął kolejny list, zaczął go czytać.

– Ojciec ci je dał? – mruknął, potrząsając listem, który trzymał w ręce. Nie odpowiedziałem. – To dziwne – powiedział po kilku sekundach.

– Co jest dziwne?

– Że są tutaj, w Madrycie – odpowiedział, nie odrywając wzroku od listów. – Że je napisałem i już ich nie rozumiem. Że mój ojciec ci je dał.

Powoli włożył listy do kopert, koperty włożył do teczek, a teczki zamknął. Zapytał:

– Czytałeś je?

Powiedziałem, że tak. Pokiwał głową, obojętny, zapominając o listach i znowu sadowiąc się wygodnie na kanapie. Po kolejnej chwili milczenia jeszcze raz zapytał z widocznym zainteresowaniem:

– I co myślisz?

– O tym? – spytałem, wskazując na teczki.

– O moim ojcu – uściślił.

– Nie wiem. Widziałem go tylko dwa razy. Nie umiałem wyrobić sobie opinii. Sądzę jednak, że nie był pewien, czy postępuje właściwie.

– W związku z czym?

– Wobec ciebie.

– Ach... – uśmiechnął się blado; z jego twarzy znikło poprzednie ożywienie. – Tu się mylisz. W gruncie rzeczy nigdy nie był pewien, czy dobrze postępuje. I wobec mnie, i wobec innych. Ludzie tego typu nigdy nie są pewni. – Nie rozumiem.

Rodney wzruszył ramionami, potem dodał tytułem wyjaśnienia:

– Nie wiem, koniec końców może to i prawda, że są tylko dwa typy ludzi: ci, którzy postępują źle i zawsze uważają, że postępują dobrze, oraz ci, którzy postępują dobrze i zawsze uważają, że postępują źle. Początkowo mój ojciec należał do ludzi pierwszego typu, potem stał się mistrzem wśród tych drugich. To przytrafia się pewnie wielu osobom. – Nerwowo pogładził ręką potargane włosy i wydawało się przez chwilę, że zaraz się roześmieje, ale nie roześmiał się. – Chodzi mi o to, że od pewnej chwili ojciec nie dawał mi wielu powodów do dumy. Jasne, ja też mu nie dawałem. Jednym słowem, przypuszczam, że wszystko było cholernym nieporozumieniem. No ale cóż, takie rzeczy się zdarzają. – Westchnął, nie przestając się uśmiechać, i równocześnie zgasił papierosa w popielniczce pełnej petów. Zbierając się do wstania z kanapy, wskazał zegar na ścianie przy schodach: była godzina piąta. – No tak, zamęczam cię. Ta historia już nikogo nie interesuje, a ja powinienem przespać się chwilę, nie sądzisz?

Nie zamierzałem pozwolić, by taka okazja uciekła mi sprzed nosa. Poprosiłem, żeby chwilę zaczekał, bo ta historia mnie interesuje. Rodney spojrzał na mnie pytająco z jakąś zdradliwą prostodusznością. Wówczas pomyślałem: teraz albo nigdy, i powiedziałem, że jego ojciec zaprosił mnie do Rantoul właśnie dlatego, żeby mi o nim opowiedzieć, powiedziałem, co mi

opowiedział, i zapytałem, dlaczego to, według niego, zrobił i dlaczego na dodatek oddał mi listy. Rodney wysłuchał mnie z uwagą i znowu usiadł głęboko na kanapie; po długim milczeniu, kiedy to jego wzrok błędził gdzieś poza kręgiem światła wydobywającego nas z ciemności salonu, spojrzał na mnie ponownie i wybuchnął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytałem.

– Bo to retoryczne pytanie, chyba że bardzo się zmieniłeś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiesz doskonale, co chcę powiedzieć – odparł. Chcę powiedzieć, że po rozmowie z moim ojcem wyszedłeś przekonany, że jemu chodzi o to, abyś opowiedział tę historię, albo sam przynajmniej byłeś pewien, że musisz ją opowiedzieć. Nie mam racji?

Nie zaczerwieniłem się; nie zaprzeczyłem prawdzie. Rodney kręcił głową, jakby z wyrzutem, a w rzeczywistości z drwiną.

– Pycha – wycedził. – Pieprzona pycha wszystkich pisarzy. – Zrobił pauzę, potem dodał, patrząc mi w oczy: – No więc?

– No więc, co?

– No więc, dlaczego jej nie napisałeś?

– Próbowałem – przyznałem. – Ale nie potrafiłem. Albo raczej nie wiedziałem jak.

– Tak – wydawało się, jakby moja odpowiedź rozczarowała Rodneya. – Co właściwie powiedział ci mój ojciec?

– Już mówiłem: wszystko.

– Co to jest wszystko?

– Wszystko, co wiedział, to, co ty mu powiedziałaś, to, co sobie wyobrażał, to, co jest w listach – wyjaśniłem. – Powiedział mi także, że różnych rzeczy nie wie. Wspomniał na przykład o incydencie

w jakiejś wiosce. Nazywała się My Khe. Nie wiedział, co tam się wydarzyło, ale powiedział, że po tym incydencie długo leżałeś w szpitalu, a potem zaciągnąłeś się ponownie. Zresztą, to jest także w listach.

– Czytałeś wszystkie – stwierdził Rodney, jakby pytał.

– Oczywiście. Twój ojciec dał mi je, żebym je przeczytał. Poza tym już ci mówiłem, że w pewnej chwili chciałem tę historię opowiedzieć.

– Dlaczego?

– A dlaczego opowiada się historie? Bo stała się moją obsesją. Bo jej nie rozumiałem. Bo czułem się za nią odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny?

– Tak – potwierdziłem i niemal bezwiednie dodałem: – Może człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za to, co robi, lecz również za to, co widzi, czyta albo czego słucha.

Pożałowałem tych słów, gdy tylko je wypowiedziałem. Reakcja Rodneya utwierdziła mnie w przekonaniu, że popełniłem błąd: jego usta wykrzywiły się w króciutkim, chytrym uśmiešku, ale zanim zdołałem naprawić błąd, mój przyjaciel zaczął mówić powoli, cedząc słowa, jakby powstrzymywał wściekłość.

– Ach. Piękne zdanie. Jakże wy, pisarze, lubicie okrągłe zdania. Jest takich kilka w twojej ostatniej książce. Naprawdę ładne. Takie ładne, że nawet wydają się prawdziwe. Ale nie są prawdziwe, są tylko ładne. Aż dziw bierze, że się jeszcze nie nauczyłeś, że dobre pisarstwo jest przeciwieństwem ładnych zdań. Może żadne zdanie nie potrafi oddać prawdy, ale...

– Nie powiedziałem, że chciałem opowiedzieć prawdę – wtrąciłem zirytowany. – Powiedziałem tylko, że chciałem opowiedzieć twoją

historię.

– A jaka jest różnica między jednym i drugim? – spytał z ponurą, wyzywającą miną, szukając mego wzroku. – Tylko prawdziwe historie są warte opowiadania, a mojej historii nie dlatego nie opowiedziałeś, że nie potrafiłeś, lecz dlatego, że nie można jej opowiedzieć.

Nie odezwałem się. Nie powinienem był milczeć, ale milczałem. Powinienem był powiedzieć: „To też jest okrągłe zdanie, Rodney, i może być prawdziwe”. Powinienem był mu powiedzieć: „Mylisz się, Rodney. Tylko historie, których nie można opowiedzieć, są warte opowiadania”. Powinienem był powiedzieć mu jedno albo drugie, a może jedno i drugie, ale nic nie powiedziałem, milczałem. Czułem się senny, głodny, czułem, że powoli wstaje świt, ale przede wszystkim czułem zdumienie, że wdaliśmy się z Rodneyem w rozmowę, jaka nigdy nie wydawała mi się możliwa, i pomyślałem, że prowadzimy ją, ponieważ Rodney w głębi duszy wie, że jest mi ją winien, a może i dlatego, że wbrew wszelkim oczekiwaniom, upływ czasu zabił niegojące się rany mego przyjaciela. Oczekałem kilka sekund, zapaliłem papierosa i po pierwszym zaciągnięciu się usłyszałem własny głos:

– Co wydarzyło się w My Khe, Rodney?

Rozmawialiśmy niemal szeptem, ale to pytanie zabrzmiało niczym wystrzał w ciszy salonu. Zadawałem je sobie od czternastu lat i wiele zdążyłem się dowiedzieć o My Khe. Dowiedziałem się na przykład, że teraz była tam szeroka, chętnie odwiedzana przez turystów plaża, piętnaście kilometrów od Quang Ngai, w dystrykcie Son Tihn, niedaleko portu Sa Ky, kawałek lądu siedmiokilometrowej długości między cienistym topolowym lasem i przejrzystym nurtem

rzeki Kinh; obejrzałem wiele zdjęć tej okolicy, zawsze takie same sztamkowe obrazki letnich wakacji jak z każdej innej plaży: kobiety i dzieci pluskające się spokojnie w morzu, łagodnie opadający ku wodzie piaszczysty brzeg, czerwone plastikowe stoły i fotele, rozstawione na brzegu, grzbiety niewysokich wzgórz zarysowane delikatnie na tle lazurowego nieba; wiedziałem też, że trzydzieści dwa lata wcześniej obok tej plaży była wioska i że Rodney znalazł się tam pewnego dnia w 1968 roku. Chociaż wielokrotnie wyobrażałem sobie, co mogło wydarzyć się w My Khe – a wyobraźnię miałem wtedy obolałą po lekturze reportaży, książek historycznych, powieści, po filmach dokumentalnych i fabularnych na temat Wietnamu – niczego nie wiedziałem na pewno. Pomyślałem, że Rodney czyta w moich myślach, gdy zapytał z rezygnacją, a może była to obojętność:

– A nie wyobrażasz sobie?

– Mniej więcej – przyznałem szczerze. – Ale chcę wiedzieć.

– Do niczego ci to niepotrzebne – zapewnił. – Wydarzyło się to, co sobie wyobrażasz. Wydarzyło się to, co się wydarza na wszystkich wojnach. Ani więcej, ani mniej. My Khe to tylko anegdota. Poza tym w Wietnamie było więcej takich My Khe, całkiem dużo. To, co wydarzyło się w jednej, wydarzyło się mniej więcej we wszystkich. Jesteś zadowolony?

Nic nie powiedziałem.

– Nie, oczywiście, że nie – zgadywał Rodney, jego głos stwardniał znowu. Mówił dalej, jakby nie chciał, żebym zrozumiał to, co mówi, lecz to, co chce powiedzieć. – Skoro tak ci na tym zależy, opowiem ci coś, co cię zadowoli. Co chcesz? Znam wiele historii. I ja mam wyobraźnię. Powiedz, czego ci trzeba, żeby twoja historia się

domknęła i żebyś mógł się łudzić, że ją rozumiesz. Powiedz, a ja ci to opowiem, i po wszystkim, zgoda? Ale muszę cię uprzedzić: cokolwiek ci opowiem, cokolwiek wymyślę, i tak nigdy nie zrozumiesz tego, co naprawdę się liczy: że ja nie chcę od ciebie współczucia. Ani od ciebie, ani od nikogo innego. Nie jest mi potrzebne. I tylko to się liczy, a przynajmniej tylko to liczy się dla mnie. Rozumiesz, prawda?

Przytaknąłem, żałując, że z mojej winy rozmowa przybrała taki obrót, a kiedy odwracałem wzrok od Rodneya, poczułem w ustach smak popiołu albo starych monet. Za oknem wychodzącym na stację Príncipe Pío świt walczył z ustępującą ciemnością, wymiatając też niespiesznie cienie zalegające w salonie. Recepcjonista przestał już przysypiać i krzątał się za swoim kontuarem. Spojrzeliśmy na siebie pustym wzrokiem, a potem odwróciłem się znowu w stronę Rodneya i mruknąłem coś na swoje usprawiedliwienie. Rodney nie dał po sobie poznać, czy słyszy, ale po długiej chwili milczenia westchnął i zdało mi się, że w wyrazie jego twarzy nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana, zapowiadająca to, co miało się wydarzyć. Nie pomyliłem się. Spokojnym głosem i ze zmęczoną twarzą zapytał:

– Naprawdę chcesz, żebym ci to opowiedział?

Nie odezwałem się, wiedząc już, że wygrałem albo że mój przyjaciel pozwolił mi wygrać. Wtedy Rodney założył nogę na nogę i po chwili zadumy zaczął opowiadać. Robił to w dziwny sposób, szybko, beznamiętnie i dokładnie zarazem; nie wiem, czy wcześniej opowiadał komuś tę historię, ale słuchając go, zrozumiałem, że sam ją sobie opowiadał wiele razy. Powiedział, że tydzień przed incydem w My Khe żołnierzy z jego kompanii będących na rutynowym patrolu zaczepił na skrzyżowaniu dróg wietnamski

chłopiec, biegał od jednego do drugiego, dając do zrozumienia, że potrzebuje pomocy, a równocześnie odpalił ręczny granat, ukryty pod ubraniem. W rezultacie, oprócz samego nastolatka, straciło życie dwóch żołnierzy, rozerwanych na strzępy granatem, trzeci stracił oko, a jeszcze dwaj odnieśli mniejsze rany. Wzmocniono środki bezpieczeństwa, a w kompanii wzrosło zdenerwowanie, i ten fakt może po części tłumaczyć późniejsze wydarzenia. A mianowicie: pewnego ranka kompania Rodneya została wysłana na rekonesans do My Khe, aby zweryfikować informacje o wiosce jako kryjówce partyzantów z Wietkongu. Rodney pamiętał to wszystko jakby spowite w senną mgłę: chinook, którym lecą, nadlatuje od strony morza, potem schodzi nisko nad piasek, wreszcie kołuje nad garstką zadbanych ogródków, wieśniacy biegną w panice w stronę głównego placu wioski, przerażeni przynaglającym krzykiem z megafonów, śmigłowiec ląduje przy cmentarzu, potem blask słońca w doskonale błękitnym niebie i zachwyty kwiatami na okiennych parapetach, i odległy lament kur albo dzieci w krystalicznie czystym powietrzu poranka, żołnierze rozchodzą się wzdłuż starannie wytyczonych uliczek, aż nagle wybucha strzelanina, nie bardzo wiadomo, kto zaczął ani jak, ani dlaczego, najpierw pada pojedynczy wystrzał, a zaraz po nim serie z karabinu maszynowego, a później krzyki i wybuchy i w ciągu kilku zaledwie sekund rozszalała burza ognia obraca w popiół sielski spokój wioski, a gdy Rodney rusza w stronę, gdzie jak sądzi, rozpoczęła się walka, słyszy za plecami jakiś tumult, odwraca się, wydaje z siebie krzyk wściekłości i strachu i zaczyna strzelać, i ciągle krzyczy, i strzela na oślep, strzela, strzela, strzela, strzela i krzyczy, a kiedy w końcu przestaje, widzi przed sobą krwawą masę

z ciał i ubrań, zakrwawione włosy, dziecięce stopy i ręce, oczy bez życia albo jeszcze spoglądające błagalnie, widzi coś, co składa się z wielu części, wilgotne i oślizłe, co wymyka się zrozumieniu, widzi całą grozę świata skupioną na kilku metrach, ale ten widok jest nie do zniesienia i od tej chwili Rodney wyrzeka się świadomości i ze wszystkiego, co zdarzyło się potem, ma tylko niejasne i senne wspomnienie pożarów i zwierząt z rozprutymi brzuchami, płaczących starych ludzi, trupów kobiet i dzieci z otwartymi ustami. Rodney więcej nie pamiętał; podczas miesięcy spędzonych w szpitalu ani przez resztę jego służby w Wietnamie nikt nigdy nie rozmawiał z nim o tym zdarzeniu i dopiero dużo później, już w Stanach Zjednoczonych, podczas procesu sądowego dowiedział się tego, co ja już wiedziałem od jego ojca: że w My Khe nie wywiązała się żadna bitwa, że nie ukrywał się tam ani jeden partyzant, że nikt z jego kompanii nie został nawet ranny i że śmierć poniosło pięćdziesięcioro czworo Wietnamczyków, w większości kobiet, starców i dzieci.

Kiedy Rodney skończył mówić, siedzieliśmy chwilę, nie mając śmiałości na siebie spojrzeć, jakby ta relacja przeniosła nas do miejsca, gdzie rzeczywisty był tylko strach, i jakbyśmy czekali teraz na zbawienne pojawienie się jakiegoś przybysza, który przeprowadzi nas z powrotem do bezpiecznej rzeczywistości tego paskudnego salonu w madryckim hotelu. Przybysz się nie pojawił. Rodney oparł wielkie dłonie na kolanach i wstał z sofy, strzykając stawami; przeszedł kilka kroków przygarbiony i lekko utykając, jakby był oszołomiony, miał zawrót głowy albo czuł nudności, oparł się o framugę i zapatrzył na ulicę za oknem.

– Już prawie dzień – usłyszałem jego głos.

Miał rację: do salonu wlewało się wątle światło dnia, nadając wnętrzu jakiś upiorny albo nieoczywisty wygląd, jakby to była zanurzona w wodzie dekoracja. Światło dzienne wyostrzyło równocześnie profil Rodneya, jego postać rysowała się niepewnie na tle kobaltowego nieba; przez sekundę pomyślałem, że ta twarz bardziej przypomina z profilu drapieżne zwierzę albo kota niż drapieżnego ptaka.

– Tak, to jest mniej więcej ta historia – powiedział całkowicie neutralnym tonem, kierując się w stronę sofy z rękami schowanymi w kieszeniach spodni. – Czy tak ją sobie wyobrażałeś?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią. Nie czułem już w ustach smaku popiołu ani starych monet, lecz smak czegoś, co raczej przypominało krew, chociaż nie było krwią. Czułem zgrozę, ale nie potrafiłem wykrzesać z siebie współczucia, a w pewnej chwili poczułem też – nienawidząc się za to uczucie i nienawidząc Rodneya, że mnie do niego przymusił – że słusznie musiał cierpieć po powrocie z Wietnamu.

– Nie – odpowiedziałem w końcu – ale podobnie.

Rodney mówił coś, stojąc przede mną – ja czułem się zbyt oszołomiony, żeby podążać za jego słowami – a po chwili wyjął jedną rękę z kieszeni i wskazał zegar na ścianie.

– Mam mniej więcej godzinę do odjazdu pociągu – powiedział. – Lepiej pójdę się spakować. Zaczekasz tu na mnie?

Powiedziałem, że zaczekam, i zostałem w salonie, przyglądając się przez jasne już okno ludziom wchodzącym na stację Príncipe Pío, ruchowi ulicznemu i rozpoczynającemu się porannemu życiu dzielnicy La Florida; patrzyłem, nie widząc, ponieważ w głowie miałem zamęt i czułem słodko-gorzka pewność, że cała historia

Rodneya nabrała dla mnie sensu, potwornego sensu, którego nic nie mogło złagodzić ani zmienić. Po dziesięciu minutach Rodney wrócił wyprysznicowany i z walizkami. Kiedy regulował rachunek za hotel, jakiś mężczyzna wszedł do jednej z kabin telefonicznych przy recepcji; patrząc, jak wykręca numer i czeka na zgłoszenie, sam nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie nagle pewne nazwisko i o mało nie wypowiedziałem go na głos. Nie mogłem oderwać oczu od mężczyzny zamkniętego w kabinie, usłyszałem głos Rodneya pytającego, jak dojechać na dworzec kolejowy Atocha, a potem odpowiedź recepcjonisty, że najlepiej pojechać metrem ze stacji Príncipe Pío. Rodney odwrócił się w moją stronę i chciał się pożegnać, ale ja uparłem się, że odprowadzę go na dworzec.

Zeszliśmy do holu i przed wyjściem na ulicę La Florida Rodney zasłonił sobie oko przepaską z czarnego materiału. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy na stację metra, Rodney kupił bilet i stanęliśmy na peronie, pod ogromnym rusztowaniem ze stali i półmatowych szyb, przypominającym szkielet prehistorycznego zwierzęcia. Kiedy czekaliśmy na pociąg, zapytałem, czy mogę mu zadać ostatnie pytanie.

– Nie, jeżeli to na użytek twojej książki – odpowiedział. Usiłowałem się uśmiechnąć, ale nie mogłem. – Posłuchaj mojej rady i nie pisz tej książki. Każdy potrafi napisać książkę, ale nie każdy potrafi zachować milczenie. Zresztą, już ci mówiłem, że tej historii nie można opowiedzieć.

– Być może – przyznałem, tym razem jednak nie chciałem milczeć. – Ale możliwe, że tylko historie, których nie można opowiedzieć, są warte opowiedzenia.

– Znowu ładne zdanie – skwitował Rodney. – Jak już będziesz pisał tę książkę, nie zapomnij go tam umieścić. O co chciałeś zapytać?

– Kto to jest Tommy Birban? – spytałem prosto z mostu.

Wyraz twarzy Rodneya nie zmienił się, a nie umiałem czytać z jego odkrytego oka, może zresztą nic w nim nie było. Kiedy Rodney odezwał się, jego głos brzmiał normalnie.

– Skąd wytrzasnąłeś to nazwisko?

– Wspomniał je twój ojciec. Powiedział, że zanim wyjechałeś z Urbany, rozmawiałeś z nim przez telefon i że właśnie dlatego wyjechałeś.

– Nic więcej ci nie powiedział?

– A co miałyby mi jeszcze powiedzieć?

– Nic.

Przez megafon zapowiedziano wjazd na peron pociągu w kierunku Atochy.

– Tommy był kolegą – powiedział Rodney. – Przyjechał do Quang Ngai, kiedy ja byłem już doświadczonym żołnierzem i bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Wyjechaliśmy stamtąd prawie równocześnie i od tamtego czasu nie widzieliśmy się... – zawiesił głos – ale wiesz co?

– Co takiego?

– Kiedy cię poznałem, pomyślałem, że mi go przypominasz. Nie wiem dlaczego. – Z leciutkim uśmiechem na ustach Rodney czekał na moją reakcję, ale nie zareagowałem. – No cóż, właściwie to wiem. Ludzie na wojnie albo idą na dno, albo wychodzą z tego obronną ręką. Nie ma trzeciej możliwości. Tommy należał do tych, którzy idą na dno, ty też byś do takich należał. A jednak Tommy się uratował, nie wiem jak, ale się uratował. Czasami myślę, że byłoby

dla niego lepiej, gdyby mu się nie udało... Tak czy owak, to był właśnie Tommy Birban: przegrany, który ocalał i przez to przegrał jeszcze bardziej.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.
- Jakie pytanie?
- Dlaczego wyjechałeś po tym, jak rozmawialiście przez telefon?
- Nie zadałeś mi takiego pytania.
- Zadaję ci je teraz.

Wiedząc, że czas działa na jego korzyść, Rodney parsknął zniecierpliwiony i odpowiedział wymijająco:

- Tommy chciał wplątać mnie w kłopoty.
- Jakie kłopoty? Czy Tommy był w My Khe?
- Nie. Przyjechał dużo później.
- Więc?
- Więc nic. Sprawy między kolegami. Wierz mi: nawet gdybym ci to wytłumaczył, i tak byś nie zrozumiał. Tommy był bardzo słaby i obsesyjnie myślał o tamtych sprawach... Urazy, niechęć, takie rzeczy. Ja nie chciałem już do tego wracać.
- I z tego powodu wyjechałeś?
- Tak. Myślałem, że już się z tego wszystkiego wyleczyłem, ale to nie była prawda. Dziś bym tak nie postąpił.

Zrozumiałem, że Rodney kłamie; rozumiałem też, albo tak mi się zdawało, że wbrew temu, co wcześniej myślałem w hotelu, groza My Khe nie tłumaczyła wszystkiego.

- No cóż – powiedział Rodney, gdy na peron wtaczał się pociąg w kierunku Atochy – całą noc gadaliśmy o głupstwach. Napiszę do ciebie. – Uścisnął mnie, wziął walizki i nim wszedł do pociągu, powiedział: – Dbaj o Gabriela i Paulę. Trzymaj się.

Przytaknąłem, ale nic nie powiedziałem, ponieważ w głowie kołatała mi się jedna tylko myśl, że oto po raz pierwszy w życiu uścisnąłem mordercę.

Wróciłem do hotelu. Cały lepiałem się od potu, wziąłem więc prysznic, przebrałem się i położyłem do łóżka, żeby chwilę odpocząć przed powrotną podróżą samolotem. W ustach czułem gorycz, bolała mnie głowa i krew pulsowała mi w skroniach; ciągle rozpamiętywałem spotkanie z Rodneyem. Żałowałem, że przyjechałem do Madrytu; żałowałem, że znam prawdę i że uparłem się, żeby ją poznać. Zanim przeprowadziliśmy nocną rozmowę, wyobrażałem sobie oczywiście, że Rodney zabijał: był na wojnie, a na wojnach ludzie giną i zabijają; nie mogłem jednak przypuszczać, że wziął udział w masakrze, że mordował kobiety i dzieci. Wiedząc, że to zrobił, czułem bezlitosną i radykalną niechęć: fakt, że opowiedział o tym beznamyślnie, jak opowiada się mało ważne zdarzenie domowe, potęgował jeszcze potworność tego historii, napełniał mnie wstrętem. Męka dręczących Rodneya przez lata wyrzutów sumienia wydała mi się teraz łagodną karą i zastanawiałem się, czy to, że udało mu się przeżyć swoją winę, co samo w sobie nie było żadną zasługą, nie powiększało jeszcze bardziej jego straszliwej odpowiedzialności. Można było oczywiście szukać wytłumaczenia dla tego, co zrobił, nic jednak nie zmniejszało rozmiarów tej niegodziwości. Z drugiej strony nie rozumiałem, dlaczego wyjawivszy mi bez ogródek prawdę o My Khe, uchylił się od wyjaśnienia, kim był i co dla niego znaczył Tommy Birban, chyba że ta wymijająca odpowiedź miała na celu ukrycie przede mną zbrodni jeszcze większej niż ta z My Khe, zbrodni tak niebywałej i niewytłumaczalnej, że na zasadzie kontrastu zmieniała

w jego oczach grozę My Khe w coś, co da się opowiedzieć i wytłumaczyć. Ale co to mogła być za niewyobrażalna zbrodnia? W każdym razie musiała być na tyle potworna, że czternaście lat wcześniej, kiedy w życiu Rodneya znowu pojawił się Tommy Birban, zburzyła za jednym zamachem całą jego psychiczną równowagę, popchnęła go do porzucenia domu i pracy i podjęcia na nowo życia uciekiniera. Możliwe oczywiście, że Rodney nie opowiedział mi całej prawdy o My Khe, że Tommy Birban był już w Wietnamie, kiedy to się wydarzyło, i pozostawał w jakimś związku z tamtą masakrą. A co chciał właściwie powiedzieć przez to, że Tommy Birban był słaby, że nie powinien był ocaleć i że ja mu go przypominałem? Czy to znaczyło, że ochronił Tommy'ego Birbana albo że ochraniał go podobnie jak ochraniał mnie? Ale przed czym niby miał chronić Tommy'ego Birbana, jeżeli faktycznie go chronił? A przed czym ochronił mnie?

Kiedy recepcjonista obudził mnie o dwunastej w południe, komunikując, że pora już opuścić pokój, potrzebowałem kilku sekund, żeby sobie uzmysłowić, gdzie jestem i że moje spotkanie z Rodneyem nie było snem czy też raczej koszmarem sennym. Dwie godziny później wsiadałem już do samolotu do Barcelony z mocnym postanowieniem, że raz na zawsze wymażę z pamięci mego przyjaciela z Urbany.

Nie udało mi się to. Albo raczej Rodney do tego nie dopuścił. W ciągu następnych tygodni dostałem od niego kilka listów; początkowo nie odpowiadałem, ale moje milczenie nie zniechęciło go bynajmniej i pisał nadal, skapitulowałem zatem wobec tej nieustępliwości oraz wobec krępującej oczywistości faktu, że spotkanie w Madrycie przypieczętowało między nami zażyłość,

jakiej już teraz nie pragnąłem. Listy Rodneya z tamtego czasu traktowały o rozmaitych sprawach: o pracy, o znajomych, o lekturach, o Danie i Jenny, przede wszystkim o Danie i Jenny. Dowiedziałem się tym sposobem, że kobieta, z którą miał syna, była od niego piętnaście lat młodsza, niemal w moim wieku, pochodziła z Middlebury, miasteczka w pobliżu Burlington, i pracowała jako kasjerka w supermarkecie; w kilku listach opisał mi ją szczegółowo, ale co ciekawe, opisy różniły się między sobą, jakby Rodney znał ją zbyt dogłębnie, by móc zawrzeć swoją wiedzę w kilku prostych słowach. Inny ciekawy szczegół (albo teraz wydaje mi się ciekawy): przynajmniej dwu- albo trzykrotnie Rodney starał się mnie znowu zniechęcić do opisywania jego historii (próbował już wcześniej w Madrycie); zdziwiło mnie to naleganie, dlatego między innymi, że uważałem je za przesadne, i sądzę, że w pewnej chwili nabrałem nawet chorobliwych podejrzeń, czy w gruncie rzeczy mój przyjaciel nie chciał od zawsze, żebym napisał o nim książkę, i czy nasza madrycka rozmowa, tak jak wszystkie poprzednie w Urbanie, nie była swego rodzaju zaszyfrowaną instrukcją na temat tego, jak mam ją pisać, a co najmniej, jak nie powinienem jej pisać, tak jakby od pierwszych chwil naszej znajomości Rodney podstępnie mnie szkolił, żebym któregoś dnia o nim napisał. W początkach sierpnia zawiadomił mnie, że dostał oczekiwaną posadę nauczyciela i że zamierza przeprowadzić się wraz z Danem i Jenny do starego domu rodzinnego w Rantoul. W następnych tygodniach prawie się nie odzywał i nim w połowie września korespondencja od niego zaczęła nadchodzić z dawną częstotliwością, w moim życiu dokonała się zmiana, której rzeczywistego zasięgu nie mogłem wówczas podejrzewać.

Była to zmiana niemożliwa do przewidzenia, jakkolwiek Rodney przewidział ją w sobie tylko wiadomy sposób. Wspominałem już, że dobre przyjęcie mojej powieści o wojnie domowej przed początkiem wakacyjnej kanikuły, które przejawiało się nieoczekiwanie dobrymi recenzjami i przyzwoitą sprzedażą, przeszło moje najśmielsze oczekiwania; co więcej, na przełomie sierpnia i września, kiedy rozpoczyna się nowy sezon literacki, a książki z poprzedniego sezonu wędrują na najdalsze regały w księgarniach, skazane na zapomnienie, zdarzyła się niespodzianka: zupełnie jakby dziennikarze umówili się, żeby w wakacje przeczytać moją książkę, zaczęto mnie nagle zapraszać, bym wypowiadał się na jej temat dla czasopism, gazet, programów radiowych i telewizyjnych; zupełnie jakby wszyscy czytelnicy umówili się, żeby w wakacje przeczytać moją książkę, z wydawnictwa zaczęły napływać nagle radosne wieści o rosnącej gwałtownie sprzedaży. Pominę szczegóły tej historii, ponieważ są powszechnie znane i wiele osób jeszcze je pamięta; muszę jednak napomknąć, że właściwe byłoby tu porównanie do śnieżnej kuli, choć to banał (a może właśnie dlatego): w niecały rok ukazało się piętnaście wydań książki, sprzedano ponad trzysta tysięcy egzemplarzy, rozpoczęły się prace nad jej przekładami na dwadzieścia języków i nad adaptacją filmową. To był bezapelacyjny triumf, o jakim nikt w moim położeniu nie ośmieliłby się nawet marzyć i w konsekwencji, z nieznanego pisarza cierpiącego na brak gotówki i prowadzącego ustronne i prowincjonalne życie, stałem się z dnia na dzień sławnym człowiekiem z taką kasą, że nie wiedziałem, na co ją wydać, wciągnął mnie frenetyczny wir podróży, odbierania nagród, promocji, wywiadów, rozmów, targów książki i festiwali literackich,

i rzucał mnie z jednego krańca kraju na drugi i przez wszystkie stolice na kontynencie. Uradowany i nie dowierzając własnemu szczęściu, początkowo nie umiałem nawet dostrzec, że wiruję w oku jakiegoś obłąkanego cyklonu. Przeczuałem intuicyjnie, że takie życie jest doskonale nierzeczywiste, że jest jakąś gigantyczną farsą, fantasmagorią, którą sam wysnuwam, tkam i w której tkwię uwięziony, ale choćby to miało być szalbierstwo, a ja miałbym być oszustem, to chciałem zaryzykować, pod jednym jedynym warunkiem: że nikt nie odbierze mi przyjemności bawienia się tą bujdą na całego. Mistrzowie obłudy twierdzą, że piszą tylko dla wybranej garstki czytelników, potrafiącej docenić ich wyborne dzieła, ale prawda jest inna: każdy pisarz, choćby nie wiadomo jak ambitny czy hermetyczny, w skrytości pragnie mieć rzesze czytelników, i nawet najbardziej nieprzejednany, nikczemny i odważny poeta przeklęty marzy, żeby młodzi ludzie deklamowali na ulicach jego wiersze. W gruncie rzeczy jednak ten huragan w moim życiu, które wymknęło się spod kontroli, nie miał związku z literaturą ani z czytelnikami, lecz z sukcesem i sławą. Mądrzy ludzie doradzają, by sukces przyjmować z taką samą obojętnością jak porażkę, nie chełpić się zwycięstwem ani nie ponizać płaczem z powodu porażki, ale wiem też, że nawet oni (przede wszystkim oni) płakali i ponizali się, i chełpili, niezdolni do tego, by sprostać ideałowi, i że radzili, by do niego dążyć, bo sami najlepiej wiedzieli, że nic nie jest równie trujące jak sukces równie groźne jak sława.

Z początku nie zdawałem sobie sprawy z tego, że sukces i sława od razu zaczęły powodować mój upadek. Podobno pochwałę odrzuca się dlatego, że pragnie się dwóch: tej, którą już się usłyszało, i tej drugiej, do której zobowiązuje chwającego fałszywa

skromność chwalonego. Odrzucając pochlebstwa, bardzo szybko zacząłem domagać się ich coraz więcej i zachowywać skromnie, co jest najlepszym sposobem karmienia własnej pychy; również bardzo szybko nauczyłem się udawać zmęczenie i zde gustowanie sławą oraz wymyślać różne drobne nieszczęścia, żeby wzbudzać w ludziach współczucie i chronić się przed zawiścią. Te fortele nie zawsze się udawały i co oczywiste, często padałem ofiarą kłamstw i oszczerstw; ale w kłamstwach i oszczerstwach najgorsze jest to, że niemal zawsze są zaraźliwe, ponieważ trudno nie ulec pokusie, by samemu po nie sięgnąć we własnej obronie. W skrytości ducha uwielbiałem być za pan brat z różnymi znakomitościami, z ludźmi władzy i z ludźmi sukcesu i pokazywać się u ich boku. Wydawało się, że rzeczywistość nie stawia oporu (albo minimalny, jeżeli porównywać z tym, co było moim udziałem w dawnych czasach), bo w tempie przyprawiającym o zawrót głowy wszystko, czego dawniej pragnąłem, znalazło się nagle w zasięgu ręki, i to, co kiedyś miało dla mnie smak, powoli zaczęło stawać się mdłe. Dlatego piłem na okrągło: piłem, kiedy byłem znudzony, żeby się nie nudzić, a kiedy się bawiłem, żeby bawić się jeszcze lepiej. To picie zaprowadziło mnie na diabelski młyn nocy i dni pełnych alkoholowej i seksualnej euforii, kończących się apokaliptycznym kacem, i to przez picie odkryłem poczucie winy, ale nie jako okazjonalne złe samopoczucie, wywołane pogwałceniem narzuconych samemu sobie reguł, lecz jako rodzaj narkotyku, którego dawkę musiałem ciągle zwiększać, żeby nadal mnie odurzał. Może z tego powodu – oraz dlatego, że pijany sukcesem, dałem się oślepić iluzji wszechmocy i uległem podszeptom sączącym mi do ucha, że oto nadeszła tak długo oczekiwana chwila odwetu – stałem się nagle niewybrednym

kobieciarzem; nadal kochałem Paulę i nadal miałem poczucie winy, ilekroć ją zdradziłem, ale nie potrafiłem i nie chciałem z tym skończyć. Z tych samych powodów wzgardziłem ludźmi, których zawsze podziwiałem i którzy zawsze okazywali mi sympatię, bo uważałem, że rozgłos, jakim się cieszę, dał mi nad nimi nagłą przewagę i że już nie są mi potrzebni, a równocześnie zacząłem schlebiać tym, którzy gardzili mną teraz lub gardzili mną dawniej, popychany niespełnioną nadzieją – jak raz się odniosło sukces, to chce się go odnosić zawsze – że uda mi się zyskać ich przychyłność. Pamiętam, co zdarzyło się na przykład z Marcelem Cuartero. Któregoś popołudnia w czasie tamtej frenetycznej jesieni zobaczyłem go na ulicy w centrum Barcelony i już, już mieliśmy się spotkać, ale ja nagle poczułem, że nie mam ochoty zatrzymać się i rozmawiać z nim, więc w ostatniej chwili przeszedłem na drugą stronę ulicy i wyminąłem go. Niedługo potem, podczas jakiegoś literackiego koktajlu, ktoś w grupce rozmawiających osób wspomniał nazwisko Marcela. Nie wiem, o czym dokładnie toczyła się rozmowa, ale w pewnej chwili krytyk, który zawsze chciał być eseistą, wymienił książkę Marcela jako przykład nudnej, sterylnej eseistyki o wąskich horyzontach myślowych, panoszącej się na uniwersytetach, a uznany eseista, który zawsze chciał pisać powieści, przyłączył się do tej opinii, wygłaszając jakiś raczej obraźliwy niż celny komentarz. Wtedy ja zabrałem głos pewien, że wywołam uśmiech aprobaty u wszystkich obecnych:

– Jasna sprawa – powiedziałem, zgadzając się z komentarzem eseisty, mimo że czytałem książkę Marcela i wydała mi się znakomita. – U Cuartero nie nudziarstwo jest jednak najgorsze,

nawet nie to, że ciągle domaga się uwielbienia, bo przeczytał wszystko, czego nikt nie czyta. Najgorsze, że to, kurwa, stary ramol.

Nie zapomniałem też tego, co w tamtych miesiącach zaszło między mną i Marcosem Luną. Jeżeli to prawda, że nikt nie smuci się do końca nieszczęściem przyjaciela, to pewnie też nikt nie cieszy się bez zastrzeżeń z jego radości; jednakże w tamtym czasie prawdopodobnie nikt nie cieszył się moimi sukcesami bardziej niż Marcos, choć zbiegło się to z dość niefortunnym okresem w jego życiu. We wrześniu, kiedy moja książka rozpoczynała swój marsz ku sławie, Marcos był operowany z powodu odklejenia się siatkówki; operacja nie udała się i po dwóch tygodniach trzeba ją było powtórzyć. Długo potem dochodził do siebie i w sumie spędził w szpitalu dwa miesiące, zamartwiając się, że wyjdzie stamtąd jako inwalida. Tym razem miał jednak szczęście i wychodząc do domu, miał już niemal zdrowe oko. Podczas jego pobytu w szpitalu rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon, bo dzwonił do mnie z gratulacjami, ilekroć w radiu usłyszał wzmiankę o mojej książce albo jakąś moją wypowiedź, albo ktoś mu wspominał o moich sukcesach; ja natomiast, uwikłany w rozliczne zobowiązania, owoce sławy, nigdy nie znalazłem czasu, żeby go odwiedzić, a kiedy zobaczyłem go w końcu przypadkiem w kawiarnianym ogródku Eixample, tuż przed jakąś kolacją związaną z interesami, prawie go nie rozpoznałem: postarzały i skurczony, z przerzedzonymi i posiwiałymi włosami, wyglądał jak żywy obraz klęski. Mieliśmy się spotkać dopiero po dłuższym czasie, tymczasem umówiliśmy się (albo raczej ja to narzuciłem) na cotygodniowe rozmowy przez telefon. Rozmawialiśmy zwykle w sobotę w nocy, kiedy ja już miałem za sobą kilka godzin picia i wykorzystując jako alibi naszą

starą zażyłość, dzwoniłem do niego i wywnętrzałem się ze wszystkich zgryzot spowodowanych nagłą zmianą w moim życiu, a przy okazji schlebiałem własnej pysze, udowadniając samemu sobie, że sukces mnie nie zmienił i nadal przyjaźnię się ze starymi kumplami; wiem, że jest jakaś próżność *à rebours* w kimś, kto zamartwia się, przypisując sobie niegodziwości, których nie popełnił, nie chcę w taką próżność popaść, ale nie mogę pozbyć się podejrzeń, że tamte alkoholowe wynurzenia o świecie pełniły w naszych relacjach rolę systematycznych i podniosłych komunikatów o moich kolejnych triumfach i możliwe, że były formą zadawania bólu mojemu przyjacielowi pod oszukańczym pozorem uskarżania się na moją uprzywilejowaną sytuację, upokarzania go moimi zwycięstwami w chwili, kiedy on, szwankujący na zdrowiu i zawodowo drepczący w miejscu, nie bez kozery odczuwał to, co obaj czuliśmy niesłusznie wiele lat wcześniej, kiedy wynajmowaliśmy na spółkę mieszkanie przy ulicy Pujol, czyli że ma spieprzone życie. Może powyższe tłumaczy fakt, że podczas jednej z takich sobotnich nocy, rozpierany obłudną pychą z powodu własnej wybitności, przypomniałem sobie rozmowę z Rodneyem w Madrycie.

– Sukces nie zmienia człowieka w kretyna ani w skurwysyna – powiedziałem w pewnej chwili do Marcosa. – Ale może wydobyć na wierzch tego skurwysyna albo kretyna, którego niektórzy noszą w środku. – A potem dodałem: – Kto wie, gdybyś to ty osiągnął sukces, a nie ja, to może wcale nie rozmawialibyśmy teraz.

Marcos nie odłożył wtedy słuchawki, ale nazajutrz, kiedy zadzwoniłem do niego z przeprosinami za swoją złośliwość, nie przyjął ich, wypomniał mi moje słowa, nazwał skurwysynem

i kretynem, zażądał, żebym więcej do niego nie dzwonił, i bez dodatkowych wyjaśnień rzucił słuchawką. Po dwóch dniach dostałem od niego mejla, w którym mnie przeproszał. „Jeżeli nie potrafię nawet utrzymać trzydziestoletniej przyjaźni, to znaczy, że faktycznie jestem skończony”, lamentował. Pogodziliśmy się, ale kilka tygodni później wydarzyło się coś, co najlepiej oddaje skalę mojej nielojalności wobec Marcosa. Nie będę się wdawał w szczegóły; zdarzenie to samo w sobie (nie w tym, co ujawnia) może i nie ma większego znaczenia. Było to po promocji książki pewnego meksykańskiego fotografa, na którą mnie zaproszono. Uroczystość odbywała się gdzieś w Barcelonie (może to było MACBA, a może Palau Robert) i przyszli na nią Marcos i Patricia, jego żona, kiedyś jak się zdaje zaprzyjaźniona z fotografem. Podczas koktajlu po promocji rozmawialiśmy Marcos, Patricia i ja, ale potem mój przyjaciel wymówił się od pójścia na wspólną kolację, twierdząc, że nazajutrz musi wstąpić, i ani ja, ani Patricia nie zdołaliśmy go przekonać, by zmienił decyzję. Pamiętam jak przez mgłę to, co wydarzyło się później, nawet słabiej niż inne wieczory z owych czasów, możliwe, że postarałem się to wyprzeć albo wymazać z pamięci. Przypominam sobie tylko, że Patricia i ja byliśmy na tłumnej kolacji w Casa Leopoldo, że usiedliśmy razem i choć wcześniej zawsze utrzymywaliśmy zdystansowane, jakkolwiek serdeczne stosunki – jakbyśmy porozumieli się co do tego, że moja przyjaźń z Marcosem nie czyni z nas automatycznie przyjaciół – tym razem nawiązaliśmy porozumienie, którego nigdy wcześniej nie pragnęliśmy ani na które sobie nie pozwalaliśmy. Chyba przy pierwszej szklaneczce whisky po kolacji nasza mnie chęć, żeby się z Patricia przespać; przestraszony własną

zuchwałością, usiłowałem odgonić tę myśl. Nie potrafiłem, a przynajmniej nie dałem rady sprawić, by przestała mi się uporczywie kołatać po głowie, jako coś obscenicznego, co stawało się coraz mniej imaginacyjne, a coraz bardziej prawdopodobne, gdy w kilka osób, nocnych marków, zaszliśmy jeszcze do baru Giardinetto i kiedy sączyłem whisky, rozmawiając to z tym, to z tamtym, ale ciągle myśląc o Patricii. W końcu Giardinetto zamknął się nad ranem, Patricia podwiozła mnie do hotelu. Gadałem cały czas jak najęty, szukając sposobu, żeby ją przy sobie zatrzymać, i kiedy stanęliśmy przed drzwiami hotelu i zamierzała dać mi jednego całusa na pożegnanie, zdobyłem się na odwagę i zaproponowałem napicie się jeszcze czegoś u mnie w pokoju. Patricia spojrzała na mnie rozbawiona, prawie jakbym był nastolatkiem, a ona starą pielęgniarzką, która ma obowiązek mnie rozebrać.

– Chyba mnie nie podrywasz, prawda? – roześmiała się.

Nie zdążyłem się zawstydić, bo wcześniej poczułem, że wzbiera we mnie ślepa furia.

– Jesteś głupią dziwką – usłyszałem własny głos. – Całą noc mnie nakręcasz, a teraz robisz miny. Spierdalaj.

Wysiadłem z samochodu i trzasnąłem drzwiami, ale zamiast wejść do hotelu, ruszyłem spacerem przed siebie. Nie wiem, jak długo chodziłem, kiedy jednak wróciłem do hotelu, furia ustąpiła już miejsca wyrzutom sumienia. Alkohol natomiast ciągle jeszcze ze mnie nie wyparował, bo od razu po wejściu do pokoju zadzwoniłem do domu Marcosa. Szczęśliwie odebrała Patricia. Przeprosiłem ją pośpiesznie, poprosiłem, żeby zapomniała o tym, co powiedziałem, zwałem całą winę na alkohol, znowu ją przeprosiłem. Patricia

oschłym tonem przyjęła moje przeprosiny, a ja zapytałem, czy zamierza opowiedzieć wszystko Marcosowi.

– Nie – odpowiedziała, nim odłożyła słuchawkę. – A teraz idź do łóżka, wyśpij się i wytrzeźwiej.

Nie będę więcej opowiadał. Mógłbym, ale nie chcę. Mógłbym przytoczyć więcej zdarzeń, ale nie chcę stracić klasy. Kilka dni temu czytałem wiersz Malcolma Lowry’ego napisany po wydaniu powieści, która przyniosła mu rozgłos, pieniądze i sławę. To wiersz okrutny i górnolotny, czasami jednak nie pozostaje nic innego niż być górnolotnym i okrutnym, ponieważ rzeczywistość prawie zawsze jest na bakier z zasadami dobrego smaku, nie stroni od potworności i lubuje się w emfazie. Wiersz jest następujący:

*Sukces jest niczym straszna katastrofa,
Gorszy niż pożar w domu, odgłosy zniszczenia,
Gdy z trzaskiem kolejne pękają belki powały,
A ty stoisz, bezsilny świadek swego potępienia.*

*Jak pijak flaszkę, tak sława pustoszy dom duszy,
Na jaw wychodzi prawdziwy twych starań frasunek,
Niechby ominął mnie jej zdradziecki pocałunek,
Wolę pozostać w cieniu wolny od katuszy.*

Wiele lat wcześniej Rodney uprzedzał mnie o tym, i chociaż wówczas wziąłem jego słowa za moralizatorską gadaninę kogoś przegranego i przesiąkniętego mdlącą mitologią porażki, tak wszechobecną w kraju cierpiącym na historyczną wręcz obsesję

sukcesu, to powinienem był przynajmniej przewidzieć, że nikt nie jest odporny na sukces i że dopiero wtedy, gdy trzeba stawić mu czoło, człowiek zdaje sobie sprawę, że to nie jest wyłącznie chwilowe nieporozumienie, radosny eksces, jednodniowa nieprzyzwoitość, lecz że to upokarzające nieporozumienie i nieprzyzwoitość; powinienem był także przewidzieć, że nie można przetrwać sukcesu z godnością, ponieważ pustoszy dom duszy jak pijak flaszkę i jest taki piękny, że człowiek, choćby zgrywał przed sobą cynika, odkrywa, że w istocie zawsze tylko do niego dążył, odkrywa też, gdy ma już ten sukces i za późno, by go odrzucić, że tylko niszczy on człowieka i całe jego otoczenie. Powinienem był to przewidzieć, ale nie przewidziałem. Skutek był taki, że przestałem liczyć się z rzeczywistością, przestałem też liczyć się z literaturą, czyli tym, co jako jedyne nadawało dotąd sens albo pozór sensu rzeczywistości. Doszedłem do fatalnego przekonania, że moim prawdziwym powołaniem nie jest pisanie, lecz napisanie tego, co już napisałem, że nie jestem prawdziwym pisarzem, że zostałem pisarzem nie dlatego, bym nie mógł być kim innym, lecz dlatego, że pisanie było jedynym dostępnym mi środkiem w dążeniu do sukcesu, sławy i pieniędzy. Już je zdobyłem, mogłem zatem przestać pisać. Pewnie z tego powodu przestałem pisać oraz dlatego, że byłem w stanie nadmiernego pobudzenia, by pisać, za bardzo chciałem wycisnąć z sukcesu wszystko, do ostatniej kropli, a pisać można tylko wtedy, gdy jest się na wpół żywym, jakby pisanie dawało jedyną szansę powrotu do życia, było ostatnią nitką łączącą nas z życiem. Tak więc po dwunastu latach, kiedy to żyłem tylko po to, by pisać, z gwałtownością i pasją człowieka martwego, który nie godzi się na własną śmierć, nagle pisać przestałem. Wtedy naprawdę

znalazłem się w niebezpieczeństwie; przekonałem się – tak jak powiedział mi Rodney wiele lat wcześniej, kiedy byłem młody i nieroztropny i w najśmielszych marzeniach nie przewidywałem, że któregoś dnia sukces zwali się na mnie jak płonący dom – że pisarz, który porzuca pisanie, zaczyna wyzywać los, bo przyzwyczał się już do kontemplowania rzeczywistości i czasami ją widział, a teraz traci do niej dostęp, nie może przekształcać jej w sens ani w piękno, nie może użyć pisania jako tarczy chroniącej go przed rzeczywistością. Wtedy nadchodzi koniec. Skończyło się. Finito. Kaputt.

Koniec nadszedł w kwietniową sobotę 2002 roku, rok po ukazaniu się mojej powieści. Od wielu już miesięcy nie napisałem ani linijki i delectowałem się radosną trucizną triumfu; kłamstwa, zdrady i alkohol niszczyły jak gangrena mój związek z Paulą. Tamtego wieczoru właściciel pisma literackiego, które właśnie uhonorowało mnie nagrodą za najlepszą książkę roku, wydawał kolację na moją cześć w swoim wiejskim domu, w miejscowości Empordà; zgromadziło się tam liczne grono: dziennikarze, pisarze, filmowcy, architekci, fotograficy, profesorowie, krytycy literaccy, przyjaciele rodziny. Przyjechałem na kolację z Paulą i Gabrielem. Nie miałem takiego zwyczaju i nie pamiętam, dlaczego tym razem zabrałem ich ze sobą: może gospodarz zachęcił mnie, mówiąc przez telefon, że to niemal rodzinne spotkanie i inni goście również przyjadą z dziećmi, może chciałem zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu ciągłego zdradzania Pauli i braku czasu dla Gabriela, może sądziłem, że pojawienie się w gronie rodziny uwiarygodni mój obraz pisarza odpornego na truciznę sławy, niezdeprawowanego i skromnego, co jak szybko się zorientowałem, stanowiło idealny oręż w walce o przychyłność tuzów środowiska literackiego – ci są zawsze

najbardziej naiwni, ponieważ nie obawiają się o swoją pozycję – a może chciałem zabezpieczyć się przed nieprzyjaźnią tych, którzy czuli się zmarginalizowani moim sukcesem i uważali, że zabrałem im ten sukces. Tak czy inaczej, przyszedłem na kolację z Gabrielem i Paulą tytułem wyjątku. Wyznaczono mi przy stole miejsce na wprost gospodarza, starszego wiekiem przedsiębiorcy z branży prasowej i wydawniczej Barcelony; z jednej strony miałem Paulę, a z drugiej młodą dziennikarkę radiową, siostrzenicę gospodarza, która stosując się do zaleceń swego wuja, tak prowadziła rozmowę przy stole, że ta krążyła ciągle wokół nieoczekiwanego sukcesu mojej powieści. Każdego z zaproszonych niemal zmuszała do zabrania głosu, dlatego też można było usłyszeć najrozmaitsze opinie; ja zaś, umoszczony przyjemnie na pozycji głównego bohatera wieczoru, ograniczałem się do komentowania z pełną rezerwy akceptacją wszystkiego, co mówiono, i od czasu do czasu zwracałem się lekko ironicznym tonem do gospodarza, prosząc, by zmienił temat, co wszyscy interpretowali jako dowód skromności, a nie przebiegłe podsycanie ogniska mojej próżności. Po kolacji piliśmy kawę i różne alkohole w dawnej sieni przerobionej na salon, goście wymieniali poglądy w małych grupkach, które łączyły się bądź rozpadały w zależności od temperatury rozmowy. Było już po dwunastej, gdy Paula wtrąciła się do rozmowy, którą prowadziłem, zaopatrzonej w szklaneczkę whisky, z pewnym scenarzystą filmowym, jego żoną i siostrzenicą gospodarza na temat filmowej adaptacji mojej powieści; powiedziała, że Gabriel zasypia, a ona musi wstać rano do pracy.

– Wracamy – oświadczyła i dodała bez przekonania: – Ale ty zostań, jeśli chcesz.

Zastanawiałem się, jakich argumentów użyć, by namówić ją do zostania trochę dłużej, gdy odezwał się scenarzysta.

– Jasne – powiedział, popierając nieszczerą propozycję Pauli i wskazując na swoją żonę. – Będziemy wracać do Barcelony. Możemy przejechać po drodze przez Geronę i podrzucić cię do domu.

Z ulgą poszukałem wzroku Pauli.

– Nie masz nic przeciwko temu?

Spojrzenia wszystkich skupiły się na niej. Wiedziałem, że jest temu przeciwna, ale powiedziała:

– Jasne, że nie mam.

Odprowadziłem Gabriela i Paulę do samochodu, a kiedy Gabriel ułożył się już na tylnym siedzeniu zmożony snem, Paula zamknęła drzwi i wycedziła:

– Następnym razem chodź sobie sam na swoje bankiety.

– Przecież sama powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko temu, żebym został.

– Jesteś fiutem.

Posprzeczailiśmy się; nie pamiętam, co sobie powiedzieliśmy, ale spoglądając za samochodem odjeżdżającym pełnym gazem zwirową drogą sprzed domu, pomyślałem to, co często sobie wówczas myślałem: że w każdym związku nadchodzi taki moment, kiedy ludzie mówią sobie różne rzeczy tylko po to, żeby się zranić, że moje małżeństwo zmieniło się w wyrefinowaną torturę i że im szybciej się skończy, tym lepiej dla wszystkich.

Ale natychmiast zapomniałem o sprzeczce z Paulą, wróciłem do towarzystwa i dalej świetnie się bawiłem. Przyjęcie skończyło się nad ranem, a kiedy wsiadłem do samochodu scenarzysty i jego żony,

zobaczyłem, że obok mnie siedzi młoda i bardzo poważna kobieta o wyglądzie intelektualistki, na którą wcześniej nie zwróciłem jakoś uwagi. Jazda do Gerony trwała krótko, zdążyłem jednak zdać sobie sprawę, że dziewczyna jest nieźle wstawiona, a nawet nabrać pewności, że mnie uwodzi, i zorientować się z grubsza, że jest znajomą siostrzenicy gospodarza oraz pracuje w lokalnej telewizji. Przy wjeździe do miasta dziewczyna zaproponowała, żebyśmy napili się jeszcze po jednym w barze jej znajomych, który, jak twierdziła, jest otwarty do rana. Scenarzysta i jego żona nie przystali na propozycję, ponieważ było późno i chcieli jechać dalej do Barcelony; ja się zgodziłem.

Poszliśmy do baru. Piliśmy, rozmawialiśmy, tańczyliśmy i zakończyłem cały wieczór u dziewczyny w łóżku. Kiedy od niej wyszedłem, dniało. Na ulicy czekała zamówiona wcześniej taksówka; podałem kierowcy swój adres i zapadłem w drzemkę, kiedy jednak taksówkarz zatrzymał się przed moim domem, przeraziłem się nie na żarty: przy wjeździe do podziemnego garażu czekało dwóch *mossos d'esquadra* obok policyjnej karetki więziennej. Drżącą ręką podałem kierowcy banknot, a wysiadając z taksówki, spostrzegłem, że miejsce, gdzie zwykle parkowaliśmy samochód, jest puste. Zrozumiałem, że Pauli i Gabriela nie ma w domu.

– Co się stało? – zapytałem, podchodząc do policjantów.

Byli młodzi, poważni, niemal jak duchy w niepewnym świetle brzasku. Zapytali, czy ja to ja. Powiedziałem, że tak.

– Co się stało? – powtórzyłem.

Jeden z policjantów wskazał na drzwi do domu i zapytał:

– Czy moglibyśmy porozmawiać w środku?

Wpuściłem obu do środka, usiedliśmy w jadalni i ponownie zapytałem, co się stało. Odpowiedział ten, który odzywał się już wcześniej.

– Chcieliśmy pana zawiadomić, że pana żona i syn mieli wypadek.

Dziwnie nie zaskoczyły mnie jego słowa; słabym głosem zdołałem zapytać:

– Są ranni?

Policjant przełknął ślinę.

– Nie żyją – odpowiedział.

Następnie wyjął notes i chyba zaczął zdawać mi beznamiętny i szczegółowy raport o okolicznościach, w jakich doszło do wypadku, ale ja, chociaż starałem się skupić na jego wyjaśnieniach, chwyciłem tylko oderwane słowa, kawałki zdań niezborne i pozbawione sensu. To, co pamiętam z następnych godzin, jest jeszcze bardziej wątpliwe: wiem, że rano poszedłem do szpitala, dokąd przewieziono Paulę i Gabriela, że nie widziałem albo też nie chciałem widzieć ich zwłok, że od razu zaczęli przyjeżdżać krewni i kilku znajomych, że chaotycznie załatwiłem jakieś formalności związane z pogrzebem, że pogrzeb odbył się następnego dnia, że nie wziąłem w nim udziału, że jakaś gazeta umieściła moje nazwisko przy wiadomości o wypadku i że mój dom został zasypany telegramami i faksami z wyrazami współczucia, których nie czytałem albo czytałem jak zawołowane oskarżenia. Tak naprawdę z tamtych dni pamiętam z porażającą jasnością tylko jedną rzecz i są to moje wizyty w komisariacie *Mossos d'Esquadra*. W bardzo krótkim czasie byłem tam cztery, a może pięć razy, chociaż dzisiaj wszystkie te wizyty zlewają mi się w jedną. Przyjmowała mnie w gabinecie umundurowana kobieta, sierżant, ładna, zimna i usilnie

profesjonalna, która – kiedy siedzieliśmy oboje z dwóch stron bardzo radosnego biurka, z kwiatami i zdjęciami jej rodziny – kilka razy przedstawiała mi zgromadzone przez policję informacje o wypadku, sporządzała szkice, odpowiadała na moje pytania. To były długie spotkania, ale podczas gdy policja nie miała wątpliwości co do przyczyn i okoliczności kolizji (nawierzchnia śliska z powodu nocnej rosy, może chwilowa dekoncentracja, zbyt szybko wzięty zakręt, rozpaczliwy skręt na przeciwny pas ruchu i wreszcie przerażenie na widok oślepiających świateł tuż przed sobą), ja wychodziłem zawsze z wątpliwościami i po kilku godzinach albo dniach wracałem na komisariat, żeby uzyskać na nie odpowiedzi. Pani sierżant umówiła mnie z dwoma funkcjonariuszami, którzy jako pierwsi znaleźli się na miejscu wypadku i podjęli stosowne działania; w towarzystwie jednego z nich zabrała mnie któregoś dnia na ten zakręt, gdzie wypadek się wydarzył; nazajutrz wróciłem samotnie w to miejsce i stałem tam jakiś czas, patrzyłem na przejeżdżające samochody, nie myśląc o niczym, patrzyłem na niebo i asfalt i na smutek tej otwartej przestrzeni wymiecionej północnym wiatrem. Nie umiałbym powiedzieć z całkowitą pewnością, dlaczego tak się zachowywałem, ale nie wykluczam, że podejrzewałem, że coś się nie zgadza, coś w tej historii do siebie nie pasuje, policja ukrywa coś przede mną, i że gdyby udało mi się to odkryć, w następnej sekundzie otworzyłyby się drzwi i stanęliby w nich Paula i Gabriel, żywi i uśmiechnięci, jakby to wszystko było pomyłką albo koszmarnym żartem. Pewnego dnia, kiedy wszedłem do gabinetu pani sierżant na któreś z kolei spotkanie, zastałem ją w towarzystwie starszego mężczyzny z brodą, ubranego po cywilnemu. Policjantka dokonała prezentacji, a mężczyzna wyjaśnił,

że jest psychologiem i kieruje stowarzyszeniem o nazwie Służba Wsparcia w Bólu (albo coś podobnego), które pomaga rodzinom ofiar wypadków. Psycholog mówił dłuższą chwilę, ale ja go nie słuchałem; nawet na niego nie patrzyłem: patrzyłem, tylko na panią sierżant i ona w końcu miała już dosyć unikania mojego wzroku i przerwała mężczyźnie.

– Niech pan będzie tak miły i przyjmie pomoc psychologa – powiedziała, spoglądając na mnie w końcu, i po raz pierwszy wyczułem w jej głosie jakąś serdeczną albo emocjonalną nutę. – Ja już nie mogę nic więcej dla pana zrobić.

Wyszedłem z komisariatu i więcej tam nie wróciłem. Tego samego dnia po południu zaszedłem do agencji nieruchomości, wynająłem pierwsze lepsze mieszkanie, jakie mi zaproponowali w Barcelonie, apartament w pobliżu Sagrada Familia, i sprzedawszy pospiesznie i za kiepskie pieniądze dom w Geronie i pozbywszy się rzeczy Pauli i Gabriela, przenieśliem się do tego apartamentu, gotów świadomie zająć się umieraniem, a nie życiem. Moje życie pogrążyło się wówczas w całkowitej ciemności. Zrozumiałem, że ojciec Rodneya miał rację i świat naprawdę jest pusty; ale zrozumiałem także, że w owym czasie samotność jest dla mnie tyleż karą, co jedynym możliwym balsamem, jedynym możliwym błogosławieństwem. Nie widywałem rodziny, nie widywałem przyjaciół, nie miałem radia ani telewizji, ani telefonu. Zadbałem o to, by tylko kilka osób znało mój nowy adres, ale kiedy któraś z nich (albo ktoś, kto mnie zlokalizował z ich pomocą) dzwoniła do drzwi, po prostu nie otwierałem. Tak było z Marcosem Luną, który przez pewien czas przychodził regularnie i dzwonił, ale zniechęcił się w końcu, widząc, że nie otwieram, choć jestem w domu i słyszę go; od tej pory,

zrozumiawszy, że nie uda mu się ze mną porozmawiać, każdego piątku w południe wrzucał do mojej skrzynki na listy paczkę po papierosach wypełnioną świeżo zrobionymi skrętami z marihuany. Moja agentka literacka przysyłała mi od czasu do czasu listę osób, które dzwoniły, zapraszając mnie gdzieś albo pytając o mnie, ale nigdy jej nie odpowiadałem. Nie pracowałem, ma się rozumieć, ale dochody ze sprzedaży książki pozwalały mi na życie bez pracy przez lata, nie widziałem zatem powodu, by tego nie wykorzystać i nie dotrwać w tym stanie do wyczerpania się pieniędzy. Mój jedyny wysiłek polegał na niemyśleniu, a przede wszystkim na niepamiętaniu. Początkowo było to niemożliwe. Póki nie wyprowadziłem się z domu, w którym mieszkaliśmy razem z Paulą i Gabrielem, i nie wyjechałem do Barcelony, bezustannie torturowałem się myślą o wypadku: zastanawiałem się, czy Gabriel obudził się w ostatniej chwili i był świadom tego, co nastąpi; zastanawiałem się, co wtedy myślała Paula, jakie wspomnienia zaprzętały jej głowę podczas jazdy, co mogło stać się przyczyną gwałtownego skrętu kierownicą, co z kolei doprowadziło do wypadku, czy doszłoby do niego, gdybym pojechał z nimi, zamiast zostawać na przyjęciu... Ludzie, którzy doświadczyli na własnej skórze bestialstwa nazistowskich albo sowieckich obozów koncentracyjnych twierdzą, że aby przetrwać, przywoływali wspomnienie minionego szczęścia, bo jakkolwiek było odległe, zawsze mogli uczeplić się nadziei, że pewnego dnia powróci; ja byłem pozbawiony podobnej pociechy: zmarli nie zmartwychwstają, nie mogłem zatem odzyskać mej przeszłości, dokładałem więc starań, by ją wymazać. Może dlatego, odkąd zainstalowałem się w Barcelonie, zacząłem prowadzić życie nocą. Całymi tygodniami

nie wychodziłem z domu, leżąc w łóżku i czytając kryminały, żywiąc się zupkami w proszku, konserwami, papierosami, marihuaną i piwem, nocami jednak na ogół wychodziłem i przemierzałem miasto, maszerując bez celu, przystając od czasu do czasu na kieliszek, żeby chwilę odsapnąć i zebrać siły do dalszej wędrówki donikąd aż do świtu, kiedy to wracałem do domu jako wrak człowieka, waliłem się do łóżka spragniony snu i niezdolny zasnąć, zmaltretowany odgłosami życia, które ku memu zdumieniu toczyło się jak zawsze. Bezsensowność zrobiła ze mnie namiętnego teoretyka samobójstwa i dziś myślę, że nie wprowadziłem mych teorii w czyn nie tyle z tchórzostwa czy z nadmiaru wyobraźni, ile z obawy, że moje wyrzuty sumienia mnie przeżyją albo raczej dlatego, że zdałem sobie sprawę, że bardziej niż umrzeć pragnąłem nigdy nie żyć; zapadałem czasami w przezroczystry sen bez sennych marzeń, kiedy wyobrażałem sobie, że żyję oto w najświętszym kręgu nieistnienia, w szczęśliwości sprzed światła, sprzed słów. Stałem się miłośnikiem igrania ze śmiercią. Od czasu do czasu wsiadałem do samochodu i całymi dniami jeździłem obsesyjnie i zuchwale, zdając się na los, stawałem tylko po to, żeby coś zjeść albo się przespać, pokrzepiony pewnością, że w każdej chwili mogę przecież wykonać taki skręt kierownicą jak tamten, który zabił Gabriela i Paulę, a któreś nocy, w domu publicznym w Montpellier, wdałem się w bezsensowną kłótnię z dwoma typami, którzy na koniec spuścili mi taki łomot, że wylądowałem w szpitalu ze złamanym nosem i wychodząc, byłem jeszcze fioletowy od siniaków na całym ciele. A także kupiłem sobie pistolet: trzymałem go w szufladzie i wyjmowałem od czasu do czasu, nabijałem i celowałem z niego w czoło albo poniżej brody, albo wkładałem do ust i tak trzymałem,

smakując palącą kwaśność lufy, i czule muskałem cyngiel, gdy tymczasem po skroniach spływały mi strużki potu, a w głowie dudniło własne dyszenie, które wypełniało po brzegi ciszę pokoju. Pewnej nocy przechadzałem się dłuższą chwilę po balustradzie tarasu, szczęśliwy, nagi i spokojny, nie myśląc o niczym, czując jedynie muskanie wiatru, od którego dostawałem gęsiej skórki, widząc światła miasta i zawrotną przepaść tuż obok mnie, nucąc przez zęby piosenkę, którą zapomniałem.

W takim stanie, jak linoskoczek balansujący na linie nad przepaścią, byłem całą wiosną, lato i jesień, i dopiero pewnej nocy na początku ubiegłej zimy, dzięki opatrnościowemu przypadkowi, czyli zbiegnięciu się w czasie nieprzyjemnego incydentu, przypadkowego odkrycia i zmartwychwstałego wspomnienia, olśniło mnie nagle, że wcale nie jestem na zawsze skazany na to podziemne życie, jakie wiodłem w ostatnich miesiącach. Wszystko rozpoczęło się w Tabú, nocnym klubie położonym w dole Rambli i chętnie odwiedzanym przez turystów, którzy zachodzą tam, żeby obejrzeć sobie lokalną wersję spektaklu porno po przystępnej cenie. To ciemne i obskurne miejsce, z kontuarem załamującym się w kąt prosty po prawej stronie od wejścia i sceną otoczoną metalowymi stolikami i krzesłami. Nad sceną wiszą migocące srebrnym blaskiem okrągłe lampy, a po lewej stronie, za kurtyną, jest miejsce dla par, pakamera do seksu za pieniądze. Byłem już w tym lokalu kilka razy, zawsze bardzo późno; tamtej nocy, tak jak przy poprzednich okazjach, zamówiłem whisky u starej, drobnej kobiety z tapetą makijażu na twarzy, jak się zdawało szefowej lokalu, i stanąłem przy końcu kontuaru, popijając, paląc i obserwując występy. Musiał to być zwykły dzień tygodnia, bo jeśli nie liczyć grupki hałaśliwych

i rozentuzjasmowanych młodzieńców, którzy spoufalali się chętnie z dziewczynami i wchodzili na scenę, ilekroć one ich zachęcały, lokal był niemal pusty, i przy barze, niedaleko mnie, stały tylko dwie pary, wspierając się łokciami o kontuar: jedna dokładnie na środku, druga troszkę dalej. Wypiłem już pierwszą whisky i zamierzałem zamówić kolejną – na scenie naga kobieta uprawiała miłość francuską z mężczyzną w stroju rzymskiego żołnierza – kiedy nagle poczułem, że obok mnie dzieje się coś dziwnego; odwróciłem się i ujrzałem stojącą na środku parę w trakcie gwałtownej kłótni. Kłamię: w ciągu kilku sekund ujrzałem z osłupieniem co innego, a mianowicie zobaczyłem, że mężczyzna i kobieta krzyczą na siebie wściekli, że mężczyzna zadaje kobiecie cios pięścią w twarz, że kobieta bezskutecznie usiłuje mu oddać, że owładnięty ślełą furią mężczyzna zaczyna bić kobietę, bije ją i bije, aż ona przewraca się na ziemię i nadal stara się bronić, płacze, obrzuca go wyzwiskami, kopie i boksuje w powietrzu. Zobaczyłem także, że druga para oddala się zaintrygowana i przestraszona incydentem, że publiczność z przodu nie zdaje sobie sprawy z kłótni, zagłuszanej przez głośną muzykę i że jedyną osobą, która stara się położyć kres awanturze i wrzeszczy coś za barem, jest stara kierowniczką lokalu. Co się tyczy mnie, to stałem bez ruchu, jak sparaliżowany, z pustą szklanką whisky w ręce przyglądając się kłótni, aż zjawili się dwaj bramkarze, z pewnością zaalarmowani przez kierowniczkę, z trudem odciągnęli agresora i wyprowadzili go na ulicę, wykręcając mu do tyłu jedną rękę, a w tym czasie kierowniczką w asyście innych prostytutek wyprowadziła dziewczynę za kulisy. Wróciwszy na salę, zajęła się uspokajaniem klientów, z których kilku zauważyło tylko sam koniec awantury, a upewniwszy się, że występy trwają nadal,

wróciła za bar i mijając mnie, warknęła w moim kierunku, nawet nie patrząc, jakbym był stałym bywalcem i mogła na mnie wyładować całe nagromadzone napięcie:

– A swoją drogą pan też mógł coś zrobić, nie?

Nic nie odpowiedziałem; nie zamówiłem następnej whisky; wyszedłem z lokalu. Na zewnątrz panował przejmujący ziąb. Poszedłem w górę Ramblą w stronę placu Catalunya, wszedłem do pierwszego otwartego baru, i zamówiłem whisky, której nie odważyłem się zamówić w Tabú. Wypiłem ją dwoma haustami i zamówiłem kolejną. Pokrzepiony alkoholem, zamyśliłem się nad tym, co się wydarzyło. Zastanawiałem się, czy nic się nie stało kobiecie, bo w końcu przestała bronić się przed kopniakami napastnika i leżała nieruchomo na ziemi, wycieńczona, a może i nieprzytomna. Zauważyłem, że gdyby nie interwencja w ostatniej chwili obu bramkarzy, mężczyzna najwyraźniej biłby dalej swoją ofiarę, aż ta straciłaby do końca siły, a nawet życie. Nie zastanawiałem się natomiast nad tym, o co spytała mnie kierowniczka lokalu: dlaczego sam nic nie zrobiłem, żeby przerwać bicie; nie zastanawiałem się nad tym, bo znałem odpowiedź: ze strachu, a może i z obojętności; a może nawet powodowany jakimś podświadomym okrucieństwem: możliwe, że jakaś moja część napawała się tym przedstawieniem pełnym furii i bólu i nie miała nic przeciwko temu, by trwało nadal. To wtedy, jakbym sięgał pamięcią w otchłań wiekuistą, przypomniałem sobie podobne, a zarazem całkiem inne zdarzenie, do którego doszło ponad trzydzieści lat wcześniej w odległym, nieznanym mieście. Gdzieś w Sajgonie mój przyjaciel Rodney ujął się za wietnamską kelnerką, broniąc jej przed podlaną alkoholem brutalnością podoficera

Zielonych Beretów; nie pozostał obojętny ani nie był okrutny: pokonał strach i nie zabrakło mu odwagi. Zrobił dokładnie to, czego ja nie zrobiłem kilkanaście minut wcześniej. Bardziej niż wstyd z powodu tchórzostwa, okrucieństwa i obojętności poczułem zdziwienie, że przypominam sobie o Rodneyu akurat w tej chwili, choć od dwóch lat już o nim nie pamiętałem.

Po kilku godzinach, rekapitulując zdarzenia owej nocy, pomyślałem, że to niewczesne wspomnienie było w rzeczywistości ostrzeżeniem. Pomyślałem tak po jakimś czasie, ale mogłem pomyśleć dużo wcześniej, kiedy wypilem whisky w tamtym barze przy Rambli i wyciągnąłem portfel, żeby zapłacić, a z portfela wypadł mi na ziemię zwitek papierków; schyliłem się, żeby je podnieść: były tam karty kredytowe, prawo jazdy i dowód tożsamości, zaległe rachunki, luźne kartki zapisane numerami telefonów i ledwie pamiętanymi nazwiskami. Pomiedzy kartkami było zdjęcie, złożone na pół i pomięte; rozłożyłem je, popatrzyłem sekundę, krócej niż sekundę, rozpoznając je wbrew samemu sobie, raczej ze zdumieniem niż z niedowierzaniem; potem szybko złożyłem je ponownie i wepchnąłem do portfela razem z pozostałymi papierami. Zapłaciłem, wyszedłem z uczuciem zawrotu głowy albo grożącego mi niebezpieczeństwa, jakbym miał w portfelu bombę, i ruszyłem szybkim krokiem przed siebie, nie czując chłodu nocy, nie zwracając uwagi na światła i nocnych przechodniów, usiłując nie myśleć o zdjęciu, ale wiedząc równocześnie, że ten obraz pochodzący z życia, które uważałem prawie za niebyłe, może wybuchnąć przed kamienną bramą, w jaką zmieniła się moja przyszłość i wyrwać w niej szczelinę, a przez tę szczelinę z kolei do mojej terażniejszości natychmiast przenikną

przyszłość i przeszłość, rzeczywistość. Poszedłem w górę Rambli, minąłem plac Catalunya, szedłem aleją Gràcia, na skrzyżowaniu z Diagonal skręciłem w lewo i nadal nie zwalniałem kroku, jakbym chciał jak najszybciej wyczerpać wszystkie siły albo zebrać się na odwagę, albo odwlec jak najdłużej nieuchronną chwilę. W końcu na skrzyżowaniu z Balmes, pod mrugającymi światłami, podjąłem decyzję: otworzyłem portfel, znalazłem fotografię i spojrzałem na nią. Było to jedno ze zdjęć, które Paula i Gabriel zrobili sobie z Rodneyem, kiedy mój przyjaciel przyjechał do Gerony, jedyne zdjęcie Pauli i Gabriela, jakie przez nieuwagę zachowałem: innych pozbyłem się przy okazji przeprowadzki do Barcelony. Byli tu oboje, na tym zapomnianym kawałku papieru, jak dwie zjawy, które nie chcą zniknąć, jaśni, roześmiani i nietknięci na moście Les Peixeteries Velles; był tu też Rodney, stał wyprostowany między nimi, z opaską na oku, i opierał wielkie dłonie na ramionach mojej żony i syna, jak cyklop gotów ochraniać ich przed niewidocznym jeszcze zagrożeniem. Stałem i patrzyłem na fotografię; nie będę opisywał, co myślałem, bo odebrałbym wszelką wartość temu, co wtedy czułem. Powiem tylko, że długo wpatrywałem się w zdjęcie i nagle zdałem sobie sprawę, że płaczę, bo łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach, wsiąkały we flanelową koszulę i w klapy płaszcza. Płakałem tak bardzo, jakbym nigdy nie miał przestać. Oplakiwałem Paulę i Gabriela, może zresztą dlatego, że wcześniej ich nie oplakałem, ani kiedy umarli, ani podczas następnych miesięcy życia w panice, poczuciu winy i odosobnieniu. Oplakiwałem ich i siebie; wiedziałem też, albo tak mi się zdawało, że oplakuję również Rodneya i z dziwnym uczuciem ulgi – jakby tylko myślenie o nim zwalniało mnie od myślenia o Pauli i Gabrielu – wyobraziłem sobie,

jak mieszka w domu w Rantoul, prowincjonalnym dwupiętrowym domu z poddaszem i werandą, otoczonym ogrodem z dwoma klonami, przy Belle Avenue, jak wykonuje spokojną i rutynową pracę szkolnego nauczyciela, widzi, jak dorasta jego syn, a żona staje się kobietą coraz bardziej dojrzałą, wyzwolony z kondycji człowieka na zawsze niedostosowanego, która przez trzydzieści lat ciążyła okrutnie nad jego życiem, ciesząc się tym wszystkim, co i ja miałem w tamtym zmatowiałym i niedostępnym czasie, zatrzymanym na fotografii, która mi to zwróciła.

Nie wiem, jak długo stałem pod światłami, nim znowu włożyłem zdjęcie do portfela, przeszedłem na drugą stronę Balmes i nie przestając płakać (albo tak mi się zdawało), ruszyłem dalej, do Muntaner, a potem aż do położonej wyżej części miasta. Znowu starałem się nie myśleć o niczym, myślałem jednak o Pauli i o Gabrielu; myślenie o nich bolało mnie jak amputowana część ciała: uciekając przed bólem, zmusiłem się, by znowu myśleć o Rodneyu. Przypomniałem sobie nasze długie rozmowy w Treno's, moje odwiedziny u jego ojca w Rantoul, mój ciągle odkładany plan opisania kiedyś jego historii i naszą rozmowę w Madrycie, gdy uświadomiłem sobie z odrazą, która teraz wydała mi się bezsensowna, że mój przyjaciel miał na sumieniu śmierć kobiet i dzieci. W pewnej chwili, między kolejnymi obrazami przesuwanymi się jak obłoki albo meteoryty przez moją skołowaną głowę, przypomniałem sobie Rodneya na przyjęciu u Chińczyka Wonga, otoczonego ludźmi, a przecież nieprzeniknionego, samotnego niczym zwierzę zgubione w stadzie innego gatunku, przypomniałem sobie, jak tamtego wieczoru stał na schodach werandy Wonga, wysoki, przygnębiony, bezradny i niepewny,

ubrany w skórzaną kurtkę i futrzaną czapkę, a ja patrzyłem na niego przez wychodzące na ulicę okno, śnieg padał wielkimi płatkami na chodnik, on spoglądał w ciemność, nie płacząc (choć początkowo wydało mi się, że płacze), patrzyłem na niego, jakby szedł wąską ścieżką nad ciemną przepaścią, zataczając się i czując strach, jak nikt inny na świecie. I wtedy nagle zrozumiałem coś, czego nie rozumiałem owego wieczoru, tyle lat wcześniej, a mianowicie, że zostawiłem wtedy innych ludzi i przyjęcie i poszedłem na poszukiwanie Rodneya, bo widząc go przez okno, pojąłem, że jest najbardziej samotnym człowiekiem na świecie i że z jakiejś niewątpliwej, choć nieodgadnionej dla mnie przyczyny to ja właśnie byłem jedyną osobą, która mogła dotrzymać mu towarzystwa, i zrozumiałem także, że teraz, tyle lat później, sprawy przybrały inny obrót. Teraz ja także byłem odpowiedzialny za śmierć kobiety i dziecka (lub czułem się odpowiedzialny za śmierć kobiety i dziecka), teraz ja byłem najbardziej samotnym człowiekiem na świecie, zwierzęciem zgubionym w stadzie innego gatunku, teraz to Rodney, pewnie tylko on, mógł dotrzymać mi towarzystwa, ponieważ to on dużo wcześniej szedł długo takim samym tunelem strachu i wyrzutów sumienia, jakim ja szedłem po omacku od wielu miesięcy, i znalazł z niego wyjście: tylko Rodney, mój bliźni, mój brat – potwór jak ja i jak ja morderca – mógł wskazać mi szczelinę światła w tym tunelu nieszczęścia, którym, bez sił nawet, by pragnąć się z niego wydostać, szedłem samotnie i po ciemku od śmierci Gabriela i Pauli, podobnie jak Rodney robił to przez trzydzieści lat, odkąd za zakrętem ścieżki, gdzieś, w jakimś nieznanym miejscu w Wietnamie, zobaczył wynurzającego się żołnierza, którym był on sam.

Tej nocy wróciłem do domu wcześniej niż zwykle, położyłem się na łóżku z otwartymi oczyma i po raz pierwszy od wielu miesięcy przespałem sześć godzin z rzędu. Przyśniły mi się dwa sny. W pierwszym pojawił się tylko Gabriel. Grał w piłkarzyki w jakimś dużym, zrujnowanym i pustym pomieszczeniu przypominającym garaż, uderzał w piłkę z jakąś dorosłą, niemal dziką radością; nie miał przeciwnika, albo ja nie potrafiłem go dostrzec, i wydawało się, że nie słyszy wołania, którym chciałem zwrócić jego uwagę; nagle wypuścił z rąk uchwyty i zmęczony albo wściekły odwrócił się w moją stronę. „Nie płacz, tato”, powiedział nie swoim głosem, a może ja nie rozpoznałem jego głosu. „Nic mnie nie bolało”. Drugi sen był dłuższy i bardziej zawiły, a także bardziej niezborny. Najpierw ujrzałem twarze Pauli i Gabriela, bardzo blisko jedna obok drugiej, niemal stykające się policzkami, uśmiechające się do mnie niepewnie, jakby były po drugiej stronie szyby. Potem dołączyła do nich twarz Rodneya i wszystkie trzy zaczęły się na siebie nakładać jak na przezroczu, zlewając się jedna z drugą, twarz Gabriela zmieniała się w twarz Pauli albo Rodneya, twarz Pauli stawała się twarzą Rodneya albo Gabriela, twarz Rodneya zmieniała się w twarz Gabriela albo Pauli. Pod koniec snu ujrzałem siebie, jak przychodzę do domu Rodneya w Rantoul, w pogodny, słoneczny dzień, i rozglądając się z niedowierzaniem oraz uśmiechając fałszywie, odkrywam z niewypowiedzianą udręką, że mój przyjaciel nie mieszka ze swoją żoną i swoim synem, lecz z Paulą i Gabrielem albo z kobietą i dzieckiem, którzy z wyglądu i serdecznego zachowania przypominają Paulę i Gabriela, ale w jakiś perwersyjny sposób wcale nimi nie są.

Nazajutrz zbudziłem się zaniepokojony. Ogoliłem się, wziąłem prysznic, ubrałem się i pijąc kawę i paląc papierosa, postanowiłem napisać do Rodneya. Dobrze pamiętam ten list. Najpierw przepraszałem go za długie milczenie; potem pytałem, co u niego słychać, jak się miewają żona i syn; potem kłamałem: pisałem o Gabrieli i o Pauli, jakby nadal żyli, pisałem też o sobie, jakbym od wielu już miesięcy nie był bardziej zajęty umieraniem niż życiem i jakbym nie stał się zjawą albo zombi, lecz nadal żył i pisał, tak jakby dom mojej duszy nie uległ zniszczeniu. Od razu spostrzegłem, że pisanie do Rodneya działa na mnie jak balsam i widząc słowa pojawiające się niczym owady na ekranie komputera, niepostrzeżenie uroiłem sobie, nie mając argumentów na poparcie tej tezy, że jadąc do Rodneya do Rantoul, zdołam wyrwać się z błędnego koła samozniszczenia, którego byłem więźniem. Gdy to sobie uświadomiłem, od razu zacząłem o tym pisać, ale zrozumiałem, że to z mojej strony zbyt natarczywe i brutalne i wymagałoby zbyt wielu wyjaśnień, zaraz wszystko wykasowałem i po odrzuceniu kolejnych wersji napisałem po prostu, że chciałbym kiedyś wrócić do Urbany i chciałbym, żebyśmy się zobaczyli, w Urbanie albo w Rantoul, co było niezobowiązujące i nie odbiegało od spokojnego i niewymuszonego tonu całego listu. Skończyłem pisać dopiero wieczorem, a rano wysłałem list ekspresem do Rantoul.

Dwa tygodnie na próżno czekałem na odpowiedź Rodneya. Bojąc się, że list mógł zaginąć, wydrukowałem go ponownie i znowu wysłałem; skutek był taki sam. Zdumiało mnie jego milczenie. Nie sądziłem, by żaden z dwóch listów nie dotarł do adresata, uważałem, że Rodney je otrzymał, ale z jakiegoś powodu (może

odebrał jako niewdzięczność albo zniewagę fakt, że będąc na karuzeli sławy, przerwałem bez słowa naszą korespondencję) nie chce na nie odpowiedzieć; brałem również pod uwagę taką możliwość, że Rodney nie mieszka już w Rantoul, a przemawiał za tym fakt, że jak zdołałem ustalić, nie było w Rantoul żadnego numeru telefonu zarejestrowanego na nazwisko Falk. Obie możliwości były prawdopodobne i nie pamiętam, dlaczego doszedłem do wniosku, że bardziej przekonująca jest ta druga, czyli ta, która była zarazem bardziej niepokojąca albo mniej optymistyczna: jeżeli koniec końców to urażona duma powodowała milczenie Rodneya, to była nadzieja na zmianę, bo zakładałem, że wcześniej czy później rana się zablizni; jeżeli natomiast Rodney nie odzywał się, bo nie dostał moich listów, ponieważ wyprowadził się z Rantoul i przeniósł wraz z rodziną do innego miasta (albo co gorsza, znowu uciekł, stając się ponownie wiecznym uciekinierem, niezdolnym do uwolnienia się od dręczącej go przeszłości), wtedy na zawsze rozwiązałyby się wszelka nadzieja na ponowne spotkanie. W krótkim czasie zdumienie ustąpiło miejsca zniechęceniu, a rojenia, że spotkanie z Rodneyem wyrzeze na mnie ozdrowieńczy, czarodziejski wpływ, wydały mi się nagle ostatnim i żalonym wybiegiem, na jaki mogłem zdobyć się w mojej niemożności. Znowu stałem przed kamienną bramą.

Wróciłem do mego podziemnego życia; czas znowu mijał. W jakiś lutowy piątek, mniej więcej dwa miesiące po próbie wznowienia korespondencji z Rodneyem, gdy otworzyłem skrzynkę pocztową, żeby wyjąć paczkę skrętów z marihuaną wrzuconą jak co tydzień przez Marcosa, znalazłem list od swojej agentki. Kiedy indziej nie otworzyłbym go, tym razem otworzyłem: agentka zawiadamiała

mnie w liście, że hiszpańska ambasada w Waszyngtonie proponuje, żebym ruszył w objazd po uniwersytetach amerykańskich, promując swoją książkę. Nie wiem, czy już wspominałem, że zapraszanie mnie w różne miejsca było na porządku dziennym, podobnie jak rygorystyczne milczenie, z jakim takie zaproszenia przyjmowałem. Już miałem wyrzucić ten list, kiedy przypomniał mi się Rodney: otworzyłem paczkę od Marcosa, wyjąłem skręta, zapaliłem go, zaciągnąłem się dwa razy i schowałem list do kieszeni. Wyszedłem na ulicę i ruszyłem w stronę centrum. Tamtej nocy robiłem to samo, co robiłem od miesięcy: podobnie w sobotnią noc i w niedzielą. Ale przez cały koniec tygodnia zastanawiałem się nad propozycją, a w poniedziałek po południu przerwałem długi czas milczenia i zadzwoniłem do mojej agentki. Jeszcze nie zdołała otrząsnąć się ze zdumienia z powodu mego telefonu, gdy zaskoczyłem ją jeszcze bardziej, godząc się na podróż do Stanów pod jednym wszakże warunkiem: że jednym z etapów tej podróży będzie Urbana. Od tej chwili wszystko potoczyło się bardzo szybko: ambasada i uniwersytety przyjęły moje warunki, zorganizowano podróż i w połowie kwietnia, niemal piętnaście lat po wyjeździe z Urbany, znowu wszedłem na pokład samolotu do Stanów.

Algebra umarłych

Podróż po Stanach Zjednoczonych trwała dwa tygodnie, przejechałem kraj od wybrzeża do wybrzeża, początkowo targany sprzecznymi co najmniej uczuciami: z jednej strony, miałem wiele oczekiwań, pragnąłem nie tylko wrócić do Urbany, zobaczyć znowu Rodneya, lecz także – co właściwie sprowadzało się do tego samego – przestać być na jakiś czas człowiekiem z podziemia i zrzucić z siebie ciężar przeszłości, która nie istniała albo mogła za nieistniejącą uchodzić w miejscu, do którego przybyłem; z drugiej strony, czułem jednak deprymujący lęk, bo po raz pierwszy od niemal roku miałem oto wyjść ze stanu hibernacji, w którym trwałem szczęśliwie odgradzony od rzeczywistości, i nie wiedziałem, co będzie, gdy znowu doświadczę tej rzeczywistości na własnej skórze. Jakkolwiek szybko zdałem sobie sprawę, że nie odzwyczaiłem się całkowicie od życia na powierzchni, to przez kilka pierwszych dni miałem uczucie, że poruszam się po omacku, jak ktoś, kto potrzebuje czasu, by przywyknąć do światła po długim zamknięciu w ciemnościach. Wyjechałem z Hiszpanii w sobotę i dotarłem do Urbany dopiero po siedmiu dniach, jednak wiadomości o ludziach z Urbany zaczęły do mnie docierać, skoro tylko znalazłem się na amerykańskiej ziemi. Pierwszym etapem podróży był Uniwersytet Wirginii, z siedzibą w Charlottesville. Mój

gospodarz, profesor Victor T. Davis, znany specjalista od literatury oświecenia, wyjechał po mnie na lotnisko Dullesa w Waszyngtonie i w trakcie dwugodzinnej jazdy samochodem na uniwersytet rozmawialiśmy o wspólnych znajomych; wśród nich o Laurze Burns. O Laurze, podobnie jak o innych przyjaciółkach z Urbany, nie miałem wiadomości od wielu lat, Davis jednak pozostawał z nią w stałym kontakcie, odkąd opublikowała krytyczne (i jak zaznaczył, znakomite) wydanie dzieła José Cadalso *Los eruditos a la violeta*; Davis powiedział mi, że kilka lat wcześniej Laura rozwiodła się ze swym drugim mężem i prowadzi zajęcia na Uniwersytecie Saint Louis, niecałe trzy godziny jazdy samochodem od Urbany.

– Gdybym wiedział, że byliście zaprzyjaźnieni, uprzedziłbym ją o twoim przyjeździe – westchnął z żalem.

Kiedy dojechaliśmy do Charlottesville, poprosiłem go o numer telefonu Laury i jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłem do niej z mojego pokoju w Colonnade Club, w wytwornym osiemnastowiecznym pawilonie, gdzie umieszczano zazwyczaj oficjalnych gości uniwersytetu. Laura zareagowała na mój telefon z przesadną i niemal zaraźliwą radością i po początkowym oszołomieniu i szybkiej wymianie informacji uzgodniliśmy, że ona skontaktuje się z Johnem Borghesonem – był teraz dziekanem wydziału i organizował mój pobyt w Urbanie – i że zobaczymy się w najbliższą sobotę, gdy przyjadę do miasta.

Drugim etapem podróży był Nowy Jork, gdzie wygłaszałem odczyt w Barnard College, instytucji należącej do Uniwersytetu Columbia. Wykład miałem zaraz po przyjeździe, a wieczorem moja opiekunka, Mercedes Esteban, wykładowca język hiszpański, zaprosiła mnie na kolację w towarzystwie dwóch innych kolegów do

meksykańskiej restauracji przy 43 ulicy; przy stole w restauracji czekał już na nas Felipe Vieri. Poznali się z Esteban, kiedy oboje wykładali na Uniwersytecie Nowego Jorku i odtąd się przyjaźnili; to od niej dowiedział się o moim przyjeździe i razem zorganizowali to nieoczekiwane spotkanie. Vieri i ja nie korespondowaliśmy od wielu już lat i jeżeli nie liczyć pojedynczych wiadomości zasłyszanych przelotnie tu i tam (oczywiście do Vieriego dotarły słuchy o sukcesie mojej powieści), nic o sobie nawzajem nie wiedzieliśmy; podczas kolacji mój przyjaciel usilnie starał się uzupełnić te braki. Dowiedziałem się zatem, że Vieri nadal uczy na Uniwersytecie Nowego Jorku, że nadal mieszka w Greenwich Village, że wydał powieść i kilka książek eseistycznych i że jedna z nich była poświęcona kinu Almodóvara; ja ze swej strony nakłamałem mu tak samo jak Rodneyowi w tamtym liście, na który nie dostałem odpowiedzi, tak samo jak Davisowi i Laurze: opowiedziałem mu o Gabrielu i Pauli, jak gdyby nadal żyli, a także o moim szczęśliwym życiu prowincjonalnego pisarza, który odniósł sukces. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy o Urbanie. Vieri przyniósł ze sobą kilka egzemplarzy „Linii Mnogiej” („To rzadki klejnot”, zażartował, zwracając się do reszty i naśladując kobiecy głos i gest ręki) oraz mnóstwo zdjęć, wśród których rozpoznałem to zrobione na jednym z zebrań redakcyjnych pisma, kiedy Rodrigo Ginés opowiedział o swoim surrealistycznym spotkaniu z Rodneyem, który rozlepił plakaty nawołujące do strajku przeciwko General Electric. Uśmiechnięty promiennie młody człowiek, wciśnięty między mnie i Rodrigo, spoglądał wprost w obiektyw. Vieri zapytał:

– Pamiętasz Franka Solaúna?

– Jasne, że tak – odpowiedziałem. – Co u niego?

– Umarł siedem lat temu – powiedział Vieri, nie odrywając wzroku od zdjęcia. – Na HIV.

Pokiwałem głową, nikt nie dodał żadnego komentarza i rozmawialiśmy dalej: o Borghesonie, o Laurze, o Rodrigo Ginésie, o przyjaciołach i znajomych; Vieri miał o wielu z nich dość dokładne informacje, nie odważyłem się jednak zapytać go podczas kolacji o Rodneya. Zrobiłem to później, w barze na rogu 121 ulicy i Broadwayu, przy Union Theological Seminary – uniwersyteckiej sypialni, gdzie zostałem zakwaterowany. Poszliśmy tam we dwóch i rozmawialiśmy do rana. Jak było do przewidzenia, Vieri dobrze pamiętał Rodneya; jak było do przewidzenia, nie miał o nim żadnych informacji, jak było do przewidzenia, zdziwił się, że to właśnie ja go o niego wypytuję, jedyny przyjaciel Rodneya w Urbanie.

– Pewnie ktoś w Urbanie będzie coś o nim wiedział – rzucił na koniec.

Z taką nadzieją w sobotę koło południa dotarłem w końcu z Chicago do Urbany. Przypominam sobie, że gdy mój samolot wystartował z lotniska O'Hare i leciał nad przedmieściami miasta – zębata linia wieżowców na tle intensywnego błękitu jeziora Michigan i rozpalonego błękitu nieba – opadły mnie wspomnienia z mojej pierwszej podróży z Chicago do Urbany siedemnaście lat wcześniej, autobusem linii Greyhound w sierpniowej spiekocie. Za oknem autobusu przesuwiała się szarobrązowa, niezamieszкана, ciągnąca się po horyzont ziemia, taka sama jak ta, która teraz zdawała się prawie nieruchoma pod moim samolotem, upstrzona tu i tam plamami zieleni i samotnymi gospodarstwami; przypomniałem sobie tamtą pierwszą podróż i pomyślałem, jakie to dziwne, że zaraz

znowu będę w Urbanie, która teraz, właśnie w chwili, gdy miałem się tam znaleźć po tak długim czasie, zdała mi się nagle miejscem nierzeczywistym, wytworem życzeniowej wyobraźni albo tęsknoty. Urbana nie była jednak wytworem wyobraźni. Na lotnisku czekał na mnie John Borgheson, może bardziej łyсы, ale nie postarzały w stosunku do tego, jakim go pamiętałem sprzed kilku lat w Barcelonie, w każdym razie równie uprzejmy i życzliwy, i bardziej brytyjski niż kiedykolwiek, i w drodze do Chancellor Hotel, gdy ja przyglądałem się w milczeniu ulicom Urbany, przedstawił mi szczegółowo przygotowany przez siebie plan mego pobytu w mieście; powiedział, że zaplanował powitalne przyjęcie na szóstą po południu tego samego dnia, i zaproponował, że zajedzie po mnie do hotelu dziesięć minut wcześniej. W hotelu Chancellor wziąłem prysznic i przebrałem się; potem zszedłem do holu i czekając na Borghesona, zabijałem czas, spacerując tam i z powrotem, aż w pewnej chwili zdało mi się, że dostrzegłem jakąś znajomą twarz; zaskoczony, cofnąłem się kilka kroków, ale zobaczyłem tylko własne odbicie w wielkim lustrze na ścianie. Zastanowiło mnie, od jak dawna nie widziałem się w lustrze, spojrzałem na swoją twarz, jakbym patrzył na kogoś nieznanego, i patrząc, wyobraziłem sobie, że oto zmieniam skórę, że oto dobiłem do portu, pomyślałem o ciężarze przeszłości i nędzy podziemi, i o spodziewanej jasności na powierzchni, i pomyślałem też, że choćby cel tej podróży był urojony lub absurdalny, to sam fakt jej podjęcia taki nie był.

Borgheson przyjechał o ustalonej godzinie i zabrał mnie do domu jakiejś koleżanki prowadzącej zajęcia z literatury, która uparła się, że zorganizuje przyjęcie. Nazywała się Elizabeth Bell i przyjechała

do Urbany prawie dokładnie w tym samym czasie, kiedy ja kończyłem swój pobyt, tak więc pamiętałem ją jak przez mgłę; pozostałych gości, w większości wykładowców języka hiszpańskiego i asystentów, nie znałem. Aż wreszcie pojawiła się Laura Burns, jasnowłosa, ładna i pełna animuszu, uścisnęła mnie i wycałowała kordialnie, ucałowała i uścisnęła kordialnie Borghesona, kordialnie przywitała się ze wszystkimi i natychmiast zdominowała rozmowę, najwyraźniej z zamiarem powetowania sobie dwuipółgodzinnej jazdy samochodem z Saint Louis. Nie po raz pierwszy pokonywała tę drogę: podczas naszej telefonicznej rozmowy z Charlottesville powiedziała, że odwiedza od czasu do czasu Borghesona, który – sam się o tym przekonałem na przyjęciu – traktuje ją teraz nie jak wyróżniającą się studentkę, lecz jak krnąbrną pasierbicę, której wybryki uważa, chociaż się tego wstydzi, za nieodparcie zabawne. Podczas kolacji Laura mówiła bez przerwy, ze mną jednak nie zamieniła słowa ani na osobności, ani przy stole, mimo że siedzieliśmy obok siebie; mówiła do innych na mój temat, niczym jedna z tych żon czy matek, które żyją sukcesami małżonka albo dzieci, jak to bywa u organizmów żyjących w całkowitej symbiozie. Najpierw mówiła zatem o sukcesie mojej powieści, z której opublikowała entuzjastyczną recenzję w „World Literature Today”, potem dyskutowała z Borghesonem, Elizabeth Bell i jej mężem – hiszpańskim lingwistą Adresem Viñasem – na temat prawdziwych osób ukrytych pod fikcyjnymi postaciami bohaterów *Lokatora*, powieści, którą napisałem i której akcję umieściłem w Urbanie, i w pewnej chwili powiedziała, że ówczesny dziekan wydziału rozpoznał siebie w dziekanie występującym w książce i zadbał o to, żeby z biblioteki znikły wszystkie znajdujące się tam egzemplarze

powieści, zdziwiło mnie jednak, że ani Laura, ani Borgheson, ani Elizabeth Bell, ani Viñas nie wspomnieli o Olaldem, powieściowym wykładowcy języka hiszpańskiego, którego ekstrawagancki wygląd – i może nie tylko wygląd – był wzorowany wyraźnie na Rodneyu. Potem odniosłem wrażenie, że Laura zmęczyła się mówieniem na mój temat, zaczęła bowiem opowiadać anegdoty i naśmiewać się ze swoich byłych mężów, a przede wszystkim z siebie samej jako żony swoich byłych mężów. Dopiero po kolacji dopuściła innych do głosu i rozmowa zesłała nieuchronnie na szczegółowe wyliczanie różnic między Urbaną sprzed piętnastu lat i tą aktualną, a potem na chaotyczne opowieści o tym, jak nieoczekiwanie rozmaicie potoczyły się losy wykładowców i asystentów, których znałem w czasie mojego tam pobytu. Każdy z obecnych znał jakąś historię albo wycinek historii, ale najlepiej poinformowany wydawał się Borgheson, bo przecież najdłużej pracował na wydziale, kiedy więc wyszliśmy zapalić papierosa do ogrodu w towarzystwie Laury, Viñasa i jednego z asystentów, jego właśnie zapytałem, czy wie coś o Rodneyu.

– Niech to diabli! – zawołała Laura. – Faktycznie! Ten świrus Rodney!

Borgheson go nie pamiętał, ale razem z Laurą pomogliśmy mu sobie przypomnieć.

– Oczywiście – przyznał w końcu. – Falk. Rodney Falk. Ten olbrzym, który był w Wietnamie. Zupełnie o nim zapomniałem. Pochodził z tej okolicy, z Decatur albo jakiegoś podobnego miejsca, prawda? – Nic na to nie powiedziałem, a Borgheson ciągnął dalej: – Oczywiście, że sobie przypominam. Miałem z nim mało do czynienia. Czyżbyście się przyjaźnili?

– Przez semestr mieliśmy wspólny pokój na wydziale – odpowiedziałem wykrętnie. – Potem Rodney przepadł.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła Laura, wieszając się na moim ramieniu – przecież całe dni konspirowali panowie w Treno's, jak agenci CIA. Zawsze się zastanawiałam, o czym też oni mówią.

– O niczym – powiedziałem. – O książkach.

– O książkach? – zainteresowała się Laura.

– To był dziwny facet – powiedział Borgheson, zwracając się do Viñasa i asystenta, którzy przysłuchiwali się z zainteresowaniem rozmowie. – Na pierwszy rzut oka klasyczny *redneck*, nieokrzesany gbur, a już na pewno ktoś, kto ma nie całkiem po kolei w głowie. Okazuje się jednak, że był niezwykle wykształconym człowiekiem, ogromnie odczytanym. Tak przynajmniej twierdzi Dan Bleylock, który naprawdę się z nim przyjaźnił. Pamiętasz Bleylocka?

– Jakżeby nie? – odpowiedziała za mnie Laura. – Nie wiem jak ty, ale ja nie spotkałam nikogo innego, kto znałby siedemnaście języków amerykańskich Indian. Wiesz co, John? Zawsze uważałam, że jak Marsjanie wylądują na Ziemi, to jest sposób, żeby się upewnić, czy to faktycznie kosmici: trzeba do nich wysłać Bleylocka i jeżeli on się z nimi nie dogada, to będzie znaczyć, że Marsjanie.

Borgheson, Viñas i asystent roześmiali się.

– Dwa lata temu przeszedł na emeryturę – mówił dalej Borgheson – i teraz mieszka na Florydzie, czasami dostaję od niego list pocztą elektroniczną... A co do Falka, to faktycznie nigdy nie doszły mnie żadne wieści na jego temat.

Przyjęcie skończyło się koło dziewiątej, ale my z Laurą poszliśmy jeszcze napić się po jednym przed jej drogą powrotną do Saint Louis. Zabrała mnie do The Embassy, wąskiej i słabo oświetlonej

knajpki niedaleko Lincoln Square, z drewnianą podłogą i boazerią na ścianach, i jak tylko usiedliśmy przy barze, naprzeciwko lustro odbijającego leniwy spokój tego miejsca, przypomniałem sobie, że w tej właśnie knajpce umieściłem jedną ze scen powieści rozgrywającej się w Urbanie. Wspomniałem o tym Laurze, kiedy zamawialiśmy coś do picia.

– Wiem – uśmiechnęła się. – Właśnie dlatego cię tu przyprowadziłam.

Rozmawialiśmy do późna w The Embassy. Mówiliśmy o wszystkim po trochu; również o mojej zmarłej żonie i moim zmarłym synu, tak jakby nadal żyli. Ale najbardziej utkwił mi w pamięci koniec tamtej rozmowy, może dlatego, że po raz pierwszy miałem wówczas niejasne przeczucie, że przeszłość nie jest miejscem stałym, lecz zmiennym, że ciągle przetwarza ją przyszłość i że dlatego nic, co zdarzyło się w przeszłości, nie jest nieodwracalne. Czekaliśmy już na rachunek, kiedy Laura – nie tak, jakby chciała podsumować nasze spotkanie, lecz jakby był to rzucony od niechcienia komentarz do rozmowy – powiedziała, że sukces dobrze mi zrobił.

– A dlaczego miałby mi zaszkodzić? – zapytałem i niejako automatycznie dodałem coś, co od dwóch lat mówiłem zawsze, ilekroć ktoś popełniał ten sam błąd, co Laura. – Pisarze, którzy odnieśli sukces, mawiają, że brak sukcesu jest idealną kondycją dla pisarza. Nie trzeba im wierzyć, zaufaj mi. Nie ma nic lepszego niż sukces.

Następnie, jak zawsze, zacytowałem wypowiedź jakiegoś francuskiego pisarza – Jules'a Renarda, jeśli się nie mylę – którą dwadzieścia lat wcześniej posłużył się Marcos Luna, żeby zakończyć

dyskusję z kolegą na Wydziale Sztuk Pięknych: „Tak, wiem. Wszyscy geniusze byli niedoceniani; ale ja nie jestem geniuszem i wolałbym odnieść sukces od razu”. Laura się roześmiała.

– Bez dwóch zdań – powiedziała – sukces dobrze ci zrobił. A jednak to dziwne. Weźmy mojego drugiego męża. Ten pieprzony jankes dorobił się na tym, co lubi robić, a mimo to ciągle narzeka, że sukces zmienia człowieka w niewolnika i że ogólnie wszystko jest do dupy. *Bullshit*. My, ludzie nieudolni, nie zadęczamy przynajmniej innych, marudząc na okrągło o naszych porażkach.

Zapytałem z rozmyślną naiwnością:

– Ty poniosłaś porażkę?

Cierpki uśmiech wykrzywił jej usta.

– Oczywiście, że nie – powiedziała dwuznacznym tonem, ni to napastliwym, ni to uspokajającym. – To tylko taki sposób mówienia, bez paniki. Przecież wiadomo, że porażek doznają wyłącznie idioci. Ale coś mi powiedz: jak nazwiesz kogoś, kto ma za sobą dwa nieudane małżeństwa, jest samotny jak pies w wieku czterdziestu lat, a w dodatku nie zrobił nawet przyzwoitej kariery akademickiej?

– Zamilkła na chwilę, a wobec braku odpowiedzi z mojej strony, podjęła cierpko, jakby przygaszona własnym sarkazmem: – No cóż, dajmy temu spokój... Jakie masz plany na jutro?

Przyszedł kelner z rachunkiem.

– Nic konkretnego – skłamałem, wzruszając ramionami, i zapłaciłem rachunek. – Pokręcę się tu trochę. Obejrzę sobie miasto.

– Dobry pomysł – powiedziała Laura. – Wiesz co? Mam wrażenie, że przez te dwa lata, które spędziłeś w Urbanie, nic nie widziałeś, z niczego nie zdawałeś sobie sprawy. Naprawdę, rybko, wydawało się, że masz klapki na oczach.

Laura zatrzymała na mnie wzrok, jakby nie skończyła jeszcze mówić, jakby wahała się albo jakby zamierzała przeprosić za swoje słowa, zaraz jednak odstawiła swoją szklankę na kontuar, pogładziła mnie dłonią po policzku, pocałowała mnie w usta, a potem uśmiechnęła się delikatnie i powtórzyła cicho:

– Z niczego.

Zamurowało mnie. Laura sięgnęła po swoją szklankę i opróżniła ją jednym haustem.

– Spokojnie, bez obawy – powiedziała, wracając do swego normalnego tonu – nie zamierzam cię prosić, żebyś się ze mną przespał, jestem zbyt dużą dziewczynką, żeby taki frajer jak ty dawał mi kosza, ale wyświadcz mi przysługę i nie miej takiej miny, jakbyś właśnie zjadł gówno... No dobra, idziemy?

Laura podwiozła mnie do Chancellora, a kiedy zatrzymała samochód przed wejściem do hotelu, zaproponowałem, żebyśmy napili się jeszcze po jednym w hotelowym barze; ledwie zdążyłem to powiedzieć, przypomniałem sobie Patricię, żonę Marcosa, i od razu pożałowałem własnych słów: moja propozycja nie zabrzmiała uwodzicielsko, była niczym żalosna próba zadośćuczynienia, jak klepanie po ramieniu na pocieszenie. Laura pokręciła przecząco głową.

– Lepiej nie – powiedziała z leciutkim uśmiechem. – Późno już, a mnie czekają jeszcze dwie i pół godziny jazdy.

Uścisnęliśmy się i poczułem wtedy nagłe ukłucie przedwczesnej tęsknoty, ponieważ przeczuwałem, że widzę Laurę po raz ostatni, i domyślałem się, że ona też to przeczuwa.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy – powiedziała, kiedy otworzyłem drzwi samochodu. – Cieszę się, że jesteś w dobrej formie. Kto wie,

może wybiorę się kiedyś do Barcelony, chętnie poznałabym twoją żonę i syna.

Odwróciłem się, spojrzałem jej w oczy i chciałem powiedzieć: „Oni nie żyją, Lauro. Ja ich zabiłem”.

– Jasne, Lauro – powiedziałem zamiast tego – przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. Bardzo się ucieszą.

Potem zamknąłem drzwi i wszedłem do hotelu, nie patrząc, jak odjeżdża.

Gdy obudziłem się nazajutrz, nie wiedziałem, gdzie jestem, ale ta niepewność trwała najwyżej kilka sekund i przyjąwszy do wiadomości zadziwiający fakt, że znowu znajduję się w Urbanie, wszedłem pod prysznic i myjąc się, postanowiłem zmienić w prawdę kłamstwo rzucone Laurze w The Embassy i odłożyć na popołudnie wyjazd do Rodneya do Rantoul. Tak więc po śniadaniu w Chancellorze ruszyłem piechotą w stronę centrum. Była niedziela, ulice niemal puste i początkowo wszystko wydawało mi się trochę znajome, ale szybko się zgubiłem i nie mogłem uwolnić od myśli, że Laura miała rację, twierdząc, że przeżyłem dwa lata w Urbanie z kłapkami na oczach, snując się jak upiór albo zombi wśród mieszkających tu zombi i upiorów. Musiałem zatrzymać jakiegoś osobnika uprawiającego footing w słuchawkach założonych na uszy, żeby dowiedzieć się, jak dojść do kampusu; kierując się jego wskazówkami, dotarłem wreszcie na Green Street i rozpoznałem okolicę. Ujrzałem znowu, jakbym podążał za cieniem tamtego wesołego, groźnego i aroganckiego kamikadze, jakim kiedyś byłem, mieszkając w Urbanie, zieloniutki trawnik przed Foreign Languages Building, moje dawne mieszkanie przy West Oregon 703, Treno's. Wszystko było mniej więcej takie, jak zapamiętałem, z wyjątkiem

tawerny Treno's, która stała się teraz jedną z tych kawiarni, które amerykańscy snobi zwykli uważać za bardzo europejskie (jak w Rzymie), a europejscy snobi zwykli uważać za bardzo amerykańskie (jak w Nowym Jorku), ale których nie ma ani w Nowym Jorku, ani w Rzymie. Wszedłem, zamówiłem przy barze colę i spoglądając na słoneczny poranek za oknem wychodzącym na Goodwin, wypięłem ją dwoma haustami. Potem zapłaciłem i wyszedłem.

W recepcji Chancellora wskazali mi wypożyczalnię samochodów otwartą w niedzielę. Wynająłem tam chryslera, w rozmowie z pracownikiem wypożyczalni upewniłem się, czy dobrze pamiętam drogę, i pół godziny później, przejechawszy tę samą trasę, co piętnaście lat wcześniej, na spotkanie z ojcem Rodneya (przez Broadway i Cunningham Avenue, a potem autostradą północną), dojechałem do Rantoul. Przy wjeździe do miasta rozpoznałem skrzyżowanie Liberty Avenue i Century Boulevard, a także stację benzynową, która teraz nazywała się Casey's General Store, dzięki nowoczesnym dystrybutorom zyskała bardziej współczesny wygląd i została powiększona o sklep-kafeterię. Nie byłem pewien, czy odnajdę dom Rodneya, zatrzymałem więc samochód, wszedłem do kafeterii i zapytałem o Belle Avenue grubą kelnerkę w białym ubraniu i czapeczce, a ona wykrzyczała w moją stronę jakieś mało klarowne wskazówki, nie przestając obsługiwać klientów. Wróciłem do samochodu i starałem się jechać zgodnie ze wskazówkami kelnerki, a kiedy już zacząłem podejrzewać, że znowu się zgubiłem, zobaczyłem tory kolejowe i od razu zorientowałem się, gdzie jestem. Wrzuciłem wsteczny bieg, skręciłem w prawo, minąłem zamknięty Bud's Bar i zaparkowałem przed domem Rodneya. W ciągu

piętnastu lat wygląd domu nie zmienił się zanadto, choć wielkość budynku i jego charakter starej wiejskiej rezydencji ze śladami minionej świetności kontrastowały nawet bardziej, niż to zapamiętałem, z nieciekawą funkcjonalnością sąsiednich zabudowań. Bez wątpienia Rodney dostosował dom do potrzeb swojej rodziny, bo fasada i weranda wydawały się niedawno odmalowane, i dlatego zdziwiłem się, widząc gwiaździsty amerykański sztandar powiewający nadal na maleńkim maszcie, wbitym między parę klonów na trawniku przed domem. Chwilę siedziałem w samochodzie, serce waliło mi jak młot, starałem się oswoić z faktem, że oto znowu tu jestem, że to koniec podróży, że za chwilę znowu spotkam Rodneya. Po kilku sekundach wszedłem po schodkach na werandę i nacisnąłem dzwonek. Nikt nie otworzył. Zadzwoiłem ponownie, z takim samym skutkiem. Kilka metrów od drzwi, po prawej, było okno, jak mi się zdawało, okno salonu, w którym kiedyś rozmawiałem z ojcem Rodneya, nie udało mi się jednak zajrzeć przez nie do wnętrza domu, bo było zasłonięte białymi storami. Odwróciłem się: terenowy samochód prowadzony przez jakiegoś staruszka wynurzył się zza rogu, przejechał powoli obok mnie i oddalił w kierunku centrum miasta. Zszedłem z werandy po schodkach i zapalając papierosa na trawniku, zastanawiałem się, czy nie zapukać do któregoś z sąsiadów i nie zapytać o Rodneya, ale porzuciłem ten pomysł, zorientowawszy się, że z okna domu naprzeciwko przygląda mi się bacznie jakaś kobieta w szlafroku. Postanowiłem pójść na spacer. Doszedłem do torów kolejowych – po ich drugiej stronie miasto jakby gubiło się w chaosie nieużytków, rzadkich zagajników i pól uprawnych – potem ruszyłem wzdłuż torów, pokonując na piechotę odcinek,

który wcześniej przejechałem samochodem, i doszedłszy do Bud's Bar, zobaczyłem, że właśnie się otworzył: drzwi co prawda nadal były zamknięte, ale od frontu stała zaparkowana furgonetka i pomimo mocnego przedpołudniowego słońca świetlne reklamy – Miller Lite, Budweiser, Icehouse i Ice Brewer – nieśmiało połyskiwały w oknach; nad nimi widać było transparent nawołujący do wsparcia żołnierzy amerykańskich walczących poza granicami kraju: *Pray for peace. Support our troops.*

Wszedłem. Lokal był pusty. Usiadłem na stołku przy barze i czekałem na kogoś z obsługi. Bud's Bar był nadal takim samym bezbarwnym, małomiasteczkowym barem, jakim go zapamiętałem, pachnącym trochę stajnią, ze stołami do bilardu, szafą grającą i umieszczonymi wszędzie ekranami telewizyjnymi, a kiedy zobaczyłem w wahadłowych drzwiach flegmatycznego osobnika w bejsbolowej czapeczce Red Socksów, chciałem uwierzyć, że to ten sam barman, który piętnaście lat wcześniej pokazał mi, gdzie znajduje się dom Rodneya. Mężczyzna mruknął pod nosem coś, co nie do końca zrozumiałem (coś jakby, że nie można ufać ludziom, którzy zaczynają pić przed śniadaniem), i stojąc już za barem, trochę oślepiony przez słońce wpadające przez okna za moimi plecami, zapytał, czego się napiję. Moją uwagę zwróciła jego koścista twarz, lekko skośne oczy, boksinos i rzadkie, poprządkane popiołem włosy wychodzące spod przepeconej czapki; z niejakim zdumieniem stwierdziłem, że jest to istotnie ten sam człowiek, piętnaście lat starszy. Zamówiłem piwo, podał mi je, oparł o blat wielkie jak u rzeźnika ręce i nim zdążyłem zagadnąć go o Rodneya, zapytał:

– Pan nietutejszy, prawda?

– Prawda – przytaknąłem.

– A można zapytać skąd?

Powiedziałem mu.

– Coś takiego! – wykrzyknął. – To raczej daleko, nie? – I od razu się poprawił: – Właściwie to nie tak bardzo. Dziś nigdzie już nie jest daleko. Poza tym, wy też jesteście na wojnie, prawda?

– Na jakiej wojnie?

– Dobry Boże! A gdzie pan był przez ostatni rok, przyjacielu? Irak, Madryt. Nic pan o tym nie słyszał?

– Tak – powiedziałem, zapaliwszy papierosa. – Coś tam słyszałem. Ale nie jestem taki pewien, że my jesteśmy na wojnie tak jak wy.

Mężczyzna zamrugął oczami.

– Nie rozumiem pana – powiedział.

Szczęśliwie w tej właśnie chwili z impetem weszła do baru młoda dziewczyna. Miała podkrążone oczy i srebrzysty kolczyk połyskujący w odsłoniętym pępku. Widząc ją, mężczyzna bez słowa powitania zaczął robić jej wyrzuty, ale dziewczyna posłała go do diabła i znikła na zapleczu za wahadłowymi drzwiami. Wywnioskowałem, że mężczyzna był właścicielem baru; zastanawiałem się, czy dziewczyna była jego córką.

– Cholera by to wzięła – powiedział znowu, jakby śmiał się ze swojego własnego zdenerwowania – dzieciaki nikogo już nie szanują. W naszych czasach było inaczej, nie myśli pan? – I jakby gwałtowne wtargnięcie dziewczyny sprawiło paradoksalnie, że sprawy przybrały lepszy obrót, dodał: – Nie ma pan nic przeciwko temu, że napiję się z panem piwa?

Nie musiałem odpowiadać. Patrząc, jak otwiera sobie piwo, oszacowałem jego wiek na jakieś pięćdziesiąt pięć albo sześćdziesiąt

lat, mniej więcej tyle samo, co Rodney. Zdziwiłem się w duchu: „w naszych czasach”? Pociągnął łyk piwa i odstawił butelkę na kontuar; wciskając kosmyki włosów pod czapkę Red Socksów, zapytał:

– O czym to mówiliśmy?

– O niczym ważnym – wyjaśniłem pośpiesznie – ale chciałbym o coś pana zapytać.

– Proszę pytać.

– Przyjechałem do Rantoul, żeby zobaczyć się z przyjacielem – zacząłem. – Nazywa się Rodney Falk. Byłem właśnie pod jego domem, dzwoniłem, ale nikogo nie było. Dawno już straciłem go z oczu, właściwie nie wiem nawet, czy jeszcze...

Zamilkłem. Właściciel baru uniósł powoli dłoń i osłaniając się nią od słońca, przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Ja już pana gdzieś widziałem, prawda? – powiedział w końcu.

– Tak, ale mnie pan nie pamięta. Byłem tu bardzo dawno temu.

Mężczyzna pokiwał głową i opuścił rękę; w kilka sekund radość znikła z jego twarzy, ustępując miejsca minie, która wydawała się żartobliwa, choć taka nie była.

– Obawiam się, że odbył pan tę podróż na próżno.

– Rodney już tu nie mieszka?

– Rodney umarł cztery miesiące temu. Powiesił się na belce, u siebie, w szopie.

Zaniemówiłem: czułem, że brak mi powietrza. Oszołomiony odwróciłem wzrok od mego rozmówcy i usiłowałem utkwić spojrzenie gdzieś za barem, zobaczyłem wiszące tam zdjęcia gwiazd bejsbolu i wielki portret Johna Wayne’a; w ciągu tych piętnastu lat zmieniły się gwiazdy bejsbolu, ale John Wayne pozostawał niezmienny: wisiał tam nadal, legendarny, niewzruszony,

w kowbojskim ubraniu, z ciemnoczerwoną chustką zawiązaną na szyi i triumfującym uśmiechem w oczach, niczym niezniszczalny symbol zwycięskiej szlachetności. Zgasilem papierosa, pociągnąłem łyk piwa i nagle poczułem przejmujący zawrót głowy, miałem uczucie, że dzieje się coś nierzeczywistego, jakbym już to kiedyś przeżył albo jakby to był sen: opustoszały bar, zagubiony w opustoszałym i zagubionym mieście Środkowego Zachodu, intensywne światło słoneczne wpadające przez okna i leniwy, gadatliwy barman, który – jakby szeptał mi do ucha coś bez konkretnego znaczenia, co dla mnie miało jednak w tej chwili największe znaczenie na świecie – zawiadamiał mnie o śmierci przyjaciela, którego w gruncie rzeczy mało znałem i który bardziej niż przyjacielem mógł być dla mnie symbolem, symbolem czegoś, czego sam do końca nie rozumiałem, ciemnym lub promiennym jak ten, którym dla Rodneya był pewnie Hemingway. I kiedy tak bezładnie myślałem o Rodneyu i o Hemingwayu – o samobójstwie Rodneya w szopie rodzinnego domu w Rantoul, Illinois, cztery miesiące wcześniej, i o samobójstwie Hemingwaya w jego domu w Ketchum, Idaho, kiedy Rodney był dorastającym chłopcem – pomyślałem o Gabrieli i o Pauli albo raczej oni mi się ukazali, weseli, promienni i nieżywi, i poczułem wtedy nieodparte pragnienie modlitwy, modlitwy za Gabriela i za Paulę, i za Rodneya, a także za Hemingwaya, i nagle, jakby do Bud's Bar wpadł przez otwarte okno motyl, przypomniałem sobie modlitwę, która pojawia się w smutnym opowiadaniu Hemingwaya *Jasne, dobrze oświetlone miejsce*, czytany po wielokroć, od tamtego, dawno minionego wieczoru, gdy ojciec Rodneya zadzwonił do mnie do Urbany, żeby opowiedzieć historię swego syna; zrozumiałem od razu, że to jedyna

właściwa modlitwa za Rodneya, ponieważ Hemingway bezwiednie napisał ją dla niego na wiele lat przed jego śmiercią, modlitwa smutna, Rodney czytał ją z pewnością tyle razy co ja, i możliwe, wyobraziłem sobie przez chwilę, że Rodney i Hemingway odmawiali ją, nim odebrali sobie życie, a Paula i Gabriel nawet nie mieli czasu jej odmówić: „Nicości nasza, któraś jest w nicości, nicość imię twoje, nicość królestwo twoje, bądź nicość twoja jako w nicości, tak i w nicości”. Odmówiłem w duchu tę modlitwę, patrząc, jak właściciel baru zbliża się do mnie za kontuarem, gruby i poważny albo raczej obojętny, wycierając ręce w ścierkę, jakby wcześniej wycofał się na chwilę tylko z konieczności zajęcia się czymś albo jakby i on odmawiał modlitwę. Pomyślałem, że już sobie pójdę; potem pomyślałem, że nie mogę wyjść; zapytałem głupio:

– Znał go pan?

– Rodneya? – zapytał głupio mężczyzna, ponownie wspierając się łokciami o blat baru.

Przytaknąłem.

– Jasne – uśmiechnął się. – Jak mógłbym go nie znać? To mała dziura, wszyscy się tu znamy. – Skończył swoje piwo i jakby odzyskał nagle ochotę do rozmowy, ciągnął dalej: – Ja miałbym go nie znać? Obaj stąd pochodziliśmy, mieszkaliśmy blisko siebie, dorastaliśmy razem, chodziliśmy do tej samej szkoły. Byłem w tym samym wieku, co on, i o rok starszy od jego brata, Boba. Obaj już nie żyją... Tak. Wie pan co? Rodney był wyjątkowym facetem, wszyscy byliśmy pewni, że dokona czegoś wielkiego, daleko zajdzie. Potem zaczęła się ta wojna, to znaczy wojna w Wietnamie. Wiedział pan, że Rodney służył w Wietnamie? – Znowu przytaknąłem. – Ja też chciałem się zaciągnąć. Ale mnie nie wzięli: szmer w sercu,

powiedzieli, albo coś podobnego. Chyba miałem fart, bo potem się okazało, że to było jedno wielkie kłamstwo, politycy wszystkich nas oszukiwali, tak samo jak teraz: wybijają tych chłopców w Iraku jak kaczki. Niech mi pan powie, czego szukamy w tym pieprzonym kraju. A czego szukaliśmy w Wietnamie? Słyszałem kiedyś, jak ktoś powiedział, może to nawet był Rodney, już dobrze nie pamiętam, więc powiedział, że jak się idzie na wojnę, to trzeba ją przynajmniej wygrać, bo jak się przegra, to traci się wszystko, nawet godność. Nie wiem, jakie jest pańskie zdanie, ale mnie się wydaje, że to prawda. Rodney stracił tam Boba, chłopak wyleciał na minie. I w pewien sposób sam chyba też tam umarł. Wrócił już nie ten człowiek. Teraz to łatwo mówić, ale pewnie w głębi duszy zawsze wiedzieliśmy, że tak to się skończy. A może nie, sam nie wiem. Skąd pan go znał?

– Pracowaliśmy razem w Urbanie – powiedziałem. – Dawno temu, na uniwersytecie.

– No, tak. Nie wiedziałem, że miał tam przyjaciół, ale to był dobry okres w jego życiu. Wyglądał na zadowolonego. Potem wyjechał i przez wiele lat prawie tu nie zaglądał. Kiedy wrócił, przywiózł ze sobą żonę i syna. Uczył w naszej szkole. Naprawdę, nigdy nie był w lepszej formie, wydawało się, że to inny człowiek, wydawał się... nie wiem, wydawał się prawie taki, jak zawsze myśleliśmy, że będzie. Aż zdarzyła się ta historia z reportażem i wszystko szlag trafił.

Do baru weszły dwie pary w średnim wieku, rozbawione i odświeżone. Właściciel przywitał ich ruchem ręki, odwrócił się w stronę wahadłowych drzwi i zawołał dziewczynę, ale ta się nie pojawiała, więc mężczyźni nie pozostało nic innego jak samemu obsłużyć klientów. Podszedł do nich i wtedy z zaplecza wynurzyła

się dziewczyna, ona i mężczyzna znowu wymienili kilka kąśliwych uwag. Potem mężczyzna podszedł ciężkim krokiem do mnie.

– Jeszcze jedno? – spytał, wskazując na pustą butelkę po piwie. – Firma stawia.

Pokręciłem przecząco głową.

– Mówił pan o Rodneyu i o jakimś reportażu.

Skrzywił się z obrzydzeniem, jakby doleciał go jakiś cuchnący zapach.

– To był reportaż telewizyjny na temat wojny w Wietnamie – wyjaśnił z ociąganiem. – Pokazywał, zdaje się, straszne rzeczy. Mówię: zdaje się, bo sam go nie widziałem ani nie chcę oglądać, ale w każdym razie później wszędzie o tym trąbili. W gazetach, w telewizji, wszędzie. Jakby pan tu mieszkał, toby pan wiedział, dużo się o tym mówiło.

– A co Rodney miał wspólnego z tym reportażem?

– Podobno w nim występował.

– Podobno?

– Wiem od ludzi. Już panu mówiłem, że sam tego reportażu nie widziałem. Podobno ten człowiek, który tam występował i opowiadał o tych wszystkich okropieństwach, to był Rodney. Trudno go było rozpoznać, znaczy się ci z telewizji zrobili coś takiego, żeby nie można go było rozpoznać, siedział tyłem do kamery czy coś w tym stylu, ale ludzie zaczęli kojarzyć różne rzeczy i od razu doszli do wniosku, że to musi być on. Ja tam nie wiem, już mówiłem. Wiem tylko, że już wcześniej, zanim nadali ten reportaż w telewizji i wszystko się skomplikowało, Rodney przez kilka tygodni nie wychodził z domu, a potem też nic nie było o nim słychać, aż no, wie pan, aż ze sobą skończył. Szkoda gadać, niech mi

pan nie każe o tym mówić, to kurewska sprawa i ja dobrze jej nie znam. Powinien pan pogadać z jego żoną. Znaczy, z żoną Rodneya. Skoro już się pan pofatygował aż tutaj...

– Jego żona nadal mieszka w Rantoul?

– Oczywiście. Tu obok, w domu Rodneya.

– Byłem tam, ale nikogo nie zastałem. Wspominałem panu.

– Pewnie gdzieś wyszli. Ale obstawiam, że wrócą na obiad. Nie jestem pewien, czy Jenny będzie miała ochotę mówić na ten temat po tym wszystkim, co przeszła, ale cóż, przynajmniej może pan ją poznać.

Podziękowałem właścicielowi baru i chciałem zapłacić za piwo, ale mi nie pozwolił.

– Proszę mi coś powiedzieć. – Ścisnął na pożegnanie moją dłoń, zatrzymując ją w swojej troszkę dłużej niż trzeba. – Zamierza pan zostać w Rantoul dłuższy czas?

– Nie – odpowiedziałem. – Dlaczego pan pyta?

– Nie, nic takiego. – Puścił moją dłoń i przygładził rzadkie włosy wystające spod czapki. – Ale wie pan, jak to jest w takich małych miejscowościach. Jeżeli pan zostanie, to proszę mnie posłuchać i nie dawać wiary wszystkiemu, co się opowiada o Rodneyu. Ludzie plotą różne bzdury.

Eksplozja światła oślepiła mnie, gdy wyszedłem na ulicę: było południe. Raczej zdezorientowany niż przygnębiony, automatycznie skierowałem się w stronę Belle Avenue. Czułem pustkę w głowie i jak sobie przypominam, myślałem tylko o tym, że oto moja podróż dobiegła końca – myliłem się zresztą – oraz – tym razem miałem rację lub nie myliłem się tak bardzo jak poprzednio – że Rodney znalazł w istocie wyjście z tunelu, tyle tylko, że nie było takie, jak

sobie wcześniej wyobrażałem. Dotarłszy przed dom Rodneya, byłem spocony jak mysz i zdecydowany, że najlepiej będzie wrócić od razu do Urbany, również i z tego powodu, żeby nie naprzykrzać się swoją obecnością rodzinie przyjaciela. Wsiadłem do chryslera, uruchomiłem silnik i już miałem zrobić nawrót na Belle Avenue, żeby wracać do Urbany, kiedy pomyślałem sobie, że nie można wyjechać w taki sposób, gdy tyle znaków zapytania piętrzy się przede mną jak drut kolczasty, i nie poznawszy nawet żony i syna Rodneya. Biłem się z myślami i wtedy ich spostrzegłem. Wynurzyli się zza zakrętu i szli w zielonym cieniu drzew, trzymając się za ręce, po wycementowanej ścieżce między jezdnią i frontowymi ogródkami domów, zbliżali się w moim kierunku wolnym krokiem, samotni na pustej ulicy, i ujrzałem nagle Gabriela i Paulę idących po innych pustych ulicach, a potem Gabriela, jak puszcza rękę swojej mamy i roześmiany zaczyna biec swoim kołyszącym się krokiem, żeby rzucić mi się na szyję. Poczułem, że łzy napływają mi do oczu. Powstrzymałem łzy, zgasilem silnik, wziąłem głęboki oddech, wysiadłem i wsparłszy się o samochód, czekałem na nich, paląc papierosa; papieros odrobinę drżał mi w dłoni. Nie minęło wiele czasu, a zatrzymali się na wprost mnie. Przyglądali mi się ni to z niepokojem, ni to z obawą, kobieta spytała, czy jestem dziennikarzem, ale nie pozwoliła mi odpowiedzieć.

– Jeżeli jest pan dziennikarzem, może pan od razu wracać tam, skąd pan przyszedł – rzuciła groźnie, blada i spięta. – Nie mam panu nic do powiedzenia i...

– Nie jestem dziennikarzem – przerwałem jej.

Spojrzała uważnie. Wyjaśniłem, że byłem przyjacielem Rodneya, przedstawiłem się. Kobieta zamrugła oczyma i poprosiła, żebym

powtórzył nazwisko; powtórzyłem je. Nie spuszczać ze mnie wzroku, puściła rękę dziecka, objęła je za ramię i przytuliła do swego biodra, oderwała na sekundę wzrok, jakby coś odwróciło jej uwagę, a potem poczułem, że jej ciało się odprężyło. Nim się odezwała, zrozumiałem już, że wie, kim jestem, że Rodney jej o mnie mówił. Powiedziała:

– Spóźniłeś się.

– Wiem – odparłem i chciałem coś dodać, ale nie wiedziałem co.

– Jestem Jenny – przedstawiła się po chwili i nie odwracając wzroku w stronę syna, dodała: – To jest Dan.

Wyciągnąłem rękę do chłopca, on po chwili wahania podał mi swoją: garstkę delikatnych kosteczek pokrytych różowawym ciałkiem; kiedy wypuściłem jego dłoń z mojej, spojrzał na mnie: wąły i bardzo poważny, i tylko wielkie brązowe oczy przypominały wielkie brązowe oczy jego ojca. Miał jasne włosy i ubrany był w spodnie z cienkiego sztruku i niebieski podkoszulek.

– Ile masz lat? – spytałem.

– Sześć – odpowiedział.

– Właśnie skończone – dodała Jenny.

Kiwnąłem ze zrozumieniem głową.

– Jesteś już mężczyzną – powiedziałem.

Dan nie uśmiechnął się, nic nie powiedział, zapadła cisza, a zza moich pleców dobiegł stukot pociągu towarowego zmierzającego do Chicago, lekki wietrzyk łagodził południowy upał, studził pot na mojej skórze i poruszał amerykańską flagą na maszcie na trawniku. Gdy pociąg przejechał, Dan zadał mi pytanie:

– Byłeś przyjacielem mojego ojca?

– Tak.

– Bliskim przyjacielem?

– Dość bliskim – odpowiedziałem. – Dlaczego pytasz?

Dan wzruszył ramionami w jakiś dorosły, niemal wyzywający sposób.

– Tak sobie – powiedział.

Znowu zapadła cisza, nie tyle długa, co kłopotliwa, kiedy to pomyślałem sobie, że ogrodzenie z drutu kolczastego pozostanie nietknięte. Zdeptałem niedopałek papierosa na chodniku.

– No cóż – powiedziałem. – Będę jechał. Cieszę się, że was poznałem.

Odwrociłem się, żeby otworzyć drzwi samochodu, ale wtedy usłyszałem za plecami głos Jenny:

– Jadłeś obiad?

Kiedy się do niej odwróciłem, powtórzyła pytanie. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Miałam właśnie zrobić coś do jedzenia dla Dana i dla siebie – powiedziała. – Może zjesz z nami?

Weszliśmy do domu, przeszliśmy do kuchni i Jenny zajęła się przygotowaniem posiłku. Chciałem jej pomóc, ale mi nie pozwoliła. Przyglądając się Danowi przyglądającemu się mnie i wspartemu o framugę drzwi, usiadłem na krześle obok stołu przykrytego obrusem w niebiesko-czerwoną kratkę, na wprost okna wychodzącego na ogródek za domem, gdzie rosły kępy hortensji i chryzantem; domyśliłem się, że szopa, w której powiesił się Rodney, musi być w ogrodzie. Nie odrywając się od gotowania, Jenny zapytała, czy chcę się czegoś napić. Odpowiedziałem, że nie chcę, i spytałem, czy mogę zapalić.

– Lepiej nie, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała. – Ze względu na dziecko.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Dawniej dużo paliłam – dodała. – Przestałam w ciąży. Teraz zdarza mi się zapalić tylko od czasu do czasu.

Dan wycofał się do wnętrza domu, jakby się już upewnił, że wszystko idzie dobrze między jego matką i mną, a Jenny zaczęła mi opowiadać, w jaki sposób uwolniła się od nikotynowego nałogu. Stała zwrócona do mnie bokiem i zacząłem się jej przyglądać. Inaczej ją sobie wyobrażałem na podstawie dziwnie rozbieżnych opisów zawartych w listach Rodneya. Drobna i bardzo szczupła, miała ten typ dyskretnej urody, który skazany jest na to lub stworzony do tego, by nie rzucać się w oczy: jej rysy twarzy były zaledwie poprawne, kości policzkowe odrobinę wystające, nos mały, usta wąskie i niewydatne, oczy matowoszare; w uszach połyskiwały małe złote kolczyki, podkreślając ciemnobrązowy kolor prostych włosów, niedbale upiętych z tyłu. Miała na sobie sprane dzinsy i błękitny wełniany sweter, pod którym rysowały się jędrne piersi. Mimo swej kruchej postury, promieniowała jakąś energiczną pogodą ducha i kiedy słuchałem, jak mówi, prawie mimowolnie usiłowałem wyobrazić ją sobie u boku Rodneya, ale nie potrafiłem, i także mimowolnie zastanawiałem się, jak to możliwe, że ta kobieta, tak pozornie chłodna i nieefekowna, zdołała przełamać uczuciową alienację mego przyjaciela.

W drzwiach kuchni znowu pojawił się Dan i przerywając matce, zapytał, czy chcę obejrzeć jego zabawki.

– Oczywiście – wyprzedziła mnie Jenny. – Pokaż mu swoje zabawki, a ja tymczasem dokończę gotowanie.

Wstałem i poszedłem z chłopcem do tego samego salonu ze ścianami zastawionymi książkami, z oknem na werandę, ze skórzaną sofą i fotelami, gdzie piętnaście lat wcześniej dziadek chłopca opowiedział mi podczas bardzo długiego wiosennego wieczoru niedokończoną historię Rodneya. Pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak dawniej, tyle tylko, że teraz na podłodze przykrytej dywanami w kolorze wina leżały jeszcze rozrzucone w nieładzie zabawki, co nieuchronnie przypomniało mi rozgardiasz panujący w salonie u mnie w domu, kiedy Gabriel był w wieku Dana. Bez dodatkowych ceregieli Dan zaczął mi pokazywać jedną po drugiej swoje zabawki, ze skupioną powagą, na jaką dzieci potrafią zdobyć się w każdej chwili, a dorośli tylko wtedy, gdy ich życie znajduje się w niebezpieczeństwie, wyjaśniał, czym każda zabawka się wyróżnia i jak działa, i kiedy po jakimś czasie Jenny krzyknęła z kuchni, że obiad gotowy, nas obu łączyła już ta podskórna więź porozumienia, jaką dorośli budują często całymi miesiącami, a nawet latami.

Zjedliśmy sałatę, spaghetti z sosem pomidorowym i placek z malinami. Dan całkowicie zdominował rozmowę, nie mówiliśmy więc o niczym innym prócz jego szkoły, jego zabawek, jego zainteresowań i jego kolegów i ani razu nie wspomnieliśmy o Rodneyu. Jenny była cały czas skoncentrowana na synu, choć parokrotnie miałem wrażenie, że przygląda mi się ukradkiem. Ja natomiast chwilami nie mogłem się uwolnić od dopadającego mnie podstępnie podejrzenia, że to wszystko sen: ciągle jeszcze nie otrząsnąłem się z szoku po wiadomości o śmierci Rodneya, a tu tkwię w dziwnej sytuacji, jedząc obiad w jego domu z wdową po nim i z jego synem, równocześnie jednak czułem, jak kojąco działa na mnie ten niemal domowy spokój, jakbym nie po raz pierwszy

siedział z nimi przy stole. Po obiedzie Dan kategorycznie odmówił udania się na poobiednią drzemkę i matce, po długich naleganiach, udało się tylko uzyskać, że zgodził się położyć na sofie w salonie i poczekać, aż przyjdziemy tam na kawę. Tak więc, kiedy Jenny parzyła kawę, poszedłem do salonu i usiadłem obok Dana, który najpierw kilka razy stuknął ukradkiem w klawiaturę gameboya – przed chwilą matka zabroniła mu się tym bawić – potem zagapił się w bezchmurne niebo i zaraz zasnął w dziwacznej pozycji, z jednym ramieniem wykręconym do tyłu. Patrzyłem na niego, ale nie miałem odwagi ułożyć mu wygodnie ramienia, żeby go nie wyrwać z niezbadanych głębin dziecięcego snu, i przypomniałem sobie, jak spał przy mnie Gabriel, jak oddychał cicho, regularnie, w nieskończenie spokojnym rytmie, zmieniony snem i w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa, ponieważ wiedział, że ojciec nad nim czuwa, i zapragnąłem nagle przytulić Dana, jak tyle razy przytulałem Gabriela, wiedząc, że nie przytulam go, by go chronić, lecz po to, by to on mógł ochronić mnie.

– No, proszę – powiedziała cichym głosem Jenny, wchodząc do salonu z kawą na tacy. – Zawsze to samo. Za nic w świecie nie chce się zdrzemnąć, a potem nie można go dobudzić.

Postawiła tacę na stoliku między dwoma fotelami i delikatnie poprawiwszy wygięte ramię Dana, tak żeby spoczęło naturalnie na piersi dziecka, przeszła na drugi koniec salonu i odsunęła zasłonę w oknie wychodzącym na werandę, żeby złociste popołudniowe słońce oświetliło pomieszczenie. Potem naląła kawy, usiadła na wprost mnie, mieszając swoją porcję, i wypła ją niemal do końca jednym haustem, chwilę siedziała w milczeniu, a wreszcie, może

dlatego, że ja nie znajdowałem sposobu na rozpoczęcie rozmowy, zapytała:

- Zamierzasz zostać tu dłużej?
- Tylko do wtorku.
- W Rantoul?
- W Urbanie.

Jenny pokiwała głową, potem powiedziała:

- Żałuję, że odbyłeś taką długą podróż na próżno.
- Odbyłbym ją tak czy inaczej.

Pociągnąłem łyk kawy i opowiedziałem jej o swojej podróży po Stanach Zjednoczonych, wyjaśniłem, że Urbana była tylko jednym z jej etapów, dodałem, wiedząc, że prawdopodobnie Jenny o tym wie, że mieszkałem tam kiedyś przez dwa lata, wtedy zaprzyjaźniłem się z Rodneyem, i że chciałem wrócić.

– Myślałem, że znowu spotkamy się z Rodneyem – ciągnąłem – choć nie byłem tego pewny. Od dawna nie miałem od niego wiadomości, kilka miesięcy temu wysłałem do niego list, ale przypuszczam, że wtedy już...

– Tak – przyszła mi z pomocą Jenny. – List nadszedł niedługo po jego śmierci. Musi tu gdzieś być.

Dokończyła swoją kawę i odstawiła filiżankę na stolik. Ja zrobiłem to samo.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

– Wiem. Rodney dużo mi o tobie opowiadał.

– Ach tak? – moje zdziwienie było nie całkiem prawdziwe.

– Oczywiście – powiedziała i po raz pierwszy zobaczyłem uśmiech na jej twarzy: uśmiech zarazem szczery i przewrotny, niemal chytry,

który uwidocznił drobną siateczkę zmarszczek przy kącikach ust. – Znam całą historię, Rodney opowiadał mi ją wielokrotnie. Opowiadał bardzo śmieszne rzeczy. Mówił, że nim ciebie spotkał, nie znał nikogo, kto byłby takim dziwakiem, a równocześnie wydawał się normalny.

– Ciekawe – powiedziałem, rumieniąc się na myśl o tym, co też Rodney mógł jej opowiadać. – Ja zawsze myślałem, że to on jest dziwakiem.

– Rodney nie był dziwakiem – poprawiła mnie Jenny – tylko miał pecha. Pech sprawił, że nie mógł żyć w spokoju. A nawet spokojnie umrzeć.

Szukając sposobu, w jaki mógłbym zapytać o okoliczności śmierci Rodneya, przestałem przez chwilę śledzić tok jej wypowiedzi. Kiedy znowu zacząłem słuchać, w głosie Jenny wyraźnie brzmiała ironia, a ja całkowicie straciłem wątek opowieści.

– Ale wiesz, co myślę? – usłyszałem jej głos. Ukryłem roztargnienie pod zaciekawioną miną i zachęciłem ją, by mówiła dalej. – Myślę, że tak naprawdę, to żeby spotkać się z tobą.

Potrzebowałem sekundy, by zorientować się, że mówi o podróży Rodneya do Hiszpanii. Teraz byłem naprawdę zdziwiony: nie tym, że odbyłem podróż w odwrotnym niż Rodney kierunku tylko po to, żeby z nim się spotkać, lecz tym, że jak pamiętałem, w Hiszpanii ścigałem go przecież z hotelu do hotelu, a w końcu musiałem pojechać do Madrytu, żeby z nim chwilę porozmawiać. Jenny wyczytała pewnie zdumienie z mojej twarzy, bo uściśliła:

– Może nie tylko w tym celu, zgoda, ale również w tym. – Spoglądając katem oka na Dana, poprawiła trochę upięty z tyłu kok, usiadła głębiej w fotelu i położyła dłonie na udach: dłonie były

długie, kościste, bez pierścionków. – Nie wiem – westchnęła – może zresztą się mylę. Z całą pewnością jednak wrócił z tej podróży bardzo zadowolony. Powiedział, że spotkał się z tobą w Madrycie, że poznał twoją żonę i syna, że jesteś teraz cenionym pisarzem.

Jenny zawahała się przez sekundę, jakby chciała mówić dalej o Rodneyu i o mnie, a z drugiej strony uświadomiła sobie, że rozmowa przybrała niewłaściwy obrót i trzeba to skorygować. Na chwilę zapadła cisza, potem Jenny zaczęła mi opowiadać o swoim życiu w Rantoul. Opowiedziała, że po śmierci Rodneya w pierwszym odruchu chciała sprzedać dom i wrócić do Burlington. Szybko jednak zrozumiała, że uciekanie z Rantoul i powrót do Burlington w poszukiwaniu wsparcia rodziny są równoznaczne z przyznaniem się do porażki. Przecież, powiedziała, Dan i ona byli tu już zdomowieni; mieli dom, przyjaciół, nie mieli problemów finansowych: oprócz pieniędzy z ubezpieczenia na życie Rodneya i z renty przysługującej wdowie Jenny miała też własne stałe dochody z pracy urzędniczki na farmie. Postanowiła zatem zostać w Rantoul. I nie żałowała swojej decyzji.

– Bardzo dobrze radzimy sobie z Danem – powiedziała. – Poza tym w Burlington nigdy nie byłoby mnie stać na taki dom, jaki mamy tutaj. No, tak. – Poszukała wzrokiem moich oczu i zapytała jakby zawstydzona: – Wyjdziemy na papierosa?

Usiedliśmy na schodach werandy. Powietrze na Belle Avenue silnie pachniało wiosną; popołudniowe światło nie zaczęło jeszcze rdzewieć, a wietrzyk wiał silniej, poruszając liśćmi klonów i wydymając amerykańską flagę na trawniku. Nim sam zapaliłem swego papierosa, Jenny podała mi ogień zapalniczką Rodneya,

zippo. Utkwiłem wzrok w zapalniczce. Jenny podążyła za moim spojrzeniem. Powiedziała:

– Należała do Rodneya.

– Wiem.

Przypaliła mi papierosa, potem sobie, zamknęła zippo, przez chwilę ważyła ją w kościstej dłoni, a potem podała mnie.

– Zatrzymaj ją – powiedziała. – Mnie już nie jest potrzebna.

Zawahałem się.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem, nie patrząc jej w oczy.

Jenny schowała zippo i paliliśmy chwilę w milczeniu, patrząc na fasady domów naprzeciwko, na przejeżdżające od czasu do czasu samochody, ja poszukałem wzrokiem okna, w którym kilka godzin wcześniej widziałem obserwującą mnie kobietę; teraz nie było tam nikogo. Milczeliśmy jak starzy przyjaciele, którzy nie muszą już rozmawiać, by czuć się dobrze w swoim towarzystwie. Pomyślałem, że od ponad roku nie spędziłem z nikim tyle czasu, i przez głowę przemknęła mi myśl, że Rantoul jest dobrym miejscem do życia. Tylko to pomyślałem, a już Jenny odezwała się, jakby podejmowała na nowo przerwana rozmowę.

– Nie chcesz wiedzieć, co się stało? – spytała.

Nie spojrzałem na nią. Zaciągałem się papierosem, niepewny, czy rzeczywiście chcę to wiedzieć. Powiedziałem jednak, że tak, a wtedy ona, w zdumiewająco naturalny sposób, jakby chodziło o jakąś odległą i dotyczącą kogo innego historię, opowiedziała mi o ostatnich miesiącach życia Rodneya. Wszystko zaczęło się poprzedniej wiosny, czyli mniej więcej rok wcześniej. Któregoś wieczoru siedzieli przy kolacji, kiedy zadzwonił telefon: jakiś nieznajomy chciał rozmawiać z Rodneyem; gdy Jenny spytała, kto

mówi, powiedział, że jest dziennikarzem i pracuje dla jednej ze stacji telewizyjnych w Ohio. Zdziwili się, ale Rodney nie widział powodu, żeby nie porozmawiać z tym człowiekiem. Rozmowa, której Jenny nie słyszała, trwała kilka minut i Rodney wrócił po niej do stołu zmieniony, z nieobecny wzrokiem. Jenny spytała go, co się stało, ale nie odpowiedział (Jenny sądziła, że mógł nawet nie usłyszeć pytania), zabrał się znowu do jedzenia kolacji, a po kilku minutach, choć nie dojadł jeszcze wszystkiego z talerza, wstał od stołu i powiedział, że idzie się przejść. Wrócił dopiero po północy. Jenny na niego czekała, zażądała, żeby opowiedział jej rozmowę z dziennikarzem, i Rodney w końcu to zrobił. W gruncie rzeczy zrobił dużo więcej. Jenny wiedziała oczywiście wcześniej, że Rodney spędził dwa lata w Wietnamie i że to doświadczenie odcisnęło na nim niezatarty ślad, ale niczego jej wcześniej nie opowiadał ani ona go o to nie prosiła. Tamtej nocy jednak wyrzucił to z siebie: przez długie godziny mówił o Wietnamie czy też, dokładniej rzecz ujmując, mówił, wściekał się, krzyczał, płakał aż do świtu, który zastał ich w łóżku, ubranych, rozbudzonych i wycieńczonych, przyglądających się sobie, jakby nie poznawali się nawzajem.

– Od początku miałam wrażenie, że on się przede mną spowiada – powiedziała Jenny. – A także że wcześniej go nie znałam, że przedtem nigdy nie kochałam go naprawdę.

Zanim Rodney przeszedł do rozmowy z dziennikarzem z Ohio, opowiedział jej najpierw, że pod koniec służby w Wietnamie został przydzielony do elitarnej jednostki, znanej pod nazwą Tiger Force, i że walczył w jej szeregach. Jednostka dopuściła się niezliczonych okrucieństw – Rodney nie opisał ich szczegółowo albo nie chciał

opisać – a gdy została ostatecznie rozwiązana, wszyscy jej żołnierze przysięgli zachować na ten temat milczenie. Kiedy jednak w początkach lat siedemdziesiątych Pentagon utworzył komisję do zbadania zbrodni wojennych popełnionych przez Tiger Force, Rodney zdecydował się przerwać znowu milczenie i współpracować z komisją. Był osamotniony w swojej decyzji i na niewiele się ona zdała: co prawda kilkakrotnie złożył zeznania przed komisją, ale zyskał sobie tylko jawną wrogość dawnych dowódców i towarzyszy broni (uznali go za kapusia) oraz skrywaną wrogość reszty wojskowych (tak samo uznali go za kapusia), bo kiedy raport dotarł w końcu do Białego Domu, ktoś zdecydował, że najlepiej będzie ukreślić sprawę łeb. „To było jedno wielkie przedstawienie – powiedział Rodney do Jenny. – W gruncie rzeczy prawda nikogo nie interesowała”. Z powodu zeznań przed komisją Rodneyowi kilka razy grożono śmiercią; potem przestał otrzymywać pogróżki i przez długie lata wierzył, że o całej sprawie zapomniano. Od czasu do czasu docierały do niego wieści o kolegach z jednostki: kilku zebrało na ulicach, inni gnili w więzieniu, jeszcze inni byli regularnie pacjentami oddziałów psychiatrycznych; tylko niektórzy dali sobie radę i prowadzili normalne życie, przynajmniej na pozór normalne. Rodney nie chciał mieć z nimi nic wspólnego i zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby zatrzeć za sobą ślady. Ale pewnego dnia, gdy był już przekonany, że cała sprawa umarła śmiercią naturalną, jeden z kolegów go znalazł. To był jego najlepszy przyjaciel z jednostki, może jedyny prawdziwy przyjaciel; zrujnowany psychicznie, złamany niedającymi mu spokoju i nawracającymi cyklicznie wyrzutami sumienia; ten przyjaciel przekonywał Rodneya, że poczują ulgę, jeżeli zgłoszą się do władz i doprowadzą

do wznowienia sprawy, wyznając swoje czyny i ponosząc za nie odpowiedzialność. Rodney starał się go uspokoić, próbował mu tłumaczyć (powiedział, że upłynęło zbyt dużo czasu i że teraz władze nie są nawet skłonne robić przedstawień i kompletnie ich zlekceważą), ale na próżno; nie mogąc znieść natarczywych i obsesyjnych próśb kolegi, Rodney wybrał rozwiązanie radykalne, stosowane już w przeszłości: znikł z Rantoul.

– Jak nazywał się ten przyjaciel? – przerwałem Jenny jej opowieść.

– Tommy Birban – odpowiedziała. – Dlaczego pytasz?

– Tak sobie – powiedziałem i poprosiłem, żeby mówiła dalej: – Czego chciał dziennikarz z Ohio?

Rodney wyjaśnił Jenny, że dziennikarz przygotowywał reportaż. Wygląda na to, że najpierw skontaktował się z nim Tommy Birban i opowiedział mu całą historię; potem sam dziennikarz dotarł do spoczywającego w archiwum raportu Pentagonu i sprawdził, że faktycznie jedyną osobą, która złożyła zeznania, był Rodney i że w ogólnym zarysie jego zeznania zgadzały się z tym, co opowiedział mu Tommy Birban. Dlatego dziennikarz zwrócił się do Rodneya, prosząc, żeby powiedział do kamery to, co przed laty opowiedział przed komisją; sam miał się potem skontaktować z pozostałymi możliwymi do zlokalizowania żołnierzami jednostki i poprosić ich o to samo. Kiedy dziennikarz przedstawił swój plan, Rodney odpowiedział mu, że od wojny minęło zbyt dużo czasu i że nie ma już ochoty do niej wracać. Dziennikarz nalegał raz i drugi, uciekając się do szantażu moralnego, ale Rodney pozostał nieugięty. „Nie ma mowy!”, powiedział tamtej nocy do Jenny z wykrzywioną twarzą i krzycząc, jakby nie z nią naprawdę rozmawiał. „Za dużo mnie

kosztowało, żeby nauczyć się z tym żyć, i nie zamierzam tego teraz spierdolić!” Jenny starała się go uspokoić: tamto się skończyło, wyraźnie przecież powiedział dziennikarzowi, że nie zamierza wystąpić w reportażu, nikt nie będzie ich znowu nagabywał. „Mylisz się – powiedział Rodney. – On znowu zadzwoni. To się nigdy nie skończy. Dopiero się zaczyna”.

Miał rację. Kilka dni później dziennikarz zadzwonił ponownie, a on znowu odmówił; dziennikarz próbował jeszcze dwa razy, używając nowych argumentów (między innymi tego, że poza Tommym Birbanem nikt z odszukanych żołnierzy jednostki nie chce rozmawiać, dlatego jego wypowiedź ma tak zasadnicze znaczenie, bo stanowiła główną część raportu Pentagonu), Rodney jednak nie zmienił zdania. Któregoś ranka, niedługo po ostatnim telefonie, dziennikarz niespodziewanie przyjechał do nich do domu w towarzystwie mężczyzny i kobiety. Jenny kazała im poczekać na werandzie, poszła po Rodneya, który jadł właśnie śniadanie z Danem, a ten wyszedł na werandę i nie odpowiadając na powitanie, poprosił obu mężczyzn i kobietę, żeby sobie poszli. „Pójdziemy, ale niech pan pozwoli coś sobie powiedzieć”, odezwał się dziennikarz. „Co takiego?”, spytał Rodney. „Tommy Birban nie żyje”. Zapadła cisza, zdawało się, że dziennikarz czekał, aż wiadomość wywoła odpowiednie wrażenie na Rodneyu, następnie wyjaśnił, że Birban zaczął dostawać anonimy, w których pogrozkami starano się odwieść go od występu przed kamerą; zadzwonił kilka razy do dziennikarza bardzo przestraszony, pełen wątpliwości, w końcu jednak uznał, że nie da się zastraszyć i nie wycofa się z projektu, i przed tygodniem, zaledwie dwa dni przed terminem nagrania, wpadł koło swego domu pod samochód, który odjechał

z miejsca wypadku. „Policja prowadzi śledztwo – powiedział dziennikarz. – Nie sądzę, żeby znaleźli winnego, ale obaj wiemy przecież, kto to zrobił. Wiemy także, że jeśli nadal nie będzie pan chciał mówić, śmierć pana przyjaciela pójdzie na marne”. Rodney milczał, nieruchomy jak posąg. „To właśnie chciałem panu powiedzieć”, zakończył dziennikarz, wyciągając w kierunku Rodneya swoją wizytówkę, której ten nie wziął: odruchowo wzięła ją Jenny, wiedząc, że podrze ją po wyjściu mężczyzny. „Teraz decyzja należy do pana. Proszę zadzwonić, gdyby pan mnie potrzebował”. Dziennikarz i towarzysząca mu dwójka odwrócili się i Jenny z nieśmiałą jeszcze radością zobaczyła, jak oddalają się w kierunku zaparkowanego naprzeciwko samochodu; jej radość nie była jeszcze całkowita, gdy usłyszała dobiegający z boku głos, podobny do głosu Rodneya, a jednak inny, i od razu zrozumiała, że te niewiele znaczące słowa zaważą na ich życiu: „Proszę zaczekać”.

Trójka gości i Rodney zamknęli się w salonie na cały ranek i dużą część popołudnia. Początkowo Jenny musiała walczyć z pokusą, żeby nie podsłuchiwać pod zamkniętymi drzwiami, kiedy jednak po półgodzinie tej tajnej narady zobaczyła, jak z salonu wynurzają się mężczyzna i kobieta towarzyszący dziennikarzowi, wychodzą na ulicę i wracają po chwili ze sprzętem do nagrywania, nie spróbowała nawet odwieść Rodneya od zrobienia błędu, który zaraz miał popełnić. Wyszła z domu, zabierając Dana, i wróciła dopiero wieczorem, kiedy dziennikarzy już nie było. Rodney siedział milcząco w salonie, po ciemku, i choć Jenny, po nakarmieniu Dana i pospiesznym położeniu go spać, usiłowała dowiedzieć się, co zaszło podczas jej rozmyślnej nieobecności, nie zdołała wyciągnąć z Rodneya ani słowa, miała wrażenie, że stracił kontakt

z rzeczywistością, znajdował się pod wpływem narkotyków albo był pijany i jakby nie rozumiał już jej języka. To był pierwszy sygnał alarmowy. Drugi nadszedł wkrótce potem. Rodney nie zasnął ani tej, ani żadnej kolejnej nocy: Jenny, leżąc bezsennie w łóżku, słyszała, jak krąży po pomieszczeniach na dole, rozmawia z samym sobą albo przez telefon; czasem wydawało jej się, że słyszy tłumiony śmiech, jak śmiechy uciszane podczas pogrzebu. Taki był początek niepowstrzymanego pogarszania się stanu Rodneya: wziął zwolnienie w pracy i przestał udzielać lekcji, nie wychodził z domu, całymi dniami spał albo leżał w łóżku, w końcu kompletnie przestał się interesować synem i żoną. Jakby ktoś wyrwał maleńkie złącze, niezbędne do funkcjonowania, i cały organizm doznał zapaści, jakby stał się własnymi szczątkami. Jenny usiłowała z Rodneyem rozmawiać, skłonić go, by zgodził się na pomoc psychiatry; na próżno: sprawiał wrażenie, jakby słyszał, co się do niego mówi (może rzeczywiście słyszał), uśmiechał się do niej, głaskał ją pieszczotliwie, prosił, żeby się nie martwiła, raz i drugi zapewniał, że dobrze się czuje, ale ona wyczuwała, że Rodney pozostaje tak daleko od wszystkiego, co go otacza, jak krążąca wokół własnej osi i skupiona na sobie planeta. Odczekała jakiś czas, w nadziei, że sprawy przybiorą inny obrót. Nie przybrały. Emisja reportażu jeszcze wszystko pogorszyła. Początkowo nie odbił się szerszym echem, ponieważ został zrobiony przez lokalną stację telewizyjną, bardzo szybko jednak napisały o nim główne dzienniki krajowe i jeden z kanałów telewizyjnych o zasięgu ogólnokrajowym kupił prawa do emisji i pokazał reportaż w porze najlepszej oglądalności. Autor reportażu przysłał im kopię, ale Rodney nie chciał jej obejrzeć; chociaż w krótkim liście dołączonym do kopii dziennikarz

zapewniał, że dotrzymał słowa i nie zdradził tożsamości swego rozmówcy, rzeczywistość była inna: w rzeczywistości nie było trudno rozpoznać Rodneya w reportażu i ta wpadka lub zamierzona nielojalność sprawiła, że życie Jenny zmieniło się w piekło z powodu oblegających ich dziennikarzy, pytań i plotek o niechybnym uwięzieniu jej męża. W krótkim czasie jej stosunki z Rodneyem pogorszyły się tak bardzo, że stały się nie do wytrzymania. Nadszedł dzień, w którym podjęła bolesną decyzję: oznajmiła Rodneyowi, że lepiej będzie się rozstać; ona wyjedzie z Danem do Burlington, a on zostanie sam w Rantoul. Chwyciła się tego ultimatum jak ostatniej deski ratunku, chciała zmusić Rodneya do reakcji wobec alternatywy, że albo weźmie się w garść, albo zniszczy sobie życie i straci rodzinę. Ale podstęp się nie udał: Rodney przyjął jej słowa bez protestu, zapytał tylko, kiedy dokładnie zamierza wyjechać. Wtedy zrozumiała, że wszystko stracone, wtedy też przeprowadziła z Rodneyem pierwszą od długiego czasu rozmowę. Rozmowa nic nie dała, bo Rodney prawie się nie odzywał: ograniczał się do udzielania irytująco lakonicznych odpowiedzi na zadawane przez Jenny pytania, a ona nie mogła uwolnić się od uczucia, że rozmawia z dzieckiem bez przyszłości albo ze starcem bez przeszłości, ponieważ Rodney patrzył na nią, jakby była przezroczyista. W pewnej chwili zapytała go, czy się boi. Z odrobiną ulgi, jakby musnęła opuszką palca ukryte sedno jego udręki, powiedział, że tak. „Czego się boisz?”, spytała Jenny. „Nie wiem”, odpowiedział. „Ludzi. Was. Czasami boję się siebie samego”. „Nas? – zdziwiła się Jenny. – Czyli kogo?” „Ciebie i Dana”, odpowiedział Rodney. „My nie zrobimy ci nic złego”, uśmiechnęła się Jenny. „Wiem”, przytaknął Rodney. „Ale tego właśnie

najbardziej się boję”. Jenny pamiętała, że słysząc te słowa, to ona po raz pierwszy przestraszyła się Rodneya i zrozumiała, że powinna jak najszybciej wyjechać z Rantoul i zabrać syna. Ale nie zrobiła tego; postanowiła zostać: kochała Rodneya i czuła, że musi mu pomóc, bez względu na to, co się stanie. Nie potrafiła mu pomóc. Ostatnie tygodnie były koszmarem. W ciągu dnia Jenny usiłowała z nim rozmawiać, ale niemal zawsze bezskutecznie, bo choć rozumiała jego słowa, nie umiała znaleźć w wypowiedzianych przez niego zdaniach żadnego sensu: bardziej przypominały hermetyczne i bezwzględnie spójne bredzenie wariata niż jakąś jasną wypowiedź. Noce zaś Rodney spędzał nadal bezsennie, z tą tylko różnicą, że teraz w głównej mierze poświęcał je pisaniu: Jenny zasypiała ukołysana monotonnym stukotem klawiatury jego komputera; jednakże po śmierci Rodneya, gdy zdobyła się kiedyś na odwagę i otworzyła zapisane pliki, okazało się, że są puste, jakby w ostatniej chwili mąż postanowił zaoszczędzić jej trujących wyziewów piekła, w którym sam się spalał. Jenny była pewna, że Rodney zupełnie postradał zmysły w dniach poprzedzających własną śmierć; a także, że ostatecznie stało się najlepiej, jak mogło się stać. Było tak, że któregoś ranka, zaraz po Bożym Narodzeniu, Jenny wstała wcześniej niż zwykle i mijając pokój, w którym od jakiegoś czasu sypiał Rodney, zauważyła, że pokój jest pusty, a łóżko zasłane. Zaniepokojona zaczęła szukać Rodneya w jadalni, kuchni, w całym domu, w końcu znalazła go wiszącego na belce w szopie.

– I to wszystko – zakończyła Jenny, porzucając na kilka sekund zdystansowaną naturalność, z jaką opowiadała. – Resztę możesz sobie wyobrazić. Śmierć bardzo poprawia wizerunek zmarłych, więc

okazało się, że wszyscy bardzo Rodneya kochali. Nawet dziennikarze do mnie przyjechali... Śmiecie.

Wydawało się przez chwilę, że Jenny się rozpłacze, ale nie rozpłakała się. Zgasiła na schodach werandy swojego drugiego papierosa i tak jak w wypadku pierwszego, podniosła niedopałek; po długim milczeniu odwróciła się do mnie i spojrzała mi w oczy.

– Nie mówiłam? – powiedziała z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – Dan zasypia bez problemu. Prawdziwym problemem jest obudzić go ze snu.

Istotnie, Dan wstał w paskudnym humorze, ale rozchmurzał się powoli, w miarę zjadania płatków zbożowych z mlekiem, podczas gdy jego matka i ja dotrzymywaliśmy mu towarzystwa, pijąc kawę. Kiedy skończyliśmy, Jenny zaproponowała, żeby pójść na spacer, nim zapadnie zmrok.

– Pokażemy ci z Danem jedno miejsce – powiedziała.

– Jakie miejsce? – spytał Dan.

Jenny schyliła się i zasłaniając usta dłonią, szepnęła mu coś do ucha.

– Zgoda? – spytała, wyprostowując się.

Dan tylko wzruszył ramionami.

Po wyjściu z domu poszliśmy w lewo, minęliśmy tory kolejowe i ruszyliśmy dalej ulicą Ohio, porządnie wyasfaltowaną i niemal pozbawioną zabudowań mieszkalnych i sklepów, która ciągnęła się za miasto. Jakies pięćset metrów dalej przed gęstą brzezina wznosił się otoczony trawnikiem biały budynek przypominający ogromny spichlerz. Na fasadzie widniał czerwony napis: *Veteran of Foreign Wars Post 6759*; obok czerwonego napisu inny, mniejszy, podobny do tego na froncie Bud's Bar, tylko ozdobiony amerykańską flagą;

było tam napisane: *Support our troops*. Budynek sprawiał wrażenie pustego, ale to nie mogła być prawda, bo przed wejściem stało zaparkowanych kilka samochodów; kiedy podeszliśmy, Jenny powiedziała:

– To klub weteranów wojennych. Są wszędzie. Organizują festyny, spotkania i podobne rzeczy. Tylko raz byłam w środku, ale wiem, że Rodney zachodził tu dość często, kiedy jeszcze się nie znaliśmy, tak mi przynajmniej mówił. Chcesz, żebyśmy weszli?

Powiedziałem, że nie trzeba, i rozmawiając, oddaliśmy się od klubu wydeptaną ścieżką wzdłuż szosy, Dan w środku, a Jenny i ja po jego dwóch stronach, Jenny trzymała Dana za lewą, a ja za prawą rękę. Po chwili porzuciliśmy szosę, skręciliśmy w lewo drogą wznoszącą się łagodnie wśród pól młodej kukurydzy i doszedłszy do szczytu niedużego pagórka, zeszliśmy z drogi, wchodząc w obręb nieregularnego, porośniętego trawą czworoboku z kilkoma rozmieszczonymi chaotycznie grobami, pośród których rosły dwa jesiony żywiące się ziemią umarłych oraz wznosił się zardzewiały żelazny maszt, bez flagi. Dan puścił nasze dłonie, pobiegł przed siebie po trawie cmentarza i stanął przed płytą z nieoszlifowanego kamienia.

– Tu jest – powiedział, wskazując palcem grób, kiedy do niego podeszliśmy.

Spojrzałem na płytę. Był na niej wyryty rysunek chłopca czytającego w cieniu drzewa i napis: „Rodney Falk. 6 IV 1948–4 I 2004”; pod napisem leżał bukiet świeżych kwiatów. „Jasne, dobrze oświetlone miejsce”, pomyślałem. Staliśmy we trójkę przed grobem, w milczeniu.

– Tak naprawdę to go nie ma – odezwał się w końcu Dan. Chwilę się zastanowił i zapytał: – Gdzie jest, kiedy nie żyje?

Pytanie nie było skierowane do nikogo, ale spodziewałem się, że Jenny odpowie; nie odpowiedziała. Po kilku sekundach poczułem się zobowiązany, żeby zabrać głos:

– Nigdzie.

– Nigdzie? – Dan zapytał z naciskiem.

– Nigdzie – powtórzyłem.

Dan zamyślił się.

– Jest się wtedy jak upiór? – zapytał.

– Właśnie – przytaknąłem, a potem mimowolnie skłamałem: – Tyle że upiory nie istnieją, a zmarli tak.

Dan odwrócił w końcu oczy od płyty nagrobnej i muskając mnie przelotnie wzrokiem, zamarkował uśmiech, jakby był pewien, że nie zrozumiał, a równocześnie nie chciał, żeby można to było po nim poznać. Potem zostawił nas i poszedł na koniec cmentarza, za którym w pewnej odległości widać było skupisko domów z odpadającym tynkiem, pewnie niezamieszkanym, i tam zaczął podnosić z ziemi otoczaki i ciskać je z całej siły na pobliskie pole: połać nieużytków porośniętych tylko zielskiem. Jenny i ja staliśmy obok siebie, bez słowa, spoglądając to na Dana, to na grób Rodneya. Zapadał zmierzch i robiło się coraz chłodniej: niebo przybrało granatową, niemal czarną barwę, ale horyzont rozświetlała jeszcze szczelina pomarańczowego światła i tylko przedwczesne cykanie świerszczy i stłumiony, daleki odgłos samochodów zakłócały cmentarną ciszę pagórka.

– No, cóż – powiedziała Jenny po chwili, w której nic nie myślałem, nic nie czułem, nawet ochoty, żeby się modlić. – Robi się

późno. Wracamy?

Prawie już zapadła noc, kiedy dotarliśmy do domu. Byłem umówiony w Urbanie na kolację z Borghesonem i grupą wykładowców, powinienem niezwłocznie wyruszyć, żeby się nie spóźnić, powiedziałem więc Danowi i Jenny, że muszę się zbierać. Oboje popatrzyli na mnie trochę zdezorientowani, jakby moje słowa, bardziej niż zaskoczeniem były zapowiedzią dezercji; po chwili wahania Jenny zapytała:

– To jakaś ważna kolacja?

Nie była ważna. Wcale nie była ważna. Powiedziałem to.

– To dlaczego jej nie odwołasz? – zapytała. – Możesz tu zostać na noc, miejsca jest aż nadto.

Nie trzeba było powtarzać mi tego dwa razy: zadzwoniłem do Borghesona i powiedziałem, że czuję się zmęczony i przeziębiony i że będzie lepiej, jak odwołamy kolację, a ja odpocznę w hotelu, bo to mi dobrze zrobi przed jutrzejszym wystąpieniem. Borgheson przyjął moje kłamstwa bez cienia protestu, choć sporo mnie kosztowało przekonanie go, żeby nie przyjeżdżał z lekarstwami do Chancellora. Pozbywszy się tego problemu, zaprosiłem Dana i Jenny na kolację do restauracji Kennedy's znajdującej się kilka kilometrów za miastem w kierunku Urbany i przy deserze, kiedy Dan grał w gameboya z kolegą ze szkoły, którego rodzina też tam jadła kolację, Jenny powiedziała mi, jak poznała Rodneya, opowiadała o swojej pracy, rodzinie, o swoim życiu w Rantoul. Wyszliśmy z restauracji o dziesiątej. W drodze powrotnej Dan zasnął, wniosłem go na rękach do domu, potem do jego pokoju na piętrze, i czekając, aż Jenny ułoży go do snu, zszedłem do salonu i zacząłem szperać wśród płyt CD poukładanych w aluminiowym stojaku przy wieży.

Najwięcej było rock and rolla, kilka płyt Boba Dylana. Znalazłem wśród nich *Bringing it all back home*, płytę z dobrze znanym mi utworem: *It's all right, ma (I'm only bleeding)*. Wziąłem płytę do ręki i w głowie zabrzmiała mi ta smutna piosenka, która Rodneyowi jednak niezmiennie przywracała radość młodzińskich lat, i nagle, kiedy w oczekiwaniu na Jenny przypomniałem sobie dokładnie także słowa, zrozumiałem, że w gruncie rzeczy to piosenka o Rodneyu, o przekreślonym życiu Rodneya, ponieważ mówi o słowach pozbawionych złudzeń, jazgoczących niczym wystrzeliwane kule, i o cmentarzach pełnych fałszywych bogów, i o samotnych ludziach, którzy płaczą, czują strach i są sami, wiedząc, że wszystko jest kłamstwem i że zbyt wcześnie zdali sobie sprawę, że nie warto starać się rozumieć, o tym właśnie jest ta piosenka, a już szczególnie o tym, że ten, kto nie jest zajęty umieraniem, jest zajęty życiem. „Teraz Rodney zajęty jest już tylko umieraniem”, pomyślałem. I pomyślałem: „Ja jeszcze nie”.

– Masz ochotę posłuchać muzyki? – zapytała Jenny, wchodząc do pokoju.

Przytaknąłem, a ona włączyła wieżę i wyszła do kuchni. Nie uległem pokusie, by puścić Dylana, lecz nastawiłem *Astral weeks* Vana Morrisona, a kiedy Jenny wróciła do pokoju, niosąc butelkę wina i dwa kieliszki, usiedliśmy naprzeciw siebie i przy włączonej muzyce wdaliśmy się w ożywioną rozmowę, zachęteni alkoholem i chropowatym głosem Vana Morrisona. Nie przypominam sobie, o czym rozmawialiśmy na początku, dobrze jednak pamiętam, że po jakimś czasie, nie mam pewności z jakiego powodu (może w związku z czymś, co sam powiedziałem, ale raczej w związku z czymś, co powiedziała Jenny) przypomniałem sobie nagle list

Rodneya do ojca napisany ze szpitala w Wietnamie po incydencie w My Khe, list, w którym jest mowa o pięknie wojny, o niszczycielskiej prędkości wojny, i pomyślałem wówczas, że od przyjazdu do Rantoul nie opuszczało mnie wrażenie, jakby wszystko przyspieszyło, wszystko zaczęłotoczyć się szybciej niż zazwyczaj, coraz szybciej, szybciej, szybciej, w jakimś momencie nastąpił błysk, zawirowanie i strata, pomyślałem, że bezwiednie podróżowałem szybciej niż światło i że teraz miałem przed oczyma przyszłość. I wtedy też, słysząc muzykę Vana Morrisona i głos Jenny, poczułem po raz pierwszy coś niezwykłego i znajomego zarazem, coś, co chyba przeczułem intuicyjnie, bez słów, na widok Dana i Jenny idących ku mnie tamtego popołudnia Belle Avenue, to mianowicie, że nic nie może mnie zranić w tym domu, który nie jest moim domem, w obecności tej kobiety, która nie jest moją kobietą, przy tym śpiącym dziecku, które nie jest moim dzieckiem, ale śpi w sypialni na górze, jakbym to ja był jego ojcem, i podczas gdy za oknem migotliwie wstawał brzask, zadałem sobie pytanie, czy nie jest moim obowiązkiem nadanie jakiegoś sensu samobójstwu Rodneya, czy dom, w którym się znajduję, nie jest odbiciem mojego domu, a Dan i Jenny czy nie są odbiciem mojej utraconej rodziny, zadałem sobie pytanie, czy to właśnie się widzi, wychodząc z ciemności podziemia w jasność otwartej przestrzeni, czy przeszłość nie jest miejscem stale zmienianym przez przyszłość i nic, co już się wydarzyło, nie jest nieodwracalne, a to, co znajduje się na końcu tunelu, nie powieli tego, co znajdowało się przed wejściem, zadałem sobie pytanie, czy to nie prawdziwy koniec wszystkiego, wyłom w kamiennych drzwiach. Tym razem tak, pomyślałem ogarnięty dziwną euforią. Skończyło się. Finito. Kaputt.

Gdy tylko myśl ta przyszła mi do głowy, przerwałem Jenny.

– Jest coś, o czym ci nie powiedziałem.

Spojrzała na mnie odrobinę zaskoczona moją bezceremonialnością, a ja nagle poczułem pustkę w głowie i szukałem słów, żeby opowiedzieć to, co musiałem opowiedzieć. Po sekundzie już wiedziałem. Wyjąłem z portfela zdjęcie Gabriela, Pauli i Rodneya na moście Les Peixeteries Velles i podałem je Jenny. Wzięła ode mnie fotografię i przyjrzała się jej uważnie. Potem zapytała:

– To twoja żona i twój syn?

– Tak – odpowiedziałem i czując zimny dreszcz, pełznący mi po karku jak żmija, dodałem, jakby mówił to ktoś inny, nie ja: – Nie żyją od roku, zginęli w wypadku samochodowym. To jedyne ich zdjęcie, jakie mam.

Jenny uniosła wzrok znad fotografii i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że już nie słychać płyty Vana Morrisona; zdawało się, jakby rzeczywistość zwolniła, odzyskując swoją zwyczajną prędkość.

– Po co przyjechałeś? – spytała Jenny.

– Nie wiem – odparłem, choć dobrze to wiedziałem. – Byłem na dnie i chciałem spotkać się z Rodneyem. Chyba sądziłem, że Rodney też był kiedyś na dnie i wyszedł z tego. A właściwie sądziłem chyba, że on może mi pomóc... Wiem, że to wszystko brzmi trochę śmiesznie i pewnie nie widzisz w tym żadnego sensu, ale tak chyba sądziłem.

– To ma sens – odpowiedziała bez wahania Jenny.

Teraz ja na nią spojrzałem.

– Naprawdę?

– Oczywiście – potwierdziła z leciutkim uśmiechem, a przy kącikach ust znowu zarysowała się siateczka drobniutkich zmarszczek. Wiedziałem od razu albo tak podejrzewałem, że skoro Jenny dzieliła życie z Rodneyem, to jej słowa nie mogą wynikać ze współczucia, lecz że mówi ona prawdę, którą rozumie, którą tylko ona może rozumieć; od razu znalazłem się pod delikatnym wpływem jej uroku i nagle zdało mi się, że rozumiem, jak mogła zauroczyć Rodneya. Powiedziała, jakby uznała całą sprawę za zamkniętą albo niewartą zajmowania się nią dłużej: – Poczucie winy. Niełatwo to pojąć. Ja też mogłabym obwiniać się o śmierć Rodneya, wiesz? Łatwo jest wskazywać winnych; trudno jest pogodzić się z tym, że winnych nie ma.

Nie byłem pewien, co chciała przez to powiedzieć, ale z jakiegoś powodu przypomniałem sobie słowa Rodneya z jego listu do ojca: „To, co ma sens, nie jest prawdą, lecz czymś spreparowanym, urojeniem: prawda zawsze jest absurdalna”. Jenny dopiła wino z kieliszka.

– Mam nagranie tego reportażu – powiedziała, jakby nie zmieniała wcale tematu rozmowy i zaraz miała mi udzielić prawdziwej odpowiedzi na wypowiedzianą przeze mnie wątpliwość. – Chcesz obejrzeć?

Wprawiła mnie w zakłopotanie, bo nie byłem przygotowany na taką propozycję. W pierwszym odruchu pomyślałem, że nie chcę oglądać; potem pomyślałem, że jednak chcę; potem pomyślałem, że chcę, ale nie powinienem; potem pomyślałem, że chcę i powinienem obejrzeć. Zapytałem:

– Ty widziałas?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Jenny. – Po co?

Jenny poszła na piętro i po chwili wróciła z kasetą wideo, jakby moje pytanie było odpowiedzią twierdzącą, i poprosiła, żebym przeszedł do pokoju między salonem i kuchnią, przy schodach; w pokoju stały sofa, dwa fotele, stoliczek i telewizor. Usiadłem na sofie, tymczasem Jenny włączyła telewizor, wsunęła kasetę do odtwarzacza i podała mi pilota.

– Poczekam na górze – powiedziała.

Usadoviłem się wygodnie i nacisnąłem w pilocie przycisk *play*; reportaż nosił tytuł *Skrywane tajemnice, brutalne prawdy* i trwał około czterdziestu minut. Zawierał czarno-białe zdjęcia archiwalne z filmów dokumentalnych o wojnie oraz współczesne zdjęcia w kolorze, przedstawiające wioski i okolice z regionów Quang Ngai i Quang Nam, a także kilka wypowiedzi okolicznych wieśniaków. Dwa bloki materiału filmowego połączone były aseptycznym głosem dobiegającym z offu oraz relacją weterana z Wietnamu. Głos z offu przedstawiał pokrótce historię zbrodni wojennych popełnionych trzydzieści pięć lat wcześniej przez doborowy i słynący z okrucieństwa pluton, który wchodził w skład 101. Dywizji Spadochronowej amerykańskiej armii i prowadził operacje w Quang Ngai i Quang Nam, zamieniając je w ogromny obóz zagłady. Pluton, znany pod nazwą Tiger Force, składał się z czterdziestu czterech ochotników, współdziałał z innymi jednostkami, cieszył się jednak wielką swobodą i praktycznie był pozbawiony nadzoru; żołnierze nosili charakterystyczne mundury w tygrysie pasy; lista popełnionych przez nich zbrodni nie miała końca: w okresie między styczniem i lipcem 1969 roku żołnierze Tiger Force zamordowali albo okaleczyli setki osób, dopuścili się niezliczonych gwałtów, zdobyli ponurą sławę wśród sterroryzowanej ludności tych okolic, nosząc

naszyjniki z ludzkich uszu nanizanych na sznurowadła, niczym przerażające trofea wojenne. Pod koniec reportażu głos z offu wspominał o raporcie Pentagonu, zatuzszowanym przez Biały Dom w 1974 roku pod pretekstem nierozdrapywania świeżo zamkniętych ran. Co do weterana, to siedział nieruchomo w fotelu, sfilmowano go pod światło, tak że w miejscu twarzy widać było ciemną plamę; jego głos natomiast – chrapliwy, zimny, wycofany – nie został zmieniony: ponad wszelką wątpliwość był to głos Rodneya. Opowiadał o zdarzeniach, wygłaszał też komentarze. „Teraz trudno to wszystko zrozumieć – mówił na przykład głos. – Ale w pewnej chwili była to dla nas rzecz najbardziej naturalna pod słońcem. Początkowo wymagała trochę wysiłku, ale szybko się przyzwyczajałeś i traktowałeś jak każdą inną pracę”. „Czuliśmy się bogami – mówił głos. – I byliśmy nimi w pewien sposób. Mieliśmy władzę decydowania o życiu i śmierci każdego człowieka i korzystaliśmy z tej władzy”. „Długie lata nie mogłem zapomnieć ani jednej osoby, której śmierć widziałem – mówił głos. – Wszyscy ci ludzie ciągle stawali mi przed oczyma, jakby byli żywi i nie chcieli umrzeć, jakby byli upiorami. Potem zdołałem zapomnieć czy też tak mi się wydawało, choć w głębi duszy wiedziałem, że nie odeszli. Teraz wrócili. Nie domagają się wyrównania rachunków ani ja się nie tłumaczę. Nie ma rachunków do wyrównania. Tylko oni nie chcą umrzeć, chcą żyć we mnie. Nie skarżę się, bo wiem, że to sprawiedliwe”. Na koniec głos wypowiadał następujące słowa: „Mogą państwo uważać, że byliśmy potworami, ale nie byliśmy. Byliśmy tacy jak wszyscy. Byliśmy tacy jak wy”.

Reportaż skończył się, a ja siedziałem jeszcze chwilę na sofie, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, ze wzrokiem wbitym

w śnieżną burzę na ekranie telewizora. Potem wyjąłem kasetę z odtwarzacza, zgasłem telewizor i wyszedłem na werandę. Cisza spowijała miasto, na niebie błyszczały gwiazdy; było chłodno. Zapaliłem papierosa i zaciągałem się nim bez pośpiechu, wsłuchując się w ciszę wieczoru. Nie czułem przerażenia, nie czułem mdłości ani nawet smutku, po raz pierwszy od bardzo dawna nie czułem też niepokoju; czułem coś dziwnie przyjemnego, co nigdy wcześniej nie było moim udziałem, coś jakby bezbrzeżne wyczerpanie albo bezgraniczny spokój, albo jak namiastka wyczerpania lub spokoju, coś co sprawiało, że miałem tylko ochotę wpatrywać się nadal w noc i płakać. „Nicości nasza, która jesteś w nicości”, wypowiedziałem słowa modlitwy. „Nicość imię twoje, nicość królestwo twoje, bądź nicość twoja, jako w nicości tak i w nicości”. Wypaliwszy papierosa, wróciłem do domu i wszedłem na piętro. Jenny spała z książką na kołdrze i z zapalonym światłem; obok niej spał zwinięty w kłębek Dan. W pokoju obok również paliło się światło i było posłane łóżko, zapewne Jenny przygotowała je dla mnie. Zgasłem światło w pokoju Jenny i Dana, zgasłem u siebie i położyłem się do łóżka.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć, a nazajutrz zbudziłem się wcześniej rano. Kiedy Dan i Jenny wstali, śniadanie było już prawie gotowe. Jedliśmy pospiesznie, bo był poniedziałek i Dan szedł do szkoły, a Jenny do pracy, unikałem wzroku Jenny, a na koniec zaproponowałem, że ich podwiozę. Szkoła Dana, jak powiedziała Jenny, gdy zatrzymałem już samochód przed okazałym trzypiętrowym budynkiem z cegły, z wielką żelazną bramą prowadzącą na podwórze otoczone metalowym ogrodzeniem, była tą samą, w której uczył Rodney. Przed bramą stała już grupka rodziców i dzieci. Dołączyliśmy do grupy i kiedy wreszcie otwarto

bramę, Dan pocałował matkę; potem odwrócił się w moją stronę i przyglądając mi się uważnie wielkimi brązowymi oczyma Rodneya, spytał, czy wrócę. Powiedziałem, że tak. Zapytał mnie kiedy. Powiedziałem, że niedługo. Zapytał mnie, czy go nie okłamuję. Powiedziałem, że nie. Skinął głową. Myślałem, że pocałuje mnie na pożegnanie, więc chciałem przykucnąć, ale powstrzymał mnie, wyciągając rękę; uścisnąłem ją. Potem patrzyliśmy za nim, jak oddala się z dziecięcym plecakiem i znika na dziedzińcu, wśród wrzawy dziecięcych głosów.

Po drodze do samochodu Jenny zaproponowała, żebyśmy wypili kawę, bo jak powiedziała, zostało jej jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia pracy. Weszliśmy do Casey's General Store i usiedliśmy przy oknie wychodzącym na dystrybutory benzyny, a dalej na skrzyżowanie przy wjeździe do miasta; z głośników sączyła się po cichu jakaś melodia country. W kelnerce, która nas obsługiwała, rozpoznałem tę samą, która w niedzielę wskazała mi niedbale drogę do domu Rodneya. Jenny zamieniła z nią kilka słów i zamówiliśmy dwie kawy.

– Rodney wspomniał mi po powrocie z Hiszpanii, że chciałeś napisać o nim książkę – powiedziała Jenny, kiedy kelnerka odeszła.
– To prawda?

Nie spodziewałem się takiego pytania, byłem przygotowany, że zapyta mnie o reportaż. Spojrzałem na nią: jej szare oczy przybrały fioletowy odcień i zdradzały zaciekawienie wykraczające poza ramy pytania, albo tak mi się wydawało. Moja odpowiedź była:

– Tak.

– Napisałeś?

Powiedziałem, że nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem i przypomniałem sobie rozmowę przeprowadzoną na ten sam temat z Rodneyem w Madrycie. – Kilkakrotnie próbowałem, ale nie mogłem. Albo nie umiałem. Chyba czułem, że jego historia nie jest skończona albo że jej do końca nie rozumiem.

– A teraz? – spytała Jenny.

– Co teraz?

– Teraz jest skończona? – spytała ponownie. – Teraz ją rozumiesz?

W nagłym olśnieniu zdało mi się, że zrozumiałem wreszcie całe zachowanie Jenny od chwili mojego przyjazdu do Rantoul. Zrozumiałem chyba, dlaczego opowiedziała mi o ostatnich dniach życia Rodneya, dlaczego pokazała mi jego grób, dlaczego chciała, żebym został na noc w jego domu, dlaczego chciała, żebym zobaczył reportaż o Tiger Force: Jenny chciała, żebym opowiedział historię Rodneya, jakby słowa miały moc nadawania sensu albo złudzenia sensu temu, co sensu nie ma. Pomyślałem o Rodneyu, pomyślałem o ojcu Rodneya, pomyślałem o Tommym Birbanie, a przede wszystkim pomyślałem o Gabrieli i o Pauli i po raz pierwszy wyczułem instynktownie, że wszystkie te historie są w rzeczywistości jedną i tą samą historią i że tylko ja mogę ją opowiedzieć.

– Nie wiem, czy jest skończona – odpowiedziałem. – Nie wiem też, czy ją rozumiem albo czy całkowicie ją rozumiem. – Znowu pomyślałem o Rodneyu i powiedziałem: – Możliwe jednak, że nie trzeba całkowicie rozumieć jakiejś historii, żeby móc ją opowiedzieć.

Kelnerka postawiła przed nami dwie filiżanki. Kiedy odeszła, Jenny spytała, mieszając swoją kawę:

– Czego nie rozumiesz? Dlaczego to zrobił?

Nie od razu jej odpowiedziałem: upiłem łyk kawy i zapaliłem papierosa, czując dreszcz na wspomnienie reportażu.

– Nie. Myślę, że tak naprawdę to jest jedyne, co rozumiem – powiedziałem i dodałem, jakbym myślał na głos: – Nie rozumiem być może, dlaczego sam tego nie zrobiłem.

Jej filiżanka zawisła w powietrzu, w połowie drogi między stolikiem i ustami, a sama Jenny spojrzała na mnie niepewnie, jakby właśnie nabrała podejrzeń, że ma do czynienia z wariatem albo jakby wypowiedziana przeze mnie uwaga była w sposób oczywisty absurdalna. Potem odwróciła wzrok w stronę okna (jej twarz znalazła się w pełnym słońcu, złoty kolczyk od mojej strony połyskiwał w słonecznych promieniach) i popadła w zadumę, wreszcie znowu na mnie spojrzała, uśmiechając się delikatnie, a filiżanka w jej ręce dokończyła swą podróż do ust, zwilżyła usta kawą i wróciła na spodeczek na stole.

– No cóż, starałam się wytłumaczyć ci to wczoraj: nikogo nie zabiłeś. – Okłamała mnie, przemknęło mi przez głowę. Widziała ten reportaż. Odrzuciłem jednak to podejrzenie, gdy dodała: – Nie zabiłeś nikogo nawet przypadkiem. Zresztą, jesteś przecież pisarzem, mam rację?

– A co to ma do rzeczy?

– Wszystko.

– Wszystko?

– Oczywiście. Nie rozumiesz?

Nic nie powiedziałem i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, wreszcie Jenny wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze ustami, znowu odwracając wzrok ku oknu; przez chwilę przyglądała się w skupieniu mężczyźnie napełniającemu benzyną bak swojego samochodu, a kiedy znowu odwróciła się w moją stronę, poczułem, jak ogarnia mnie jakaś dziwna radość, jakbym teraz naprawdę ją rozumiał, a zrozumienie jej pozwoliło mi także zrozumieć wszystko, czego do tej pory nie rozumiałem. Dokończyłem kawę; Jenny zrobiła to samo.

– Robi się późno – powiedziała. – Idziemy?

Zapłaciliśmy i wyszliśmy. Jenny odprowadziła mnie do samochodu, a ja zapytałem, czy ją podwieźć.

– Nie trzeba – powiedziała. – To blisko. – Wyjęła z torebki notes, napisała coś szybko na kartce, wyrwała kartkę i podała mi. – Mój adres mejlowy. Jeśli zdecydujesz się napisać książkę, daj mi znać. I jeszcze jedno: nie zwracaj uwagi na Dana.

– Co masz na myśli?

– To, co ci powiedział przed szkolną bramą – wyjaśniła.

– Ach – powiedziałem.

Na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji albo usprawiedliwienia.

– Pewnie szuka ojca – rzuciła.

– Nie przejmuj się. Pewnie ja szukam syna – rzuciłem.

Jenny pokiwała głową, prawie bez uśmiechu; sądziłem, że coś powie, ale nic nie powiedziała. Włożyła rękę do kieszeni spodni, co uznałem za objaw nieśmiałości lub zakłopotania, jakby nie wiedziała, jak powinniśmy się pożegnać, potem jednak wyciągnęła do mnie rękę; ściskając jej dłoń, wyczułem coś chłodnego

i metalicznego; to była zippo Rodneya. Jenny nie pozwoliła mi nic powiedzieć.

– Do widzenia – pożegnała się.

Odwróciła się i zaczęła oddalać. Po chwili wahania schowałem zippo do kieszeni, wsiadłem do samochodu, włączyłem silnik i czekając na odpowiedni moment, żeby włączyć się do ruchu na ulicy wyjazdowej z Rantoul, popatrzyłem w lewą stronę i zobaczyłem jeszcze Jenny w oddali, jak idzie po zacienionej stronie ulicy, samotna, zdecydowana i delikatna, a jednak z jakąś niezłomną wewnętrzną dumą, i jak staje się coraz mniejsza w miarę zagłębiania się w miasto, i sam nie wiem, dlaczego pomyślałem o ptaku, kolibrze albo czapli czy też raczej o jaskółce, pomyślałem o impulsywnym i odważnym locie jaskółki, a potem pomyślałem o plakacie z Johnem Wayne'em na ścianie w Bud's Bar, który Rodney musiał tyle razy widzieć i Jenny na pewno też, myślałem absurdalnie o tych dwóch rzeczach, spoglądając nadal za nią w nadziei, że w pewnej chwili zda sobie sprawę z tego mojego na nią patrzenia i odwróci się, i popatrzy w moją stronę, jakby ten ostatni gest mógł być zarazem nieomylnym znakiem przyzwolenia. Ale Jenny nie odwróciła się, nie popatrzyła w moją stronę, ruszyłem więc i wyjechałem z Rantoul.

Kiedy tamtego ranka przyjechałem do Urbany, miałem już w głowie dosyć szczegółowy plan tego, co będę robił w najbliższych latach; plan ten dopuszczał oczywiście możliwość pewnej weryfikacji w zderzeniu z rzeczywistością, nie do tego stopnia wszakże, by zmienić się całkowicie. A jednak uległ diametralnej zmianie i nigdy nie będę wiedział, czy na dobre, czy na złe.

Wróciłem do Hiszpanii po niecierpliwym dopełnieniu reszty obowiązków w Urbanie i w Los Angeles i zaraz po wylądowaniu w Barcelonie zacząłem szukać nowego mieszkania, bo wszedłszy do starego, przy Sagrada Familia, natychmiast zdałem sobie sprawę, jaka to odstręczająca nora. Mieszkanie znalazłem szybko – mały, ale bardzo jasny apartamencik przy ulicy Floridablanca, niedaleko plaza de España – i kiedy się w nim zainstalowałem, przystąpiłem do pisania tej książki. Od tamtej chwili nie robię niemal nic poza tym. Od tamtej chwili – a wkrótce będzie już sześć miesięcy – czuję, że prowadzę życie, które nie jest prawdziwe, lecz fałszywe, życie podziemne, skryte i apokryficzne, ale prawdziwsze od prawdziwego. Zmiana mieszkania pozwoliła mi łatwo zatrzeć ślady, do niedawna więc nikt nie wiedział, gdzie mieszkam. Nikogo nie widywałem, z nikim nie rozmawiałem, nie czytałem gazet, nie oglądałem telewizji, nie słuchałem radia. Byłem bardziej żywy niż kiedykolwiek, ale czułem się, jakbym nie żył i jakby pisanie było jedynym sposobem przywoływania życia, ostatnim z nim połączeniem. Pisanie i – do niedawna – Jenny. Bo po moim powrocie z Urbany zaczęliśmy z Jenny pisać do siebie niemal codziennie. Początkowo nasza korespondencja odnosiła się wyłącznie do książki o Rodneyu: zadawałem jej pytania, prosiłem o szczegóły i wyjaśnienia, a ona odpisywała skwapliwie i starannie; potem, stopniowo i prawie niezauważalnie, nasze listy zaczęły dotyczyć innych spraw – Dana, Rantoul, życia jej i Dana w Rantoul, mnie i mojego niewidocznego życia w Barcelonie, czasem Pauli i Gabriela – i już po kilku tygodniach odkryłem z zadowoleniem, że taki sposób komunikowania się pozwala na największą zażyłość albo wręcz takiej zażyłości sprzyja. Tak rozpoczął się długi, powolny,

skomplikowany, zawiły i delikatny proces uwodzenia. Może to niewłaściwe słowo: może odpowiednim słowem byłoby „przekonywanie”. Albo „udowadnianie”. Nie wiem, jakie słowo wybrałaby Jenny. Nieważne; to nie słowa są ważne, lecz fakty. I faktem jest, że będąc pochłonięty tym procesem na równi z pisaniem książki, ciągle wyobrażałem sobie życie czekające mnie po zakończeniu obu czynności, gdy zamieszkać z Danem i Jenny w Rantoul. Wyobrażałem sobie spokojne życie na prowincji, takie, którego kiedyś się bałem, które potem prowadziłem i w końcu zniszczyłem, życie również apokryficzne i prawdziwe gdzieś tam. Wyobrażałem sobie, jak wstaję codziennie wczesnym rankiem, jem śniadanie razem z Danem i Jenny, odwożę ich do szkoły i do pracy, a potem zamykam się w pokoju, żeby pisać do chwili, kiedy trzeba najpierw Dana odebrać ze szkoły, a potem Jenny z pracy, jadę po nich i wracamy do domu, i przygotowujemy kolację, i jemy kolację, a po kolacji bawimy się albo czytamy, albo oglądamy telewizję i rozmawiamy, dopóki sen nas nie zmorzy i żadne z nas nie będzie chciało przyznać, nawet samo przed sobą, że ta codzienna rutyna jest w rzeczywistości rodzajem czarów, magicznym zaklęciem, dzięki któremu chcielibyśmy cofnąć przeszłość i umarłych obudzić do życia. Kiedy indziej znów wyobrażałem sobie, że leżę w hamaku, w ogrodzie za domem, obok szopy, w której kiedyś, dawno, tak dawno, że wydaje się to nierealne, powiesił się Rodney, jest sobotnie popołudnie, albo niedziela na początku wiosny, albo na początku gorącego lata w Rantoul, obok mnie Dan i jego koledzy krzyczą i bawią się, a ja czytam sobie, a to Hemingwaya, a to Thoreau, a to znowu Emersona, czasami nawet Mercè Redoredę, słucham Boba Dylana i wspólnie z Jenny popijam whisky i palę z nią na spółkę

skręta z marihuany, a ona chodzi między domem i ogrodem; śmierć Gabriela i Pauli byłyby wówczas bardzo odległe, Wietnam byłby bardzo odległy, sukces i sława byłyby tak odległe jak obłoczki przesłaniające co jakiś czas słońce i poczułbym się wtedy jak ten hippis, którym trzydzieści lat wcześniej był zapewne Rodney i którym chciał być zawsze. Czułbym się w tym stanie, jak sobie wyobrażałem, szczęśliwy i odrobinę oszołomiony, w jakiś sposób zmieniony w Rodneya albo w narzędzie Rodneya, spoglądając na Dana tak, jakbym w rzeczywistości spoglądał na Gabriela, spoglądając na Jenny tak, jakbym w rzeczywistości spoglądał na Paulę. I kiedy podczas tych miesięcy w Barcelonie tak wyobrażałem sobie moje przyszłe szczęśliwe życie w Rantoul i nadal powoli i zawile uwodziłem albo przekonywałem Jenny w intymnym zaciszu poczty elektronicznej, to równocześnie każdego dnia, bez wyjątku, siadałem przy tym biurku i oddawałem się bez reszty wypełnianiu długo odwlekanego zadania napisania tej historii, do czego Rodney przygotowywał mnie pewnie od zawsze, historii, której nie rozumiem i nigdy nie zrozumie, a mimo to – jak wyobraziłem sobie podczas pisania – miałem obowiązek jej opowiedzenia, bo stanie się zrozumiała tylko wtedy, gdy zostanie opowiedziana przez kogoś, kto – jak ja – nigdy jej do końca nie zrozumie, a przede wszystkim dlatego, że to także moja historia oraz historia Gabriela i historia Pauli. Tak więc długi czas pisałem, uwodziłem, przekonywałem, udowadniałem i wyobrażałem sobie przyszłość, aż któregoś dnia, kiedy poczułem, że proces uwodzenia osiągnął swoją pełnię i ujrzałem zbliżający się już koniec książki, choć nie wiedziałem jeszcze, jak konkretnie się zakończy, postanowiłem otwarcie przedstawić Jenny moje plany. Uczyniłem to bez obawy

i bez owijania w bawełnę, jakbym przypominał jej o zobowiązaniu powziętym dużo wcześniej przez nas oboje, akceptujących niejako szczęśliwe przeznaczenie, bo w owym czasie, po miesiącach codziennej niemal korespondencji i coraz bardziej otwartego sugerowania jej swoich zamiarów, byłem pewien, że słowa te jej nie zaskoczą i że przyjmie je z radością.

Stało się inaczej. To niewiarygodne – przynajmniej dla mnie było to niewiarygodne – ale oba moje przypuszczenia były chybione. Jenny długo nie odpowiadała na mój list, a kiedy wreszcie to zrobiła, podziękowała mi za propozycję i odrzuciła ją serdecznie, lecz kategorycznie. „To by się nie udało – napisała. – Nie wystarczy założyć, że coś się zdarzy, aby to się zdarzyło, nie wystarczy tego pragnąć. To nie algebra, nie geometria: w przypadku osób dwa i dwa nie zawsze równa się cztery. Chcę przez to powiedzieć, że nie można nikogo zastąpić: Dan nie może zastąpić Gabriela, ja nie mogę zastąpić Pauli; ty, choćbyś bardzo chciał, nie możesz zastąpić Rodneya”. „Dokończ książkę – pisała na koniec Jenny. – Jesteś to winien Rodneyowi. Jesteś to winien Gabrielowi i Pauli. Jesteś to winien Danowi i mnie. Przede wszystkim jesteś to sobie winien. Dokończ ją, a potem, jeżeli masz ochotę, przyjedź na kilka dni do nas. Będziemy na ciebie czekać”. Odpowiedź Jenny zupełnie mnie zniszczyła, odebrała zdolność reakcji, jakbym został spoliczkowany i nie wiedział, kto ani dlaczego dał mi w twarz. Przeczytałem list ponownie i jeszcze raz; rozumiałem wszystkie słowa, ale nie potrafiłem przyjąć do wiadomości jego treści. Byłem tak przekonany, że moja przyszłość jest w Rantoul, z Danem i z Jenny, że nie wyobraziłem sobie nawet innej przyszłości, na wypadek gdyby ta okazała się złudzeniem lub gdyby się nie ziściła. Poza tym

Jenny odmówiła tak zdecydowanie, użyła tak niezbitych argumentów, że nie czułem się na siłach podjąć z nimi dyskusję i ponowić swą propozycję.

Nie odpowiedziałem na list Jenny: nie ma magicznego zaklęcia, nie będzie żadnych czarów, nie odzyskam tego, co utraciłem. Poczułem nagle, że wracam do dawnego, podziemnego życia; wydało mi się, że dalsze pisanie książki jest nonsensem. I już miałem definitywnie się wycofać, kiedy nagle uświadomiłem sobie, jakie konkretnie powinno być zakończenie i dlaczego muszę koniecznie dokończyć pisanie. Otóż zdarzyło się któregoś popołudnia, że wychodząc z domu, żeby zjeść coś w mieście, dostrzegłem w szczelinie mojej skrzynki na listy paczkę papierosów pełną skrętów z marihuaną. Nie mogłem się nie roześmiać. Nazajutrz zatelefonowałem do Marcosa i dwa dni później umówiliśmy się na piwo w El Yate.

Miejsce wybrał Marcos. Przyszedłem przed umówionym czasem, ale mój przyjaciel już tam był, siedział na stołku oparty łokciami o kontuar baru, tyłem do wejścia. Nic nie mówiąc, usiadłem obok niego i zamówiłem piwo; Marcos nie odezwał się do mnie również, nawet nie oderwał wzroku od swojej szklanki. Był czwartek, połowa października, za oknami wychodzącymi na skrzyżowanie Muntaner i Arimon gasło właśnie popołudniowe światło. Czekając na zamówione piwo, zapytałem:

– Jak mnie znalazłeś?

Marcos westchnął.

– Przypadkiem – powiedział. – Zobaczyłem cię któregoś dnia na ulicy i poszedłem za tobą. Wiedziałem, że zmieniłeś mieszkanie,

choć prawdę mówiąc, mogłeś mnie o tym uprzedzić. Sprawy nie mają się tak dobrze, żeby marnować marihuanę.

– Nie zmarnowała się – zaproponowałem. – Jestem pewien, że następny lokator mojego dawnego mieszkania był ci wdzięczny.

– Bardzo zabawne. – Odwrócił głowę w moją stronę i spojrzał na mnie. Potem zapytał: – Jak leci?

Z pewnym lękiem ja też odwróciłem się w jego stronę. Na pierwszy rzut oka nie przypominał podstarzałego czterdziestolatka, jakiego zapamiętałem z naszego ostatniego spotkania w MACBA albo w Palau Robert, tamtego okropnego wieczoru, kiedy usiłowałem poderwać Patricię; sprawiał tylko wrażenie zmęczonego, może znudzonego, jednak sprane dżinsy, niebieski powyciągany sweter i jasnoniebieska koszula wystająca ze spodni nadawały mu dość młodzieńczy wygląd, wbrew łysiejacej i posiwiałej głowie i okularom w szylkretowych, staromodnych oprawkach; na policzkach miał dwudniowy zarost. Przyglądając mu się, czułem równocześnie, że on przygląda się mnie, i nim odpowiedziałem na jego pytanie, zapytałem w myślach sam siebie, czy przypominam mu upiora albo zombi.

– Wszystko dobrze – skłamałem. – A co u ciebie?

– U mnie też w porządku.

Pokiwałem głową. Barman podał mi piwo, pociągnąłem łyk, zapaliłem sobie papierosa, a potem zapaliłem papierosa Marcosowi, który zwrócił uwagę na zippo Rodneya; ja też popatrzyłem na zapalniczkę: wydała mi się przez chwilę jakimś nieprawdopodobnym i dziwnym przedmiotem, małym aerolitem albo skamieliną, albo jakimś reliktem z epoki lodowcowej; zdało mi się nawet, że wygrawerowany na niej pies nie uśmiecha się, ale kpi

sobie ze mnie. Odłożyłem zapalniczkę na kontuar, na paczkę z papierosami; zapytałem:

– Jak się miewa Patricia?

Marcos znowu westchnął.

– Rozstaliśmy się ponad rok temu – powiedział. – Myślałem, że wiesz.

– Nie wiedziałem.

– Właściwie to bez znaczenia – powiedział, pocierając równocześnie ręką swój dwudniowy zarost, jakby istotnie nie przywiązywał do tego wagi; zauważyłem plamę z farby na jego serdecznym palcu. – Przypuszczam, że za długo już byliśmy razem, no cóż... Od kilku miesięcy mieszka w Madrycie, więc się nie widzimy.

Nic nie powiedziałem. Nadal popijaliśmy piwo i paliliśmy w milczeniu i w pewnej chwili nieuchronnie przypomniałem sobie poprzedni raz, kiedy byłem w El Yate, siedemnaście lat wcześniej, z Marcosem i z Marcelem Cuartero, i kiedy ten ostatni zaproponował mi wyjazd do Urbany i wszystko się zaczęło. Powiodłem spojrzeniem po barze. Zapamiętałem luksusowy lokal w eleganckiej części miasta, wówczas zupełnie nie na naszą biedną kieszeń, uczęszczany przez kadry dyrektorskie, błyszczący od luster i wypolerowanego na wysoki połysk drewna, ale miejsce, w którym teraz się znajdowałem, sprawiało wrażenie (przynajmniej na mnie) jakiejś ciemnej prowincjonalnej knajpy: pretensjonalne szczegóły wystroju wnętrza miały przypominać wnętrze jachtu – morskie landszafiki, lampy w kształcie kotwicy, kinkiety na ścianach ze szklanymi kloszami w kształcie rekina, zegar ścienny z wahadłem w kształcie rakiety tenisowej. Okropne różowe zasłonki, zebrane

przy pomalowanych na obrzydliwy zielony kolor framugach okiennych, tacki z obeschniętymi przekąskami, ustawione na matowym kontuarze baru, maszyny do gry mrugające obietnicą szybkiego wzbogacenia, kelnerzy w uniformach przyprószonych łupieżem i klientela składająca się z samotnych kobiet sączących Marie Brizard oraz z samotnych mężczyzn sączących dżin, którzy od czasu do czasu wymieniali między sobą uwagi, jak starzy znajomi, cyniczni i nawykli do alkoholu, upodabniały El Yate bardziej do Bud's Bar niż do mojego wspomnienia. Z papierosem w ręku i z piwem poczułem się tam nagle dobrze, jakbym nigdy nie wychodził z tego lokalu w Barcelonie o klimacie wiejskiej knajpy; zastanowiło mnie, dlaczego Marcos umówił się ze mną właśnie tam.

– Dlaczego tu się ze mną umówiłeś? – zapytałem.

– Dawno tu nie byłem – powiedział. I dodał: – Nic się nie zmieniło.

Zapytałem zdumiony, czy ma na myśli bar.

– Mam na myśli bar, ulicę Pujol, tę dzielnicę, wszystko – odpowiedział. – Założę się, że nasze mieszkanie też się nie zmieniło. Ja pierdołę.

Uśmiechnąłem się.

– Wpadasz w nostalgię?

– W nostalgię? – w jego pytaniu nie było zdumienia, lecz zmęczenie, zmęczenie graniczące z irytacją. – Dlaczego w nostalgię? To wcale nie był najlepszy czas w naszym życiu. Taki się czasami wydaje, ale nie był najlepszy.

– Nie?

– Nie – wyduł pogardliwie usta. – To teraz jesteśmy w naszym najlepszym momencie.

Zapadła cisza, ale zaraz usłyszałem, że Marcos się śmieje; zaraził mnie tym śmiechem, ja też zacząłem się śmiać i na jakiś czas słaby, dziwny i niekontrolowany śmiech przerwał nam rozmowę. Potem Marcos zaproponował, żebyśmy zamówili kolejne piwa, i kiedy na nie czekaliśmy, zapytałem o jego pracę, ot tak, żeby o coś zapytać. Marcos pociągnął łyk piwa, nad górną wargą został mu biały wąs.

– Jakiś rok temu, zaraz potem jak rozstaliśmy się z Patricią, przestałem malować – wyjaśnił. – Malowanie było dla mnie wyłącznie źródłem cierpień. Od miesiący nie sprzedałem ani jednego pieprzonego obrazka, nie mogłem się nawet pocieszać, zwalając całą winę na rynek, choć to zawsze łatwa wymówka, bo czułem, że maluję do dupy. Więc przestałem malować. Nie uwierzysz, jak dobrze się poczułem. Nagle zdałem sobie sprawę, że to wszystko było jednym wielkim, absurdalnym nieporozumieniem: dałem się przekonać czemuś albo komuś, że jestem wielkim artystą, a to nie była prawda, dlatego tak się męczyłem i malowałem takie gówno. Dwadzieścia lat zmierzałem w jakimś kierunku, podczas gdy tak naprawdę chciałem iść gdzie indziej, dwadzieścia lat na nic... Wielkie nieporozumienie. Kiedy to do mnie dotarło, to zamiast się załamać, poczułem się dobrze, zupełnie jakbym zrzucił z siebie jakiś ciężar. Wtedy postanowiłem zmienić swoje życie. – Zaciągnął się i znowu zaczął się śmiać, ale zakrztusił się dymem i zakasłał. – Zmienić życie – podjął na nowo, wypiwszy łyk piwa na oczyszczenie gardła. – Kupa śmiechu. Trzeba być pierdolniętym, żeby wierzyć, że można zmienić swoje życie, zupełnie jakbyśmy w wieku czterdziestu lat nie wiedzieli jeszcze, że to nie my zmieniamy życie, lecz życie zmienia nas. Mniejsza z tym... No więc wynająłem dom na wsi w la Cerdanya i powiedziałem sobie: w cholere z tym wszystkim.

Pierwszy miesiąc był wspaniały: spacerowałem, zajmowałem się ogrodem, gawędziłem z sąsiadami, nie robiłem nic; poznałem nawet dziewczynę, pielęgniarkę z Puigcerdà. Czułem się jak w raju i zacząłem planować, żeby tam zostać na stałe. Ale wszystko się spieprzyło. Najpierw zaczęły się niesnaski z sąsiadami, potem znudziła się mną dziewczyna, potem sam zacząłem się nudzić. Dni wlokły się w nieskończoność, zastanawiałem się, co ja właściwie tam robię. – Zamilkł na chwilę i zapytał: – I wiesz, co wtedy zrobiłem? – Wyobrażałem sobie, niemal byłem pewien, ale pozwoliłem, żeby to Marcos sam odpowiedział sobie na pytanie. – Zacząłem malować. Kto by, kurwa, pomyślał... Zacząłem malować z nudów, żeby zabić czas, bo nie miałem nic lepszego do roboty.

Pomyślałem o mojej przerwanej książce i o tych dwóch wesołych i aroganckich kamikadze, którymi wydawaliśmy się z Marcosem siedemnaście lat temu, i o naszych arcydziełach, którymi zamierzaliśmy wziąć odwet na świecie. Powiedziałem:

– To powód równie dobry jak każdy inny.

– Mylisz się. – Marcos pokręcił głową. – Nie ma lepszego powodu. Mnie przynajmniej nie przychodzi lepszy do głowy. Najlepszy dowód, że nigdy nie miałem takiej frajdy z malowania jak od tamtej pory. Nie wiem, czy maluję dobrze, czy źle. Możliwe, że źle. A może maluję lepiej niż kiedykolwiek. Nie wiem i prawdę mówiąc, zwisa mi to. Wiem tylko, że... – zawahał się na ułamek sekundy, spojrzał na mnie i pomyślałem, że znowu się roześmieje. – Wiem tyle, że gdybym nie zaczął malować, dalej gnąłbym w tej pieprzonej dziurze.

Choć wskazówki zegara ściennego z wahadłem w kształcie rakiety tenisowej ciągle wskazywały godzinę piątą, musiało być już po dziewiątej, bo stali klienci popijający samotnie dzin i Marie Brizard

znikli z El Yate, a kelnerzy od dłuższego już czasu podawali kolację gościom siedzącym przy stołach wzdłuż okna; za oknem była ciemna noc, ulica migotała niczym akwarium w świetle semaforów, latarni i reflektorów samochodowych. Kiedy Marcos skończył długi monolog o obrazach, które namalował, naszkicował lub wyobraził sobie w la Cerdanya, zapytał:

– A ty?

– Co ja?

– Piszesz coś?

Powiedziałem, że nie piszę. Potem powiedziałem, że piszę. Potem zapytałem, czy napijemy się jeszcze po piwie. Zgodził się. Przy piwie opowiedziałem mu, że przez ostatnie miesiące pisałem książkę, że dwa tygodnie temu to przerwałem i że nie jestem pewien, czy warto tę książkę skończyć, ani nawet, czy chcę ją skończyć. Marcos zapytał, o czym jest książka.

– O wielu rzeczach – powiedziałem.

– Jak na przykład? – nie odpuszczał.

I wtedy, początkowo niechętnie, tyle tylko, żeby zrewanżować się Marcosowi za jego wyznania, potem z większym zaangażowaniem, a wreszcie niesiony własnymi słowami, zacząłem mówić o naszym wspólnie wynajmowanym mieszkaniu przy ulicy Pujol, o spotkaniu z Marcelem Cuartero w El Yate, o mojej podróży do Urbany i mojej pracy w Urbanie, i mojej przyjaźni z Rodneyem, o ojcu Rodneya, o latach spędzonych przez Rodneya w Wietnamie, o moim powrocie do Barcelony, a potem do Gerony, o Pauli i o Gabrielu, o moim spotkaniu z Rodneyem w hotelu San Antonio de la Florida w Madrycie, o dwóch tragediach w życiu i o radości sukcesu, o spowodowanej sukcesem euforii, o upokorzeniu i katastrofie,

o śmierci Gabriela i Pauli, o czyścicu, jaki przeżyłem w mieszkaniu przy Sagrada Familia, o tunelach i podziemiach, i o kamiennych bramach, o wyłomach w kamiennych bramach, o mojej podróży do Stanów Zjednoczonych i powrocie do Rantoul, o Danie i o Jenny, o zbrodniach popełnionych przez Tiger Force, o śmierci Tommy'ego Birbana i o samobójstwie Rodneya, o moim powrocie do Barcelony, moim nieudanym powrocie do Rantoul, o złudzeniach algebry i geometrii. Powiedziałem mu o tym i o wielu innych rzeczach i w miarę jak mówiłem, zdałem sobie sprawę, że Jenny miała rację, że Marcos ma rację: powinienem dokończyć książkę. Skończę ją, ponieważ jestem to winien Gabrielowi i Pauli, i Rodneyowi, a także Danowi i Jenny, ale przede wszystkim jestem to winien sobie samemu, skończę ją, bo jestem pisarzem i nie mogę być nikim innym, ponieważ tylko pisanie pozwala mi przyglądać się rzeczywistości i nie dać się zniszczyć, nie dać się pogrzebać jak pod gruzami płonącego domu, tylko pisanie nadaje rzeczywistości sens albo złudzenie sensu, tylko pisanie, jak przekonałem się o tym w owych miesiącach zamknięcia i pracy, i próżnego czekania, i uwodzenia lub przekonywania, lub udowadniania, pozwoliło mi naprawdę domyślić się bezwiednie kresu podróży, końca tunelu, wyłomu w kamiennej bramie, tylko pisanie wydobyło mnie z podziemi na otwartą przestrzeń i pozwoliło mi podróżować z prędkością większą niż światło i odzyskać część tego, co utraciłem podczas głośnego upadku; dokończę książkę z tego powodu oraz dlatego, że jej dokończenie to jedyny sposób, żeby Gabriel i Paula, choć zamknięci na tych stronach, pozostali wszakże jakoś żywi i żebym ja nie był już tym, kim byłem dotąd, kim byłem przy Rodneyu – moim bliźnim, moim bracie – i bym stał się kimś innym,

bym jakoś po części i na zawsze był Rodneyem. I w pewnej chwili, kiedy nadal opowiadałem Marcosowi o mojej książce, wiedząc już, że ją dokończę, dopadło mnie podejrzenie, że może dwa tygodnie wcześniej porzuciłem pisanie wcale nie dlatego, że nie chciałem dokończyć książki, albo że nie byłem pewien, czy warto ją dokończyć, lecz dlatego, że nie chciałem jej dokończyć: bo kiedy już domyślałem się zakończenia – kiedy niemal wiedziałem, co chcę opowiedzieć, bo już to prawie opowiedziałem; kiedy dotarłem już niemal tam, gdzie chciałem dotrzeć, właśnie dlatego, że nigdy nie wiedziałem, dokąd zmierzam – dopadł mnie zawrót głowy, bo nie wiedziałem, co będzie po drugiej stronie, jaka otchłań albo lustro czeka za tymi stronami, gdy znowu będę miał przed sobą wszystkie drogi. I wtedy nie tylko poznałem konkretne zakończenie mojej książki, lecz znalazłem także rozwiązanie, jakiego szukałem. Przy ostatnim piwie wyjaśniłem to w euforii Marcosowi. Wyjaśniłem, że wydam książkę pod innym nazwiskiem, użyję pseudonimu. Wyjaśniłem, że przerobię ją całkowicie przed wydaniem. Zmienię imiona i nazwiska, miejsca, daty, wyjaśniłem. Nakłamię na każdy temat, wyjaśniłem, lecz tylko po to, żeby lepiej powiedzieć prawdę. Wyjaśniłem mu: to będzie powieść apokryficzna, jak moje podziemne i niewidoczne życie, powieść fałszywa, ale prawdziwsza, niż gdyby była prawdą. Kiedy skończyłem mu to wszystko tłumaczyć, Marcos siedział przez kilka sekund w milczeniu, paląc z wyrazem zamyślenia na twarzy; potem dopił jednym haustem resztę piwa.

– I jak się to kończy? – zapytał.

Powiodłem spojrzeniem po pustym barze i bardzo szczęśliwy powiedziałem:

– Kończy się tak.

Przekład: Ewa Zaleska
Redakcja: Agnieszka Rabińska
Korekta: Mariola Hajnus, Katarzyna Pawłowska
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Gidlewski
na podstawie koncepcji graficznej Zuzanny Lewandowskiej
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Printo/Corbis
Fotografia autora: © Mercè Mas

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-387-0